

GAYLE WILSON

**Księżna tajemnie
poślubiona**

PROLOG

Kwiecień 1815

Kasztanek rwał się do galopu, jednak stanowczo powstrzymywany, ręką jeźdźca, musiał iść stępem. Patrząc z boku, miało się wrażenie, że między rumakiem a dosiadającym go mężczyzną panuje idealna harmonia, tak naprawdę jednak była to nieustająca próba sił.

Dopiero gdy podpułkownik Nicholas Stanton zauważył szczupłą postać przechadzającą się w cieniu wiekowych dębów, pozwolił kasztankowi wyciągnąć szyję i przyspieszyć. Ponownie ściągnął konia, gdy zbliżył się do drzew. Dziewczyna odwróciła się, zaniepokojona odgłosem kopyt.

Miała błękitne oczy, ocienione rondem niemodnej, słomkowej budki. Kapeluszy takich dawno już nie noszono w mieście, skąd niedawno wrócił młodszy syn księcia Vaila. Jej wzrok na chwilę zatrzymał się na jeźdźcu, lecz szybko na powrót utkwiał w ziemi.

Nick Stanton lekko się skrzywił, nie przywykł bowiem do takich afrontów, szczególnie ze strony kobiet. Przeciwnie, awanse, jakie mu czyniły dobrze urodzone panny, za-

wróciłyby w głowie niejednemu, trzeba jednak przyznać, że swoje powodzenie zawdzięczał nie tylko urodzie, majątkowi i dobremu urodzeniu, lecz również zasługom wojennym, które opromieniły jego imię podczas kampanii hiszpańskiej. Sam książę Wellington* niejednokrotnie wyróżniał go w rozkazach dziennych!

Z urody i figury podobny do greckich półbogów, ze zdumieniem przyjął dyskretną, lecz stanowczą odmowę, jaką wyczytał z oczu młodej kobiety, noszącej zniszczony słomkowy kapelusz. Nie do tego przywykł na londyńskich salonach.

W odpowiedzi na tę oczywistą dezaprobatę, Nick pognaglił konia w ślad za oddalającą się dziewczyną. Wskórał tyle, że znów podniosła na niego błękitne oczy, surowe teraz i poważne.

- Dzień dobry - pozdrowił ją, dostosowując krok wierzchowca do tempa jej marszu.

Promień słońca, który przedostał się przez gałęzie, błysnął złotem w jego jasnych i lekko falujących włosach. To, co inni osiągali za pomocą rozgrzanych żelazek, on miał z natury, która i tak obdarzyła go hojnie. Dobrze skrojona kurtka mundurowa uwydatniała szerokie ramiona i wąską talię, a obcisłe bryczesy opinały muskularne uda i długie nogi.

* Arthur Wellesley Wellington - 1769-1852, książę, brytyjski wódz i polityk. Po długich i krwawych walkach (1809-1814) wyparł wojska francuskie z Portugalii i Hiszpanii, w 1815 roku zwyciężył Napoleona I pod Waterloo (przyp. red.).

Usłyszawszy to pozdrowienie, dziewczyna znów podniosła oczy, chcąc przekonać się, kim jest natręt. Twarz miała w klasycznym kształcie serduszka, ale usta nieco za szerokie i nos bardziej prosty niż zadarty. Nie było w niej żadnej afektacji, wręcz przeciwnie, widać było, że twardo stąpa po ziemi i ma jasny, stanowczy pogląd na świat.

Sukienka z haftowanego muślinu, którą miała na sobie, musiała już mieć co najmniej dwa lata. Obrębek, podpięty na wiejską modłę dla ochrony przed cierniami, odsłaniał skrawek prostej, białej halki. Przez ramię przewiesiła wiklinowy koszyk, do połowy napełniony czerwonymi porzeczkami.

- Słucham, milordzie? - odpowiedziała krótko, ponownie wbijając spojrzenie w ścieżkę pod stopami.

Kąciki ust jeźdźca uniosły się dumnie do góry, a szare oczy również zaczęły kontemplować wijącą się ścieżkę. Przez jakiś czas nie odzywał się, prowadząc konia równo z dziewczyną.

- Zbiera pani porzeczki? - zdecydował się w końcu zagadnąć, choć było to przecież oczywiste i pytanie wielkiego sensu nie miało.

Usta dziewczyny, nawykłe raczej do uśmiechu niż do skromnego układania w ciup, drgnęły.

- W rzeczy samej! - potwierdziła.

Znów zapadła cisza, przerywana jedynie człapaniem końskich kopyt. Kasztanek niechętnie przystosował się do wolnego tempa, jakie narzucił mu jego pan.

- Może chce się pani przejechać? - zaproponował lord Stanton, wyciągając rękę.

Palce miał długie i lekko opalone, mimo że ostatnie miesiące spędził w Anglii, z dala od swego pułku, bo postrzał, który otrzymał pod Tulużą, okazał się poważniejszy w skutkach, niż początkowo się zdawało. Groziła nawet amputacja nogi, do czego jednak na szczęście nie doszło. Pozostała jedynie trwała sztywność prawego kolana, ale i tak Nick uznał się za zdolnego do dalszej walki. Dlatego też udał się do Londynu, by przekonać o tym swoich przełożonych.

- Nie, dziękuję, milordzie. Jestem pewna, że wasza wysokość ma na głowie ważniejsze sprawy niż zajmowanie się mną.

- Zapewniam panią, że asystowanie damie sprawiłoby mi prawdziwą przyjemność.

Dziewczyna obrzuciła jego twarz krótkim spojrzeniem.

- Ależ, milordzie, ja nie jestem... - zaczęła.

- Damą? - przerwał jej na pozór obojętnie.

- Nie jestem z tych, które potrzebują asysty - dokończyła, nie okazując gniewu z powodu oczywistej zniewagi. Przerzuciła koszyk z jednego ramienia na drugie.

- Pewnie będzie pani smażyć konfitury? - zapytał przyjaźnie Stanton, uważnie śledząc jej ruchy.

- Nie, upiekę placek z porzeczkami.

- Dla ukochanego?

- Nie mam ukochanego, milordzie.

- Taka piękna dziewczyna? Trudno mi w to uwierzyć. Czyżby tutejsi mężczyźni byli ślepi?

- Widocznie mają inne rozrywki.
 - W takim razie są głupcami! - zdecydował Nick. Wyrzucił prawą nogę ze strzemienia i przybrał wygodniejszą pozycję, by nie urazić bolącego kolana.

- Często tak mi się zdaje - zgodziła się.

Dopóki Nick nie podniósł oczu, obserwowała go, by teraz szybko uciec wzrokiem.

- Chyba ma pani jakieś imię, prawda? - zainteresował się Stanton.

- Oczywiście, milordzie.

Tym razem Nick nie potrafił powstrzymać uśmiechu, którym zawsze czarował londyńskie damy, jednak na tej dziewczynie zdawał się on nie robić wrażenia.

- Czy mógłbym je poznać?

- Mógłby pan, albo i nie - odpowiedziała spokojnie, wyrzucając z koszyka niedojrzałą porzeczkę. - Sama nie wiem, jak dalece warto zaspokajać pańską ciekawość, milordzie.

- Czy nikt dotychczas pani nie powiedział, że nie należy tak śmiało poczynać sobie z wyżej postawionymi? - zaśmiał się Nick.

- Poza panem jeszcze nikt, milordzie, ale to na pewno zwykłe przeoczenie.

- Gertruda? - strzelił.

- Słucham?

Stanton już wiedział, że spudłował.

- Ponieważ pani uparcie odmawia udzielenia mi tej informacji, próbuję sam odgadnąć pani imię.

- Nazywam się Mary Winters, milordzie.

- I mieszkaś w tej wsi?
- Tak, z moim ojcem na plebanii.
- A więc „Mary pastorówna”.
- Tak, milordzie.
- I co, skończyłaś już zbierać te porzeczki?
- Nie, bo najładniejsze są w środku.

Mówiąc to, odgięła najbliższy krzew, odsłaniając przesiekę biegnącą przez środek plantacji. Weszła tam, a gałęzki zasłaniały z powrotem przejście, jakby to były czarowane wrota.

Nick nagle został sam. Nim jednak liście krzewu zdążyły znieruchomieć, zeskoczył z konia, ponownie odgiął gałąź i wprowadził na przesiekę kasztanka, uspokajająco gładząc go po szyi.

Rozejrzał się za dziewczyną, która wcale nie pomknęła do przodu, tylko czekała tuż obok na pokrzywionym pniu dębu, rozwidlonym nisko nad ziemią. Gałąź, na której stała, była wygięta, tworząc naturalną platformę, wznoszącą się ze trzydzieści centymetrów nad ziemią. Mary postawiła koszyk na trawie, a słomkowy kapelusz zdjęła, uwalniając kaskadę ciemnobrązowych loków, które lśniły w przesianych przez liście słonecznych promieniach. Błękitnymi oczyma obserwowała Nicka Stantona przedzierającego się przez przesiekę.

- Pan utyka, milordzie?
- No wiesz, a tak się staram kuleć potajemnie! - Z uśmiechem udał oburzenie. - Myślałem, że będziesz mniej krytyczna.
- Został pan ranny na wojnie, prawda?

- Owszem. Taka rana to dla mężczyzny zaszczyt.

Mary leciutko się uśmiechnęła.

- Rozumiem z tego, że jest pan prawdziwym bohaterem, czyż nie? - spytała prowokująco.

- Niespecjalne.

- Czyżby lord Wellington się mylił?

Nick z uśmiechem pokręcił głową, jakby opędzał się od tych na poły poważnych, a na poły uszczypliwych pochwał, i nieubłaganie podążał w stronę dębu. Równie nieubłagana w swych indagacjach była Mary:

- To była odwaga, czy też szaleństwo?

- Różnie można na to spojrzeć - odpowiedział wymijająco.

Stanął tuż przy niej i patrzył teraz jej prosto w oczy. Trwało to ledwie chwilę, lecz wystarczająco długo, by Mary spontanicznie musnęła palcami złote loki na jego skroni. Nick pochwycił jej dłoń i przycisnął ją do ust.

Powoli wodził po niej wargami, aż doszedł do poplamionych porzeczkowym sokiem czubków palców, ona zaś położyła drugą rękę na jego ramieniu, pieszczotliwie gładząc wełniany materiał munduru. Potem przesunęła dłoń wyżej, wzdłuż szyi, aż zatopiła palce w jedwabistych włosach na karku.

Wówczas Nick objął dziewczynę w pasie i porwał ją w ramiona. Nie stawiała oporu, przeciwnie, przylgnęła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła wargi. Z biegłością doświadczonego kochanka podjął śmiałą pieszczotę, ku wyraźnemu zadowoleniu Mary.

Niespieszny pocałunek trwał długo. Mimo niesprawnej nogi, Stanton bez wysiłku trzymał w objęciach wiotkie ciało dziewczyny, ufnie wtulone w jego silne ramiona. Powoli opuszczał ją coraz niżej, dopóki czubki małych pantofelków nie dotknęły ziemi. Ich usta wciąż były złączone, aż wreszcie Mary przerwała pocałunek, opierając dłonie na policzkach Nicka.

- Powiedz, że cię nie przyjęli! - powiedziała błagalnie.

- Sama wiesz najlepiej, jak musiało się stać. - Z uśmiechem potrząsnął głową. - Każdy doświadczony oficer, choćby i weteran, jest teraz na wagę złota.

- A ty oczywiście wmówiłeś im, że jesteś całkowicie sprawny.

- Prawdę mówiąc...

- Jestem pewna, że nie powiedziałeś prawdy o swojej nodze! - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Tak się ucieszyli z mojego zgłoszenia, że przyjęliby mnie nawet z jedną nogą. - Z uśmiechem próbował uspokoić Mary. - Nie gniewaj się, kochanie, ale musisz zrozumieć, że moje miejsce jest tam, gdzie są moi ludzie, mój pułk. Tam właśnie pragnę być.

- Znowu? - wyszeptała. - Nie puszczę cię więcej do tego piekła! - Wiedziała jednak, że jej pragnienia się nie liczą. Mężczyźni byli stworzeni do walki, a kobiety mogły tylko płakać. Dorzuciła więc z rezygnacją: - Jak długo możesz tu zostać?

- Najwyżej trzy godziny. Musiałem przecież zmienić konie, zabrać ekwipunek z pałacu, pożegnać się z Charle-

sem i moim ojcem, w razie gdyby... - Zacisnął wargi, widząc ból w jej oczach, które szybko napełniły się łzami. - Przyjechałem do ciebie, jak tylko mogłem najszybciej, ale o świcie muszę być w Londynie.

- Przecież dopiero co wróciłeś... - zaprotestowała.

- Zostały nam tylko trzy godziny, Mary - przerwał jej, przywierając ustami do jej skroni. - Czy chcesz, abyśmy zmarnowali ten czas na kłótnię?

- Nie - szepnęła, szukając wargami jego ust. Wodziła po nich językiem, a palcami błędziła po złotych, falujących włosach Nicka. - Nie! - powtórzyła jeszcze raz, kiedy dotknął ustami jej ust, biorąc w posiadanie to, co do niego należało. Był pewien, że tak będzie już zawsze.

Nick rozwinął zrolowany przy siodle płaszcz i rozesał go na ziemi. Położyli się na nim oboje, przyglądając się, jak ciemniejsze wieczorne niebo, ledwo widoczne przez kopułę gałęzi. Zdjął kurtkę, a Mary śmiało zabrała się do rozpinania guzików jego batystowej koszuli.

Obnażała tors Nicka, ustami badając każdy cal skóry, najpierw na piersi, potem na brzuchu.

A on to wstrzymywał oddech, to ciężko dyszał, cały czas ściskając w palcach pasma lśniących, ciemnych włosów Mary. Słodycz jej ust oszołomiła go jak narkotyk, nie był w stanie trzeźwo myśleć, nie odróżniał dobra od zła. Wystarczyło mu, że przy nim była, a zdawało się, że kochał ją od zawsze. Delikatne pocałunki, którymi obsypywała jego ciało, nie były w stanie skalać czystego uczucia,

jakim ją darzył. Uczucie to nie zmieniło się, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

W tamten niedzielny poranek zgodził się pojechać do kościoła tylko pod wpływem nalegań ojca. Od powrotu z Hiszpanii nie pokazywał się w miejscach publicznych, gdyż wstydził się kuśtykać o kulach, czuł się zażenowany współczującymi spojrzeniami wieśniaków i ich natrętnymi pytaniami o jego przewagi wojenne.

W kościele zajęli z ojcem miejsce w kolatorskiej* ławie, ulokowanej na podwyższeniu nad główną nawą i dokładnie na wprost ambony. Nick miał oczy opuszczone, gdyż kępowały go własne niezręczne ruchy. Dopiero gdy ojciec ostrzegawczo trącił go łokciem w bok, uświadomił sobie, że tak naprawdę patrzy z góry na zebranych w kościele wiernych. Naprawdę jednak dostrzegał tylko Mary.

Siedziała w pierwszej ławce, w skupieniu słuchając kazania, które wygłaszał jej ojciec. Nie miała pojęcia, że młodszy syn księcia Vaila wpatruje się w nią zachwyconym wzrokiem. Nick nie widział jeszcze takiej kobiety, co szczególnie go zaintrygowało.

Inne jej zalety dawały się łatwiej zauważyć: błękitne oczy obrzeżone długimi, czarnymi rzęsami, niewiarygodnie delikatna skóra, lśniące pukle brązowych włosów, skromnie ukryte pod odświętnym czepkiem... Stanton,

* Kolator - fundator kościoła (przyp. red.).

cieszący się w Londynie sławą najbardziej pożądanego kawalera do wzięcia, od razu dał się omotać urokowi córki wiejskiego pastora.

Tyle tylko, że Mary Winters w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Mało tego, zdawała się nie dopuszczać do świadomości faktu, że sławny bohater wojenny, podpułkownik Nicholas lord Stanton, raczył zaszczycić swą obecnością skromny kościółek jej ojca. Nick, przede wszystkim z nudów spowodowanych wymuszoną bezczynnością, postanowił coś z tym zrobić.

Podczas następnych tygodni z tak niezwykłą i dotąd zupełnie mu obcą gorliwością uczęszczał na msze, że jego ojciec zaczął się poważnie niepokoić. Podejrzewał, że mógł to być psychiczny efekt ran odniesionych na polu chwały, lub też zgubny wpływ jakiegoś nadgorliwego kapelana od metodystów.

Szybko jednak stary książę zorientował się, że ostentacyjna pobożność syna brała się z ciągot zupełnie innego rodzaju. Wystarczyło, by powiódł swym wzrokiem za spojrzeniem Nicka, i wszystko stało się jasne. Uznał jednak, że obiekt westchnień syna wcale nie gwarantuje wiekuistego zbawienia, natomiast w życiu doczesnym może wpakować go w nie lada kłopoty. Odbył więc z Nickiem poważną rozmowę, podczas której bardzo się zdziwił jego odpowiedzią.

- Ja miałbym się z nią zabawiać? - powtórzył, z niedowierzaniem patrząc na przerażoną minę ojca. - Ależ ojcie, ja tylko ją podziwiam. Któż ośmieliłby się zabawiać z Mary Winters?

Rzeczywiście, w błękitnych oczach dziewczyny stary książe nie dostrzegł nic poza pogodą ducha i chłodną inteligencją, toteż musiał zgodzić się ze zdaniem syna.

- Mary! - szepnął w końcu Nick.

Przypominało to raczej błaganie niż protest, ale osiągnął tylko tyle, że usta dziewczyny zatrzymały się chwilę dłużej w miejscu, skąd już było bardzo blisko od najczulszych partii jego ciała. A gdy nagle odjęła wargi, zacisnął powieki, aby zatrzymać ten moment jak najdłużej. Wiedział przecież, że jej powściągliwość jest na dłuższą metę korzystniejsza od płóchej, spontanicznej zgody.

Po trzech latach spędzonych na polach bitewnych Hiszpanii, wrócił tu dziś tylko po to, aby odnaleźć Mary. Wiedział przecież, że może jej nigdy więcej nie zobaczyć, ani tym bardziej zdobyć. Właściwie powinien być już w drodze do pułku. Powiedział jej o trzech godzinach, ale czułość jej dotknięć i słodczy pocałunków sprawiły, że czas mknął niczym woda w górskim potoku.

Leżał z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w odgłosy zapadającego zmierzchu. Gołębie gruchały, wiatr przybierał na sile i poruszał liśćmi, które szumiały nad głową. Rozpaczliwie starał się zapanować nad odruchami swojego ciała.

- Nick... - doszedł go cichy głos Mary.

Otworzył oczy i wtedy to, co zobaczył, kazało mu zapomnieć o niestosowności tego, co zamyślał. Nie był już w stanie ponownie zamknąć oczu, gdy Mary ofiarowała mu swoje skarby.

Opuściła z ramion stanik, przytrzymując tylko palcami przejrzysty muślin na piersiach. W zetknięciu z tak delikatnym materiałem, tym bardziej rażący kontrast stanowiły plamy z soku porzeczkowego na czubkach palców. Z obnażonych ramion koloru kości słoniowej spływała kaskada ciemnych włosów. Dziewczyna wprawdzie się uśmiechała, lecz to jej spojrzenie przykuło jego wzrok.

Zsuwała ramiączka coraz niżej, ukazując w całej okazałości cudowny kształt swoich piersi. Nick leżał w bezruchu, bo ten widok zapierał mu dech. Nie spuszczając z niego oczu, Mary podłożyła palce pod różowo zwieńczoną pierś.

Przywarł do tego miejsca ustami. Oddech Mary poruszał jego włosami, a powolne ruchy jego języka pobudziły jej pierś, wywołując w dziewczynie niezwykle doznania.

Powierzyła mu ufnie intymną tajemnicę swojego ciała, dotychczas nieznaną żadnemu mężczyźnie. Nie spodziewała się jednak, że jego usta okażą się tak gorące, a zęby zaczną drażnić nabrzmiąły już od pieszczot sutek. W miarę jak nadstawiała pierś pod dalsze pieszczoty, działo się z nią coś dziwnego, jakaś nieprzeparta moc brała ją w swoje władanie. Nick zaś był pewien tego, co wiedział już przed wyjazdem na front: zdobędzie tę kobietę.

Przesuwał językiem wzdłuż rozpadliny między jej piersiami, pozostawiając wilgotny ślad. Skóra w tym miejscu piekła w zetknięciu z powietrzem, a pod nią serce trzepotało jak oszalałe. Przyciągała oburącz jego głowę. Nie broniła się, gdy obrócił ją na wznak, układając gołymi plecami na szorstkiej wełnie swojego płaszcza.

Wsparty na łokciu, pochylił się nad nią i szarymi oczyma uważnie studiował jej smukłe ciało. Namacał małą żyłkę u podstawy szyi, na której dato się wyczuć uderzenia pulsu. Na tle prawie przezroczystej skóry jego palce wydawały się ciemne, szorstkie i zgrubiałe, ale delikatnymi dotknięciami, przypominającymi muskanie piórkiem, smakował jej aksamit, pobudzał, drażnił...

Nie spuszczać z niego wzroku, Mary położyła mu ręce na ramionach i pociągnęła w dół, aby ich ciała w cudowny sposób przylgnęły do siebie.

Gdy jej szczupłe biodra uniosły się w niemej prośbie, ocierając się prowokująco o jego brzuch, otoczył ją ciasno ramionami. Przycisnęła się do niego, demonstrując, czego naprawdę pragnie. Nie wiedziała, co to ma być dokładnie, lecz instynkt przemawiał za nią, bardziej wyraźnie, niż gdyby były to słowa. Nick nie mógł jej odmówić.

Namaciała klapę przy jego spodniach i wiedzioną gwałtownym pożądaniem, zabrała się do uwalniania go z tej krępującej części garderoby.

- Mary! - próbował ją zniechęcić, ale go nie słuchała.

A przecież on wyjeżdżał i oboje dobrze wiedzieli, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Mógł nigdy nie wrócić z bitewnego pola. Jednak Mary podjęła świadomą decyzję, obojętna na zasady, w jakich ją wychowano, odrzuciła nakazy religijne i obyczaje, które panowały w społeczeństwie. Tu i teraz Nick należał do niej, a jej ciało domagało się jednoznacznego zwieńczenia tej przynależności, osta-

tecznego jej udowodnienia i przypieczętowania. Drugi raz taka sposobność mogła się nie nadarzyć.

Niecierpliwie dotykała tajemnych fragmentów jego ciała, prowokując, aby skończył to, co zaczął. Tego już nie dało się ukryć.

- Mary! - wymówił jej imię ochryłym szeptem, nabrzmiałym oczekiwaniem, pragnieniem i męką niespełnienia.

- Tak... - wyszeptała. - Tak!

Znów złożyła błagalnie małe rączki. Wychowana na wsi, nie знаła wyrafinowanej kokieterii ani fałszywej skromności. Woląca smakować słony pot z opalonej na brąz szyi Nicka, podczas gdy on dołączył swoją rękę, aby nakierować jej dłoń na to, czego szukała.

Zetknięcie chłodnego powietrza z jej nieosłoniętym ciałem było dla niej wstrząsem, ale widać tego właśnie pragnęła. Podobnie jak tego, co miało nastąpić, choć sprawiło jej ból. Dyszała tylko w jego ramię, dopóki nie usłyszała, jak wyszeptał jej imię.

Odwrócił się do niej policzkiem, drapiąc ją zarostem, ale nie panował już nad swoimi ruchami. Jego biodra poruszały się rytmicznie nad nią, a ona czuła, jak z bólu, który zagnieździł się w jej wnętrzu, rodzi się coś zupełnie nowego, tajemniczego i dziwnie ekscytującego.

Na początku nie była jeszcze pewna, co to za doznanie, tak bardzo bolesne i krepujące swą niewygoda. Lecz coś w niej rosło i pochłaniało ją całą, zagarniając jej ciało w nieznaną krainę. Po chwili wydawało się jej, że unosi się w powietrzu, coraz bardziej wolna i niezależna, a za-

razem w niezwykle sposób połączona z mężczyzną, którego tak bardzo kochała.

Jak z oddalenia słyszała swój własny krzyk, potem poczuła ogromną ulgę. Usta Nicka przywarły do jej ust. Zaraz i on poszybował na szczyty uniesienia, wlewając w jej łono gorącą strugę. Pod czułymi dotknięciami jej rąk wyprężył się raz i drugi, a potem oboje leżeli cicho przy sobie, ciasno spleceni, jakby tworzyli jedność.

Nick uniósł się pierwszy, podciągając się na drżących ramionach. Z góry spojrzał na twarz Mary, łagodną i dziwnie uspokojoną, wciąż pozostającą pod wrażeniem tajemnicy, którą dziewczyna właśnie poznała.

- Mary... - wyszeptał, przywołując jej uśmiech. Tyle razy powtórzył jej imię w ciągu jednego popołudnia! - Och, Mary, tak mi przykro!

Nie przestawała się uśmiechać, wodząc niebieskimi oczami po jego twarzy. Siedząc ruchy własnych palców, wyczuwających miłą szorstkość jego policzka, powtarzała sobie: „To mój ukochany. Należy tylko do mnie!”.

- Boże, co ja zrobiłem? - jęknął zdławionym głosem.

- Cicho, wszystko dobrze - pocieszała go kojącym tonem, jak matka uspokaja przestraszone dziecko podczas burzy. Muskała kciukiem jego rzęsy, złociste na końcach i ciemne u nasady. Zachwycała się kolorem jego oczu, szarym jak zimowe niebo. - Kocham cię!

Na dźwięk tych słów twarz mu się zmieniła, jakby nagle odnalazł właściwy kierunek marszu. Znów kroczył drogą honoru, z której był gotów zejść.

- Gdzie jest teraz twój ojciec? - spytał, a ona, zaskoczona, nie od razu potrafiła mu odpowiedzieć. Zastanawiała się, do czego mu to potrzebne.

- Wizytuje parafie z księdzem dziekanem - przypomniała sobie w końcu.

- Ale wróci jeszcze dziś wieczorem?

- Nie, dopiero we wtorek

Dopiero teraz przyszedł jej na myśl ojciec, tak bardzo kochany i tak bardzo wrażliwy. Zawsze okazywał serce nawet tym, którzy zeszli z drogi cnoty i sam za nich przeżywał ich uczynki.

- Chodźmy - postanowił nagle Nick, podnosząc się sprężystym ruchem i pociągając za sobą Mary.

Dopiero teraz poczuła się skrepowana swoją nagością. Nie ruszała się z miejsca, tylko obserwowała, jak błyskawicznie doprowadza do porządku swoją garderobę. Kiedy odwrócił się do niej, dopinał już ostatnie guziki koszuli, ale znieruchomiał, gdy zobaczył wyraz jej twarzy.

- Muszę już jechać - tłumaczył się, próbując wyobrazić sobie, co ona w tej chwili czuje. - Jeśli się nie stawię, obwołają mnie dezertorem, chociaż moim ojcem jest książę Vail. Pułk wyrusza na front, a ja zostałem uznany za zdolnego do walki.

- Wiem... - wyszeptała, nie mogąc pojąć, po co jej to wszystko mówi. Przecież rozumiała, że on musi wyjechać i właśnie dlatego...

- Mary... - zaczął, ale ona w tym momencie zdała sobie sprawę, że nigdy już nie zobaczy go takim jak teraz.

To przeczucie było tak silne, że nie zważając na nic, jęła napawać się jego widokiem, jakby chciała raz na zawsze zachować Nicka w pamięci. Oto stał przed nią, młody, silny i taki przystojny, nawet z tymi włosami w nieładzie. Zamknęła oczy. Przez tę krótką chwilę należał tylko do niej i to miało stanowić dla niej pociechę na niepewną przyszłość.

- Mary? - Przypomniawszy jej znów o sobie, tym razem pytającym tonem.

Otworzyła oczy i zmusiła się do uśmiechu. Podszedł więc do niej szybkim krokiem i sam przełożył jej ręce najpierw przez ramiączka halki, a potem przez rękawy sukni. Przy tej okazji wyszło na jaw, że podejrzenie łatwo radził sobie z zawilóściami kobiecych strojów. Zaczęła się już zastanawiać, ile kobiet miał przedtem, ale wiedziała, że to i tak nie ma znaczenia. Tamto było kiedyś, a teraz należał tylko do niej.

Pozwoliła się ubrać, jakby była lalką lub małym dzieckiem. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuła na swojej twarzy jego palców, którymi chciał zetrzeć jej łzy. Wtedy przytrzymała jego ciepłą dłoń przy mokrym policzku.

- Nie chciałem ci zrobić krzywdy - usprawiedliwił się. Dotykami wyczuł, jak uśmiecha się pod jego ręką.

- Wiem - szepnęła.

- Bardzo bolało, kochanie?

- Ale skąd, to wcale nie boli - uspokoiła go, bo dostrzegła zatroskany wyraz jego oczu i poważną zmarszczkę między brwiami.

Oczywiście skłamała, ale nie chciała wpędzać go w poczucie winy. Po co miał dodatkowo obciążać sumienie, gdy i bez tego było mu wystarczająco ciężko?

- Musimy już iść - ponaglił.
- Wiem - powtórzyła.

Wyprowadził ją z przecinki między krzewami porzeczek, a jego koń szedł za nimi potulnie jak baranek. Posadził ją na siodle, ale nie wiedziała, dokąd ją wiezie.

W zapadającym mroku ledwo było widać mury starej, przyklasztornej kapliczki. Znajdowała się w najstarszej części majątku i rzadko odprawiano w niej nabożeństwa, odkąd stary książę, dziadek Nicka, ufundował nowy kościół, położony znacznie bliżej wsi. Plotkowano wtedy, że ten kościół miał być pokutą za jego dawne grzechy. W każdym razie obecnie kapliczkę nawiedzały głównie duchy wiernych, którzy przed wiekami modlili się pod jej dachem.

Mary nie protestowała, kiedy Nick zсадził ją z grzbietu konia, wziął za rękę i doprowadził do drewnianych wrót. Zaskrzypiały, gdy je otwierał, a w środku było ciemniej niż na zewnątrz. Musieli więc poczekać, aż ich oczy przywykną do mroku.

Przez wysokie, witrażowe okno za prezbiterium przesączało się tyle światła, że po dokładniejszym przyjrzeniu dostrzegła prosty, kamienny ołtarz. W powietrzu zdawał się unosić zapach kadzidła. Nick ponownie wziął Mary za rękę i podprowadził przez całą nawę do ołtarza. Kiedy zdała sobie sprawę, dokąd idą, odruchowo cofnęła się i próbowała wyrwać rękę z jego uchwytu.

- Och, nie - wzdragała się, gdyż instynktownie czuła świętość tego miejsca. - Nie tutaj!

Jakże mogłaby stanąć przed ołtarzem, kiedy ciało miała jeszcze rozgrzane i wilgotne od miłosnych igraszek? Nick był jednak stanowczy.

- Właśnie tu, Mary.

Jeszcze kręciła głową, ale Nick wytrzymał jej spojrzenie, a potem obrócił się w stronę postaci wyobrażonej na witrażu nad ich głowami.

- Tu - powtórzył i z oczami wpatrzonymi w święty wizerunek zaintonował znaną formułę: - Ja, Nicholas William Richard, biorę ciebie, Mary...

Głos mu się załamał, więc ponownie zatrzymał wzrok na zalanej łzami, lecz pięknej twarzy Mary, zwróconej z nabożną czcią nie ku świętemu obrazowi, ale ku niemu.

- Elizabeth - odpowiedziała. Nick jeszcze przez dłuższą chwilę się jej przyglądał, a potem znów spojrzał na witraż, jakby szukając w nim natchnienia. - Biorę ciebie, Mary Elizabeth, za małżonkę. Na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie... - Znów głos mu się załamał, bo zapomniał dalszego ciągu, więc szybko dokończył: - Teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Obrócił się do niej i czekał, aż ona, powstrzymując łzy, podniosła niewidzące oczy w stronę podświetlonych szyb witrażu.

- Ja, Mary Elizabeth, biorę ciebie, Nicholasie Williamie Richardzie, za męża i ślubuję ci miłość i szacunek, na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas

nie rozłączy - wygłosiła pełny tekst. Zabrakło w nim tylko jednego słowa.

- Amen - uzupełnił Nick, żeby przysięga była kompletna.

- Amen - posłusznie powtórzyła za nim.

Puścił jej rękę, ale nie pocałował Mary. Drżała na całym ciele, więc przycisnął ją i zamknął w objęciach.

- Gdzie oni trzymają księgi parafialne? - spytał z wargami w jej włosach.

- Nie wiem - odpowiedziała, pociągając nosem i ocierając policzki grzbietem dłoni.

- Musimy je znaleźć - oświadczył już innym tonem. Nie przemawiał teraz jak czuły kochanek ani narzeczony składający solenną przysięgę, ale jak zdecydowany i pewny siebie oficer księcia Wellingtona.

- Po co? - zdumiała się.

- Żeby zarejestrować nasze małżeństwo.

- Ależ...

- Tylko pomyśl, Mary.

Oczywiście posłuchała go i bez wahania zajrzała za ołtarz, gdzie, jak słusznie przewidywała, mieściła się kiedyś zakrystia. Przez chwilę szarpała się z oporną klamką, ale w końcu udało się jej otworzyć drzwi i rzeczywiście znalazła tam starą księgę oprawną w skórę, która dawniej pełniła funkcję rejestru ślubów. Na jej welinowych kartach przed laty wiejscy proboszczowie zapisywali wszystkie ważniejsze parafialne wydarzenia. Tak się jednak działo w czasach, kiedy ta kapliczka była duchowym ośrodkiem

majątku. Obecnie śluby rejestrowano w nowych księgach, przechowywanych w zakrystii nowej świątyni.

- Po konsekracji nowego kościoła wszystkie księgi tam przeniesiono - stwierdziła Mary. - Tu została tylko ta stara.

- A czy jest w niej jeszcze miejsce? - zainteresował się Nick.

- Jak to: miejsce? - nie zrozumiała.

Stanton podszedł do pulpitu, na którym leżała księga. Zdjął ją stamtąd i poniósł pod światło, padające przez witrażowe okno. Położył księgę na ołtarzu i otworzył na ostatniej stronie.

- O, popatrz! - wskazał puste miejsce u dołu strony.
- Teraz potrzeba nam tylko pióra i atramentu.

- Nick... - próbowała nieśmiało protestować, gdyż czuła, że to, co robią, jest odstępstwem od wszystkiego, co Kościół uważał za święte.

On jednak nie słuchał jej, tylko z jednej z szaf wyjął dobrze zaostrzone pióro. Niestety w kałamarzu pozostało jedynie trochę czarnego proszku, który absolutnie nie nadawał się do użytku.

Wrócił więc do Mary ze znalezionym piórem i z uśmiechem ukłuł się w opuszkę wielkiego palca. Wycisnął kroplę krwi i, wzorując się na poprzednich wpisach, zaczął uwieczniać w odpowiednich rubrykach okoliczności tego dziwnego ślubu. A więc najpierw sam się podpisał, potem podał pióro Mary, by wpisała swoje rodowe nazwisko.

- To nie był prawdziwy ślub, Nick - perswadowała.

- Bez zapowiedzi, bez księdza i świadków... Taki ślub się nie liczy!

- Oczywiście - przytaknął beznamiętnie, ale nie prze-
rwał wypisywania krwią dalszych inskrypcji.

Mary przyglądała się temu z przerażeniem, bo znała ka-
ry grożące za takie postęпки, jak parodiowanie kościelne-
go obrzędu czy fałszowanie dokumentów.

- Och, nie, Nick! - złapała go za rękę, kiedy kończył
podrabianie zamaszystego podpisu swego ojca. Widział
go tyle razy, że doskonale potrafił go skopiować. - To już
jest przestępstwo!

- A któż miałby nas oskarżyć? Na pewno nie mój ojciec
ani Charles - tłumaczył, uwalniając rękę. Musiał bowiem,
jako drugiego świadka, wpisać nazwisko i pełny tytuł swo-
jego brata. - Oni prędzej padną trupem, niż mnie zdradzą.

- Chcesz podrobić też podpis pastora? - Nie wiedziała
już, jakich argumentów użyć, by go powstrzymać. - Mój
ojciec nigdy nie potwierdzi nieprawdy. Zresztą nie znasz
jego podpisu.

- Tak, ale ty znasz - podsunął dyskretnie Nick. Powie-
dział prawdę, gdyż Mary świetnie umiała naśladować ma-
ło wyrobione pismo pastora Wintersa. - Czy twój ojciec
oskarżyłby ciebie, Mary?

- Nie - wyszeptała, przywołując na pamięć najdroższą
twarz. Była pewna, że ojciec nie wydałby jej w ręce nie-
ubłaganej sprawiedliwości, choćby musiał stoczyć walkę
z własnym sumieniem. Toteż z jeszcze większym naci-
skiem powtórzyła: - Nie.

- Więc zrób to dla mnie, Mary, kochanie. Czy kiedykolwiek prosiłem cię o coś takiego?

Te słowa długo jeszcze brzmiały w jej uszach. Nie mogła odpowiedzieć na nie inaczej niż przecząco, bo przecież to, co mu dała, ofiarowała z własnej woli, wiedzona porywem serca.

- Nigdy nie prosiłeś mnie o nic - wyszeptała.

Wzięła z jego ręki pióro i drżącymi palcami umoczyła we krwi swego ukochanego. Dołączyła sfalszowany podpis ojca do innych kłamstw, które Nick wypisał już na tej karcie. Kiedy skończyła, stała w milczeniu, przytłoczona potwornością wspólnego występku. Nick delikatnie wyjął pióro z jej palców i zamknął księgę. Oba te przedmioty schował z powrotem tam, gdzie przez tyle lat leżały i miały spoczywać nadal.

Potem wrócił do niej, a w ciszy kaplicy stuk jego podkutych butów rozlegał się echem. Ujął jej chłodne, drżące ręce.

- Kiedy twój ojciec wróci, opowiedz mu o tym - poprosił. W błękitnych oczach Mary ujrzał zakłopotanie, więc chciał dorzucić jakieś usprawiedliwienie, choć wiedział, że nie jest wystarczające. - Nie mieliśmy czasu, żeby dopełnić wszystkich formalności, ale zrobiliśmy, co tylko można było. Napiszę do mego ojca i wszystko wyjaśnię.

- Ale to i tak nie będzie legalne! - upierała się, nie rozumiejąc, dlaczego Nick tak poważnie traktuje tę, w gruncie rzeczy, farsę. To nawet pogarszało sprawę, bo wyglądało, jakby robił sobie kpiny z sakramentu.

Zamiast odpowiedzi podniósł oczy na dość toporny witraż. Mary też zwróciła się w tę stronę i zauważyła boskie ręce wyciągnięte w geście przebaczenia grzesznikom.

- Liczą się przede wszystkim nasze intencje, Mary - tłumaczył Nick. - Bóg patrzy w nasze serca i wie, że nasze przysięgi są prawdziwe, przypieczętowane serdeczną krwią. Nie ma w tym żadnego fałszu.

Tylko skinęła głową.

Było już całkiem ciemno, jedynie srebrny sierp księżyca rzucał blade światło na ziemię. Mary w milczeniu stała przy boku Nicka. Od wyjścia z kaplicy nie zamienili ze sobą ani słowa. Złożyli przed sobą wszystkie śluby, duchowe i cielesne. Nie mieli już sobie nic ważnego do powiedzenia.

Mary położyła na rękawie kurtki Nicka poplamioną porzeczkowym sokiem dłoń. Światło księżyca odbiło się w jego herbowym sygnecie. Od razu zsunął go z palca i nałożył na jej kciuk.

- Oddasz go mojemu ojcu, gdyby... - Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

Mary w milczeniu kiwnęła głową.

- Kocham cię, Mary Winters - szepnął. - Zawsze będę cię kochał, bardziej niż własną duszę.

Znowu skinęła głową.

Zacisnęła palce na jego przedramieniu i pocałowała go w szorstki policzek.

- Niech cię Bóg zachowa - wyszeptała.

Sprawnym, wyćwiczonym ruchem dosiadł konia. Ten zatańczył pod nim. Nick opanował go na tyle, aby jeszcze musnąć palcami policzek Mary. Potem ponaglił zwierzę obcasami, kierując go w stronę Londynu.

Dopiero gdy ucichł tętent kopyt, Mary, wróciła do kaplicy.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca, przepuszczone przez rubinowe szybki w witrażowym oknie, oświetliły postać klęczącej dziewczyny. Po jakimś czasie blask rozjaśnił jej zwichrzone loki i głowę opartą na skrzyżowanych ramionach. Zasnęła na stopniach ołtarza, gdzie przez długie godziny nocne szeptała modlitwy w intencji Nicka Stantona.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Luty 1822

- Kiedy wróci tatuś? - spytał chłopczyk, troskliwie układając w pudełku drewnianego żołnierzyka w czerwono-niebieskim mundurze Królewskiej Gwardii Konnej.

Kobieta siedząca w fotelu pod oknem podniosła wzrok znad haftu, śledząc zwinne ruchy dziecięcych paluszków. Starła się złapać tyle światła, ile tylko mogła w zimowe popołudnie, lecz nim ponownie wbiła igłę w robotę, odpowiedziała chłopcu:

- Pewnie wieczorem. To zależy, w jakim stanie są drogi.
- Och, gdyby mi tak znowu przywiózł żołnierzyka...
- rozmarzył się malec.
- Gdyby ciocia miała wąsy... - zaczęła z uśmiechem Mary Winters.
- ... toby była wujkiem! - dokończył chłopiec znane przysłowie.

Może Mary powinna powiedzieć mu prawdę? Przecież mężczyzna, którego uważał za ojca, nigdy nie przywiózł mu żadnego podarunku ze swoich licznych podróży, a tego żołnierzyka kupiła mu sama.

Miała dwadzieścia pięć lat, nie była więc już wiośniwym dziewczęciem. Niewątpliwie mogła uchodzić za kobietę przystojną, choć na pewno nie piękną, tym bardziej że jej karnacja różniła się od obecnie preferowanej, szczupłe kształty odbiegały od modnych, zdecydowanie zaokrąglonych, a lśniące, ciemne loki starannie ukrywała pod koronkowym czepkiem.

Jakby tego było mało, zwykle nosiła proste luźne suknie z brązowej wełny. W eleganckim świecie aprobatę mogłyby zyskać najwyżej jej błękitne oczy, lecz Mary sama się odizolowała od salonów i takie myśli nawet nie przychodziły jej do głowy. Realnie traktowała życie i nie marzyła o niczym więcej, niż miała. Wystarczyło, że raz spróbowała...

Odegnęła wspomnienia i wbiła igłę w robótkę, którą skończyłaby jeszcze dziś, gdyby tak szybko się nie ściemniało. Zresztą miała już za sobą naprawdę dużo szycia i cerowania, bo pod nieobecność pana domu wszystkie prace w gospodarstwie szły dużo sprawniej. Przesiadali wtedy razem z chłopcem dłużej przy kominku, rozmawiali i opowiadali sobie różne historyjki, napawając się spokojną atmosferą.

Spojrzała z czułością na główkę dziecka i na chwilę przymknęła oczy, bo przypomniała sobie ostatnią kłótnię. Jak zwykle w żaden sposób nie mogła przekonać mężczyzny, na którego przyjazd teraz czekali, że nie ma racji. Na samą myśl o tym zadrzała i otuliła się szczelniej wełnianym szalem, choć w pokoju nie było zimno. Bezwiednie westchnęła.

- Co ci jest? - spytał chłopiec, podnosząc na nią swe szare oczy i uśmiechając się rozbrajająco.

- Nic, tylko źle widzę w tym świetle - mruknęła wymijająco.

- Ty nie lubisz, jak on tu przychodzi - stwierdził mały, nie patrząc jej w oczy, tylko coś dłubał przy złotych szamerunkach wymalowanych na bluzie żołnierzyka. - Odkąd mamusia umarła, nie lubisz, jak on tu jest.

Zaskoczyło ją, że chłopiec umie czytać w jej myślach. Nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć, gdy znów na nią spojrział i dodał takim tonem, jakby ją rozgrzeszał:

- Ja też nie lubię, kiedy tu przychodzi.

Wiedziała, o czym chłopiec mówi, bo pan domu traktował go bardzo surowo. Twierdził, że pokłada w nim wielkie nadzieje, dlatego jego syn musi zachowywać się bez zarzutu. Mary zdążyła się już przekonać, że jej protesty tylko pogarszają sytuację, więc ostatnim razem przygryzła język prawie do krwi, chociaż chłopak nawet nie pisnął pod razami trzcinki.

- Nie wolno ci tak mówić! - upomniała malca, odłożyła robótkę i położyła dłoń na jego miękkich, puszystych włoskach. - To twój ojciec i musisz go kochać! - Zniżyła głos do szeptu, a mały nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Rozumiesz? - upewniła się, gdyż nie odpowiadał.

Oczywiście dobrze ją zrozumiał, choć to, co usłyszał, niezbyt mu się spodobało. Ciężko westchnął, aż zadrżały jego wątłe ramionka, i zapatrzył się w zabawkę. Nie powiedział już nic więcej.

- Myślę, że czas już na podwieczorek. - Mary zmieniła temat, starając się, by jej głos zabrzmiał lekko i zwyczajnie. - Jesteś głodny?

Mały po chwili uniósł głowę, i ku radości swej opiekunki przytaknął.

- Ja też - oznajmiła i wstała. - Zaraz sobie zjemy gorące bułeczki z dżemem porzeczkowym i bitą śmietaną.

Paluszki dziecka wciąż przesuwwały się po zabawce, a ogień z kominka rzucał światło na jego włosy, czyniąc je tak samo złotymi, jak farba na mundurze żołnierzyka.

Na dworze było już ciemno, kiedy pan domu powrócił z podróży. Mary czekała na niego, podsycając ogień na kominku w salonie i zapaliwszy wszystkie lampy. Nie potrafiła być tak bezduszna, by wracający w zimowy wieczór z dalekiej drogi mężczyzna zastał mroczny i chłodny dom, jednak stanowczo wolałaby wcale nie oglądać swojego chlebodawcy. Niestety, z każdym tygodniem jego powroty przejmowały ją coraz większym strachem.

Marcus Traywick był jednym z najzamożniejszych kupców w okolicy i właścicielem solidnego domu z czerwonej cegły. Budynek ten postawiono zgodnie z jego szczegółowymi wytycznymi, gdyż nie ufał architektowi, po którego posiał aż do Londynu. Odrzucił wszelkie zbędne „fidrygluszki”, proponowane przez uznanego stołecznego fachowca, i w rezultacie powstał dom prostacki, toporny i pozbawiony choćby odrobiny polotu, czyli idealnie pasujący do właściciela.

Mary otworzyła mu ciężkie, dębowe drzwi i zaprosiła do środka, bo Traywick nie zatrudniał stałej służby, tylko do cięższych prac wzywał siwego weterana Boba Smithersa, który wrócił z wojny bez ręki, więc był szczerze wdzięczny za jakąkolwiek pracę. Zresztą Traywick przyjął go nie z dobrego serca ani pobudek patriotycznych, lecz ze względu na jego inwalidztwo, bo mógł płacić mu marne grosze. Cała reszta obowiązków domowych spadała na Mary Winters, która wypełniała je bez szemrania.

- Ależ zimnica, Mary! - narzekał Traywick, strząsając z bobrowej czapy śnieg, który topniał na podłodze holu. - Psa żal wygnąć!

Nie odpowiedziała, tylko pomogła swemu chlebodawcy zdjąć futro i rozwiesiła je w holu, by wyschło. Po tylu latach spędzonych w tym domu przekonała się, że kupiec nigdy nie oczekiwał od niej odpowiedzi. Odwrotnie, Marcus nie lubił żadnych komentarzy do swoich kwestii, gdyż psuło mu to humor na cały wieczór. Mary nauczyła się więc respektować w milczeniu stały rytuał powrotów pana.

Traywick szybkim krokiem przeszedł do salonu, aby ogrzać się przy kominku. Mary zatrzymała się przy drzwiach, obserwując z daleka, jak rozczapierza przed paleniskiem swoje wielkie, czerwone wskutek odmrożenia łapska. Nigdy nie nosił rękawic i naśmiewał się z tych, którzy ich używali, zwąc ich fircykami.

Mary nigdy nie komentowała jego słów, ale przez lata

nabrała obrzydzenia do prostackich, niezgrabnych łap. Kiedyś miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ale już dawno przestała uważać uczucia, jakie w niej wywoływały te czerwone, chropowate paluchy, za dowód niewdzięczności. Starła się o tym nie myśleć, lecz czasem te ręce prześladowały ją w snach jako odrażające twory oderwane od Traywicka i żyjące własnym życiem.

Próbowała odpędzić od siebie te dziecinne lęki. Poczekala, aż kupiec odwróci się od ognia i dopiero wtedy zapytała:

- Czy mam jeszcze coś zrobić dla pana?

Czasem życzył sobie kanapkę z serem lub szklaneczkę porto do poduszki, kiedy indziej zaś odsyłał ją bez żadnych poleceń, za co była mu wdzięczna.

- Już nic, dziękuję ci, Mary.

Zadowolona, obróciła się na pięcie, lecz gospodarz mówił dalej, a w niej na powrót zaczął narastać strach, który zdołała stłumić podczas jego trzytygodniowej nieobecności.

- Zanim jednak sobie pójdiesz, musisz mi odpowiedzieć na pytanie, które zadałem ci przed wyjazdem.

Zanim na powrót odwróciła się do niego, musiała chwilę odczekać, by zapanować nad sobą. Wiedziała bowiem, że znowu zacznie się dyskusja, do której coraz częściej nawracali w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Zawsze kończyła się taką samą konkluzją z jej strony, ale kupiec uporczywie próbował jej wmówić, że Mary na pewno się zgodzi, tylko potrzebuje czasu, by całą sprawę gruntownie przemyśleć.

- Nie mogę wyjść za pana, panie Traywick - powtórzyła po raz kolejny. - Myślałam, że pan już to zrozumiał.

- Mieszkaś w moim domu, Mary, a taka sytuacja jest dla nas obojga kłopotliwa. Ludzie zaczynają już o tym złośliwie gadać.

- Plotkarzy nigdy nie zabraknie, dopóki znajdą się chętni, aby ich słuchać. A w pańskim domu mieszkam już od ponad sześciu lat jako guwernantka pańskiego syna.

- Zgadza się! - Marcus Traywick wykrzywił grube wargi w szyderczym uśmiechu. - A przynajmniej zgadzało się, dopóki moja żona żyła pod tym samym dachem. Wtedy rzeczywiście nie było powodów do plotek, ale teraz sytuacja zasadniczo się zmieniła. Chyba to pojmujesz.

Mary Winters rozumiała to aż nadto dobrze, bo na jej rękach krucha i wątła jak trzcina Abigail Traywick wydała ostatnie tchnienie. Zdrowie odebrały jej zbyt częste poronienia, ale ostatecznie dobiła ją podstępna choroba, czyli złośliwy guz w brzuchu, który osiągnął rozmiary większe niż dziecko, którego daremnie oczekiwała.

Abigail Traywicka umarła tak, jak żyła przez ostatnie lata. Odkąd choroba wysysała z niej siły, dni upływały jej w towarzystwie Mary Winters i małego, jasnowłosego chłopca, który godzinami przesiadywał na jej przykrytym barwną kapą łóżku.

Te mile spędzane godziny trzymali w tajemnicy. Spotykali się, kiedy pan Traywick wyjeżdżał w interesach, ale szybko opuszczali przytulny, ciepły pokój Abigail, gdy pan wracał do domu.

- Potrzebuję żony, a chłopiec potrzebuje matki. Od ciebie zależy, czy zechcesz pełnić te obowiązki...

Inaczej mówiąc, potrzebował kogoś, kto zaspokajałby jego potrzeby cielesne, a tym kimś miała być właśnie ona, o czym wiedziała już od dłuższego czasu. Pierwsze awanse Traywick czynił jej jeszcze przed śmiercią Abigail. Niespodziewane dotknięcia ręki lub biodra, obleśne uśmiechy, pełne pożądliwości spojrzenia, wszystko to nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do intencji pana tego domu.

Nie zaprzestał egzekwować obowiązków małżeńskich od swojej żony nawet wtedy, gdy jej wychudłe ciało ledwo było widać pod kołdrą, nie licząc wzdętego chorobą brzucha. Mary dobrze wiedziała, na czym polegały jego wizyty, bo myjąc i pielęgnując umierającą kobietę, widziała na jej wyniszczonym ciele ciemne sińce. Mimo to jednak Abigail nakazywała, by przed spodziewanymi odwiedzinami męża ubierała ją w najładniejszą nocną koszulę.

Kiedy w końcu Mary odważyła się zapytać, dlaczego się zgadza na takie traktowanie, Abigail odpowiedziała, nie patrząc jej w oczy:

- Ponieważ on jest moim mężem. To jego prawo, a mój obowiązek. Nie mogę mu odmówić.

Cóż innego mogła wtedy zrobić Mary, jak nie przytakać, troskliwie chowając pod kołdrę przeraźliwie szczupłe ramię?

Traywick przywrócił ją do rzeczywistości, z uporem wracając do pytania, na które tyle razy już mu odpowiadała:

- Mary, pamiętaj, że są inne kobiety, a wszystkie bardziej niż chętne...

Wiedziała, że mówi prawdę. Był bogaty i ogólnie szanowany, a jego postawna figura świadczyła o tym, że dobrze mu się powodziło. Na pewno ludzie gadaliby, że ta stara panna Mary Winters zrobiła lepszą partię, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Czerwona gęba pana Traywicka i wypukłe oczka koloru błota nie stanowiły aż tak poważnych mankamentów, aby odstraszyć kobiety pragnące przejąć stery domu, w którym Mary mieszkała od ponad sześciu lat.

Przez te lata gospodarstwo niepostrzeżenie przechodziło ze słabnących rąk Abigail w sprawne ręce Mary, która nie wyobrażała sobie, aby mogła tu zamieszkać jakakolwiek inna kobieta.

Tak samo nie mogła sobie wyobrazić, że dzieli się z inną kobietą odpowiedzialnością za wychowanie chłopca. Na pewno nie wytworzyłyby się między nimi tak dobre stosunki jak z Abigail, z którą łączyło ją prawdziwe siostrzane uczucie.

- Możesz odejść lub zostać. Decyzja należy do ciebie - kontynuował z obrzydliwym uśmiechem Traywick. - Jeśli jednak zdecydujesz się zostać, to tylko jako moja żona.

- Miałabym odejść? - powtórzyła z niedowierzaniem. Czyżby chciał przez to powiedzieć...

- Nie przypuszczam, aby nowa pani Traywick zgodziła się dzielić z tobą prowadzenie domu, tak jak to robiła

Abigail. Jednak z nią było co innego, bo choroba wymusiła na niej pewne ustępstwa, ale inna kobieta...

Nie dokończył zdania, bo nie musiał, jako że sprawa była jasna. Groźba była dla Mary całkowicie czytelna. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma, w najczarniejszych snach bowiem nie spodziewała się takiego szantażu. Lecz wciąż się łudziła, że tak być nie może, dlatego zadała to najważniejsze pytanie:

- A co z Richardem?

Grube wargi Traywicka znów wykrzywił perfidny uśmiezek.

- Och, nie zapomniałem o nim. Oczywiście, że nie...

- Nawet jeśli się pan ożeni, chłopiec będzie potrzebował guwernantki. Przecież nie wiadomo, czy pańska druga żona zechce zajmować się pasierbem.

- Szczególnie gdyby doczekała się własnych, a przez to wielce umiłowanych synów... - podkreślił z naciskiem Traywick.

Tego wariantu Mary dotąd po prostu nie brała pod uwagę, co z jej strony było wielką nierozwagą, bo przecież wiernie służąc tyle lat Traywickowi, zdążyła go dobrze poznać i wiedziała, o co mu naprawdę chodzi. Był człowiekiem zachłannym i próżnym, a przy tym skończonym egoistą, dla którego liczyły się tylko jego własne pragnienia. Zdobył majątek i zbudował największą w okolicy rezydencję, by ludzie szanowali i bali się go, lecz do pełni szczęścia potrzebował jeszcze syna, jako potwierdzenia swojej męskości i ostatecznego zaspokojenia żądzы posia-

dania. Mary niby wiedziała o tym, lecz tak naprawdę nie brała tego pod uwagę.

Gdy wprowadziła się do Traywicków, od pięciu lat byli już małżeństwem, a gdy Abigail zmarła, związek trwał lat jedenaście. Przez ten czas na przykościelnym cmentarzu wyrosło osiem kamieni nagrobnych z nazwiskiem Traywick. Niektóre z dzieci urodziły się przedwcześnie, inne opuszczały łono Abigail martwe lub tylko po to, by zaraz wydać ostatnie tchnienie. I nim nieszczęsna, osierocona matka zdołała po poronieniu lub porodzie dojść do siebie, jej mąż już egzekwował swoje prawa, licząc, że tym razem wreszcie doczeka się zdrowego dziedzica.

Jednak to obsesyjne dążenie, tak w skutkach tragiczne dla Abigail, dotąd skutecznie chroniło pozycję Mary.

Teraz jednak sytuacja zmieniała się diametralnie, co potwierdziły następne słowa Traywicka:

- Richard jest wystarczająco duży, bym wysłał go do szkoły.

- Ależ on jest jeszcze dzieckiem! - zaproponowała spontanicznie Mary, choć dobrze wiedziała, że nie zda się to na nic.

Nie miała już złudzeń. Gotów był usunąć z drogi dziecko, do którego przyznawał się przez sześć lat, gdyż zaświtała mu nadzieja, że wreszcie dochowa się syna poczętego z własnych lędźwi. Chciał pod swój dach sprowadzić nową żonę, która miałaby do spełnienia trzy zadania: urodzić zdrowego chłopca, spełniać wszystkie seksualne zachcianki męża oraz prowadzić dom. Taką rolę mogła speł-

nić każda, byle nieszpetna oraz koniecznie zdrowa i płodna kobieta, Traywick bowiem, poza żądzą posiadania i zwierzęcą chucią, nie znał innych uczuć i nie był zdolny do prawdziwego związku. Najlepszą kandydatką była w tej chwili oczywiście Mary: jeszcze niestara i dość ładna, a przy tym udowodniła, że może rodzić zdrowych synów. Wzbudzała też w Traywicku prawdziwe pożądanie, a do tego dobrze sobie radziła z domem.

Mary wszystko to świetnie rozumiała, w tym również sprawę najważniejszą: gdyby przyjęła propozycję chlebowodawcy, Richard pozostałby przy niej, natomiast w innym przypadku...

- Decyzja należy do ciebie, Mary - powtórzył Traywick. - Czy chcesz zostać moją żoną i dalej prowadzić ten dom, który zaczęłaś już pewnie uważać za swój? Czy chcesz nadal opiekować się Richardem, jakby był twoim rodzonym synem?

Znów w jego słowach zabrzmiała ironiczna nuta, ale nie było sensu tego komentować, bo oboje znali prawdę. Mary powierzyła Traywickowi swego syna w zamian za prawo do mieszkania w jego domu, opieki nad dzieckiem i kobietą, która chętnie zgodziła się udawać, że wreszcie urodziła zdrowe dziecko. Abigail Traywick miała tak szlachetne serce, że nie tylko obdarzyła chłopczyka prawdziwie macierzyńską miłością, ale pozwalała go kochać tej cichej, skromnej dziewczynie, która zamieszkała w ich domu. Mało tego, wkrótce się z nią zaprzyjaźniła. Mary odpowiedziała więc tylko:

- Przecież pan wie, że nie opuszczę Richarda.
- Tylko wtedy, gdy zostaniesz moją żoną, bo nie masz do chłopca żadnych praw i o jego losach decyduję ja. - Traywick pokazał więc kij, by zaraz wyciągnąć marchewkę: - Mary, będę dla ciebie dobrym mężem. Sama wiesz, że Abigail nic nie brakowało.

Pamiętała nie tylko sińce na ciele Abigail, ale i rozpaczliwe łkania, które nieraz rozlegały się w upiornie ciuchym domu. Abigail w chwili załamania wspomniała kiedyś, w jaki sposób jej mąż egzekwował swe prawa, jak bardzo podniecały go cierpienia żony i do jakich seksualnych praktyk ją zmuszał.

Mary zadrzała. Jak w ogóle mogła zastanawiać się nad odpowiedzią?! Przecież poświęciła już dla dobra dziecka wszystko, co mogła. Zgodziłaby się nawet na fizyczną przemoc, ale gdy wyobraziła sobie, że musiałaby tolerować przy sobie to odrażające, opasłe cielsko, ogarnął ją przerastający wszystkie inne emocje wstręt.

Wspomniała młodego, silnego mężczyznę, z którym kochała się przed laty na plantacji porzeczek. Tamtemu przysięgała wierność w starej kapliczce i tymi ślubami czuła się związana.

- Nie mogę - wyszeptała.

Nagle poczuła, jak Marcus wziął ją pod brodę swoją tłustą łapą z pałkowatymi palcami. Ręce miał gładkie, niespracowane, inaczej niż jej, zniszczone przy ciężkich robotach gospodarskich. Dotychczas nie narzekała na obciążenie pracą, wdzięczna, że ona i jej synek mają gdzie mieszkać, są na-

jedzeni i ciepło ubrani, a także chronieni przed ludzkimi językami. Musiała przyznać, że Traywick, mimo swego okrucieństwa, prostactwa i nieposkromionej żądzы posiadania, w życiu codziennym nie był skąpy i rzetelnie wywiązywał się z umowy, jak na kupca przystało.

- Przemyśl to, Mary - nalegał. Przesuwał rękę po białej, gładkiej skórze jej szyi, aż doszedł do ramienia, wykonując lubieżne ruchy kciukiem tuż nad jej piersiami. Znow nie mogła opanować drżenia, ale Traywick, niezrażony, kontynuował swą przemowę: - Pomyśl do brze, czego pragniesz, a z czego możesz zrezygnować. Obawiam się, że Richardowi ciężko będzie przyzwyczaić się do warunków panujących w szkole, tego hałasu, ciągłych bójek między dziećmi... Słyszałem nawet o chłopcu, który się z tego powodu powiesił. No, może był nadmiernie wrażliwy... Ale kiedy przyjdą na świat inne dzieci, nie będzie innego wyjścia, chyba żeby przyjąć korepetytora...

Mary milczała, patrząc mu śmiało w twarz, nie broniąc się przed jego dotykiem. Jednak Traywick musiał zobaczyć w jej zaciętych rysach coś, co sprowokowało go do uśmiechu.

- Tylko nie zapomnij przygasić ognia.

Ścisnął jej ramię tak mocno, że aż zabolalo, a potem minął ją, zatrzymując się tylko dla zabrania kryształowej karafki z porto. Mary stała nieruchomo, dopóki nie ucichły jego kroki, zmierzające w kierunku pokoju, który przedtem dzielił z Abigail.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, siły całkiem ją opuściły. Na miękkich nogach podeszła do ognia, ale nie po to, aby zgodnie z poleceniem zgasić palenisko, tylko aby nacieszyć oczy widokiem tańczących płomieni. Nie widziała ich jednak wyraźnie, bo jej wzrok zamglony był łzami. Zamrugła, aby osuszyć powieki.

Oparła na gzymsie kominka drżącą rękę. Wprawdzie dotychczas zawsze kroczyła raz obraną dobrowolnie lub z musu drogą, tym razem jednak czuła, że jest u kresu wytrzymałości.

W kazaniach swego ojca nieraz słyszała, że Bóg nie zsyła na człowieka więcej cierpień, niż ten jest w stanie znieść. Tego dnia jednak po raz pierwszy w życiu Mary Winters zważyła, czy wystarczy jej stanowczości, aby wytrwać w swoim postanowieniu.

Odczuła chłód, więc chciała szczelniej otulić się kołdrami. W półśnie pomyślała, że pewnie ogień całkiem wygasł, lecz gdy sięgnęła po przykrycia, zorientowała się, że są tak rozrzucone, jakby ktoś odkrył ją celowo.

Jeszcze nie do końca rozbudzona, poczuła nad sobą potężne ciało. Rozpaczliwie krzyknęła.

Sądziła, że znów dręczy ją senny koszmar, co ostatnio zdarzało się często. Widywała wtedy czerwone ręce Traywicka, podobne do obrzydliwych pajaków, zachłanne i przerażająco mordercze. Lecz gdy się budziła, mara zniknęła, teraz jednak było inaczej, nie był to bowiem sen, tylko przerażająca rzeczywistość. Prawdziwa ręka posuwała

się wyżej, odsuwając bawełnianą koszulę, a kolano brutalnie pchało się między nogi Mary.

Zrozumiała, że znalazła się w sytuacji beznadziejnej, czym bowiem był jej opór wobec zwierzęcej siły gwałciela? Nie mogła nawet krzyknąć, bo nikt nie przyjdzie jej z pomocą, i tylko Richard mógłby się wystraszyć...

- Nie! - zażądała stanowczo, odpychając oburącz grube palce.

Próbowała złączyć nogi, ale skończyło się na tym, że tylko ścisnęła kolano Traywicka, który napierał coraz mocniej i ustami dobrał się do jej piersi. Obróciła się jakimś cudem na bok, na chwilę umykając się spod opasłego brzucha i obmierzłych ust. To małe zwycięstwo dodało jej sił. Powtarzała sobie przy tym, że przecież jej chlebodawca nie może tego zrobić!

Tymczasem Traywick wolną dłonią chwycił ją za nadgarstki i wykręcił ręce nad głowę, a drugą rękę przesunął wzdłuż uda, by ostatecznie zawłaszczyć jej intymnością.

- Nie! - próbowała się opierać.

- Psst, Mary! - szepnął z wargami na jej policzku. W palącym oddechu poczuła cuchnący, słodko-mdły zapach wina.

- Nie! - błagała, miotając się i próbując go odepchnąć.

- Obudzisz dziecko! - przestrzegł ją schrypniętym głosem.

Odnalazł jej usta i wepchnął w nie swój gruby język, na którym pozostał smak wina. Poczuła obezwładniający wstręt, jakby między jej wargi wtargnął obślizgły wąż. Pa-

rówkowate paluchy nadal z całych sił ugniatały jej uda. Nie była to pieszczota, lecz bolesna, sadystyczna tortura, w czym Traywick tak bardzo się lubował. Biedna Abigail musiała to znosić przez jedenaście lat, nawet gdy była już śmiertelnie chora...

Prawem kontrastu, na przekór straszliwej świadomości, że nie ma już na nic wpływu, Mary przypomniała sobie delikatne palce Nicka Stantona, w zmysłowej pieszczocie niosące najcudowniejszą z rozkoszy.

Teraz jednak stawała się ofiarą brutalnego, bezwzględnego gwałtu. Traywick nie szukał prawdziwej miłości, bo nie był do niej zdolny, lecz dążył do zaspokojenia zwierzęcej chuci, a opór ofiary dodatkowo go podniecał.

Mary zrozumiała to - i pojęła coś jeszcze. Nie miała już wprawdzie nadziei, że zdoła wyrwać się z uścisku gwałtciciela, musiała jednak walczyć do końca, by uratować to, co było dla niej najświętsze. Gdyby bowiem uległa z własnej woli, gdyby przestała się opierać ze wszystkich sił - unieważniłaby tajemny ślub. „Dopóki śmierć nas nie rozłączy...”.

Cicho załkała, porażona poczuciem krzywdy, a potem zebrała się w sobie - i z całej siły ugryzła Traywicka w język, który wciskał w jej usta.

Poczuła krew - i wreszcie mogła złapać haust świeżego powietrza.

- Nie! - krzyknęła głośno, gotowa walczyć do upadłego. - Precz ode mnie!

Zaskoczony bólem Marcus uwolnił jej prawą rękę, a Mary natychmiast zaczęła spychać go z siebie.

- Trzeba dać ci lekcję dobrego wychowania - mruknął, wyraźnie ubawiony, a zarazem zadowolony z jej oporu.

Nie było w nim złości, bo i tak za chwilę miał dostać to, co chciał, a dodatkowe atrakcje tylko go cieszyły. Spokojnie wymierzył cios, jakby celował w uprzykrzoną muchę. Nie za mocno, bo nie chciał przecież deformować tej ładnej buzi, lecz i nie za słabo, by nauka nie poszła w las. Jednak Mary poczuła się tak, jakby spadło na nią młyńskie koło. Twarz jej zdrętwiała, z warg popłynęła krew, ale nie o to chodziło. Nigdy jeszcze nikt jej nie uderzył, nawet w dzieciństwie, i ten policzek poniżył ją, zdawał się niweczyć dumę. Oszłomiła i poraziła ją do głębi myśl, że gdyby jej kat bił tak dłużej, godzina po godzinie i dzień po dniu, wreszcie zatraciłaby się w swym ponizeniu i stała się bezwolną kukłą, zdolną jedynie do wykonywania wszelkich rozkazów swego pana i władcy.

- Nie! - krzyknęła, przerażona tą wizją.

I wtedy otworzyły się drzwi.

- Coś ty zrobił Mary? - zapiszczał przerażonym głosem Richard.

Traywick zawahał się przez chwilę, a potem nieco się uniósł i spojrział przez ramię, Mary zaś gorączkowo myślała, czy ośmieli się też uderzyć dziecko.

Wiedziała, że tak, bo pamiętała złowrogie odgłosy smagającej trzciny. Wtedy podkułiła obnażone nogi i z całej siły kopnęła Traywicka, odrzucając go daleko od siebie.

Kupiec nie spodziewał się tak energicznej obrony, ale okazał się zrećniejszy, niż wskazywałaby na to jego tusza. Jakoś utrzymał się na nogach, ale rozpaczliwie próbując zachować równowagę, zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu.

Cofał się w kierunku kominka, na którym wciąż tlił się żar. Marcus Traywick uderzył głową w gzyms i wylądował wprost w palenisku, trafiając policzkiem w gorący ruszt. Po pokoiku rozpełzł się swąd spalonych włosów i odrażający fetor przypiekanego ciała.

Mary błyskawicznie wyskoczyła z łóżka, uklękła przy leżącym bez czucia napastniku i odciągnęła go od paleniska.

W tej chwili prześladowała ją tylko jedna myśl - że zabiła człowieka, który przez tyle lat dawał jej i dziecku dach nad głową.

Poczuła na ramieniu małą rączkę synka.

- Mary, czy on nie żyje?
- Nie wiem - wyszeptała.

Nie wiedziała, jak wyjaśnić malcowi to, co przed chwilą ujrzał.

- Jeśli żyje, to zaraz mu dołożę! - oświadczył wojowniczo Richard. Dopiero teraz Mary spostrzegła, że ściska w małej rączce pogrzebacz. - Zabiję go za to, że zrobił ci krzywdę!

Do głębi poruszona Mary otoczyła ramionami dzielnego chłopca.

- Nie wolno nikogo zabijać - pouczyła, przyciskając

usta do jasnych włosów. - Brzydko jest nawet życzyć komuś śmierci!

Wiedziała, że została w ten sposób ukarana za swoją dumę. Pragnęła śmierci Marcusa Traywicka i jej życzenie się spełniło. Będzie musiała odpokutować za ten grzech. Przytulając Richarda, zastanawiała się, jak wysoką cenę przyjdzie jej zapłacić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Długie palce księcia Vaila spoczywały spokojnie na gładkiej powierzchni sukna. Mimo że zaryzykował dużą sumę, obojętnie przyglądał się podliczaniu punktów. Inni klienci White'a odeszli od swoich stolików, aby kibicować jego wysokości, bo gra szła o wysoką stawkę.

Wszyscy ci panowie należeli do arystokratycznej śmietanki i posiadali wielkie majątki, ale i tak nie mogli się równać z honorowym gościem dzisiejszego wieczora. Książę Vail, członek najbardziej ekskluzywnego klubu w stolicy, obecnie rzadko przyjeżdżał do Londynu, a jeśli już, to na pewno nie po to, aby grać w gry hazardowe, do jakich nawykli panowie z towarzystwa. Tym większą sensację wywoływał.

Nikt nie wiedział, dlaczego książę przyszedł do klubu, ani też dlaczego zgodził się usiąść do kart, i wszyscy cieszyli się, że będą mieli o czym opowiadać przez najbliższe tygodnie. Nie wiedzieli jeszcze, że otrzymają dużo pikantniejszy materiał do plotek, niż się spodziewali.

- Mamy już sześćdziesiąt punktów - wycedził wicehrabia Salisbury, wiedział bowiem, ile przegrał i jak na to

zareaguje jego ojciec. W najlepszym razie nakaze synowi spędzić cały sezon na wsi.

- A więc mam partię - oznajmił Vail.

Silił się na obojętność, ale w jego szarych oczach pojawił się cień współczucia dla młodego elegancika, któremu właśnie opróżnił kieszenie. Przemknęło mu nawet przez myśl, by zwrócić przegraną, bo przecież sam nie potrzebował tych pieniędzy. Wiedział jednak, że taka propozycja byłaby dla szlachcica dużo bardziej upokarzająca niż strata finansowa, dlatego tylko oświadczył:

- Dziękuję panom.

Zaczął zbierać stawki pozostałych graczy, byle jak rzucając banknoty na kupkę. Jeszcze czterdzieści lat temu robiłby to karzeł lub hinduski chłopczyk ubrany w bogato zdobiony strój narodowy. Czasy się jednak zmieniły i nawet najwyżej postawione osobistości zniżały się do samodzielnego inkasowania wygranej. Niektórzy, między nimi Vail, demonstrowali wyrazem twarzy, że efekt nie jest wart tego wysiłku.

- Słyszałem, że gdyby nie ty, wniosek Wellingtona w Izbie Gmin na pewno by upadł - wtrącił jeden z graczy.

- Chociaż nie zawsze mam czas zajmować się polityką, tym razem zgodziłem się poprzeć Wellingtona. Należało mu się, choćby za jego wytrwałość - odrzekł książę, nie podnosząc oczu znad stolika.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - zauważył Essex. - Przypuszczam, że specjalnie wróciłeś z Francji, aby zabrać głos w tej dyskusji?

- W ciągu ostatnich miesięcy zatrzymywały mnie tam sprawy rodzinne, ale już wszystkie załatwiłem. Dzięki Bogu, mogłem wrócić na czas, aby postawić się do dyspozycji Wellingtona.

- Ale straciłeś prawie cały sezon! - skomentował ktoś współczująco.

- Rzeczywiście - przyznał książę, a w jego oczach rozbłysły wesołe iskierki, ponieważ zupełnie sobie nie cenił uroków sławnego londyńskiego sezonu. - Bardzo mi przykro - dodał, choć jasne było, że to nieprawda.

Obecni nie wiedzieli, czy powinni się roześmiać, czy też nie. Na tym właśnie polegał kłopot z księciem Vailem! Trudno było wyczuć, czy dyskretna ironia w jego słowach miała na celu rozbawienie towarzystwa. Zapanowało więc milczenie, dopóki książę, zdając sobie sprawę z zakłopotania słuchaczy, podniósł na nich swe chmurne, szare oczy i przesunął wzrokiem po twarzach.

- Czy w tym sezonie działo się coś szczególnie ciekawego? - spytał, unosząc jedną brew wyżej.

Drobne zmarszczki, znaczące pełną męskiej urody twarz, nie powstały wskutek rozwiązłego trybu życia. Przeciwnie, oblicze księcia emanowało szlachetnością i surową prostotą, natomiast widoczne piętno cierpienia spowodowały tragedie rodzinne.

Nieco lekceważący ton tego pytania oznaczał, że dla księcia Vaila nawet najważniejsze wydarzenia londyńskiego sezonu znaczyły tyle co błahe ciekawostki. Szlachetnie urodzeni panowie doskonale wiedzieli, że książę rzadko

opuszcza swój rozległy majątek ziemski, gardząc życiem towarzyskim, starali się więc przytoczyć jakiś naprawdę sensacyjny incydent, który przykułby uwagę arystokraty.

- Lucy Sanderson ma nowego dzieciaka - zaryzykował któryś z gości. - Oczywiście nie wiadomo, kto jest ojcem. Pewne jest tylko jedno, że nie Sanderson.

Nie wysilił się zbytnio, bo na ten temat nie dało się już nic więcej powiedzieć. Owszem, kiedy tylko ta dama zaszła w ciążę, czyniono zakłady, do kogo dziecko będzie podobne, gdy jednak się urodziło, okazało się tak pospolitej urody, że nie sposób było wskazać potencjalnego ojca i zakład pozostał nierozsytrygnięty. Wyraz twarzy księcia też pozostał niezmienny - malowała się na niej uprzejma nuda.

- Najmłodsza córka Cheatinghama uciekła z łowcą posagów - zaserwował następną rewelację lord Alton. - Hrabia dogonił ich w połowie drogi do Szkocji, ale wcześniej złamała mu się oś, więc zdążyło się zdarzyć to i owo.

- Zanim Cheatingham się dowlókl, młode ptaszki powtórzyły „to” i dołożyły jeszcze „owo” - uzupełnił z odpowiednią intonacją znajomy lorda i po sali przebiegł szmer aprobaty.

- Ta dziewczyna ma wprawdzie dziesięć tysięcy posagu, ale również piegi i zeza, więc powinna być szczęśliwa, że ktoś fatygował się sfingować porwanie - dodał Alton.

Jednak i ten incydent nie rozśmieszył księcia, uznał go bowiem za drobny skandalik bez znaczenia.

- Ciekawe, jak skończy się proces Mary Winters - rzucał ktoś inny.

Bywalcy klubu znali już tę historię, chociaż działa się ona w niższych sferach i do tego na prowincji. Stała się jednak popularna, jako że zawierała pieprzyk, który niezdrowo podniecał zblazowane umysły londyńskich lwów salonowych. Rozpusta i przemoc, samotna córka pastora i owdowiały kupiec, wszystko to, podane w odpowiedniej otoczce z mnogimi znakami zapytania, było szeroko komentowane w towarzystwie, podobnie jak sceniczne i pozasceniczne wyczyny pewnej baletniczki, lub też harde i bluźniercze zachowanie przed sądem wyjątkowo zadowolonego bandyty.

- Mary Winters? - powtórzył Vail już innym tonem. Świadczyło to o jego zainteresowaniu tematem, co zdarzyło się po raz pierwszy tego wieczoru. Koledzy klubowi zaczęli więc zasypywać go szczegółami.

- To służąca, która chciała zamordować swego chlebodawcę. .. - zaczął Alton, ale inni od razu go zakrzyczeli.

- Nieprawda, była guwernantką jego syna...

- Wcale nie jest pewne, czy chciała go zabić. Ponoć uderzyła w obronie własnej...

- Każdy tak się może bronić, ale przecież...

- Podobno kupiec przyłapał ją na kradzieży. Często wyjeżdżał w interesach, a ona wtedy nie tylko go okradała, ale też głodziła jego umierającą żonę i syna - dowodził Alton, przekrzykując liczne głosy protestu. - Naturalnie Traywick ją zbeształ i zagroził sądem, a wtedy Mary Win-

ters rzuciła się na niego z pogrzebaczem, a nieprzytomnego wepchnęła w palenisko kominka. Kupiec ma strasznie poparzoną twarz i uszkodzony wzrok.

- Taka jest wersja kupca - sprostował obojętnie wicehrabia. - Jednakże wieśniacy, którzy mieli kontakt z tą kobietą, nie wierzą jego zeznaniom, które na dodatek nie wyjaśniają, skąd wziął się ślad po uderzeniu na jej twarzy.

- A jaka jest ich wersja? - zainteresował się Vail, patrząc nie w oczy rozmówcy, lecz na swoje paznokcie. Ruchy jego palców nie zdradzały napięcia, lecz serce zaczęło mu bić mocniej. Niedbale bawił się jedną z kart pozostałych po zapomnianej już grze. Jak na ironię, była to dama kier.

- Ci ludzie twierdzą, że Traywick ją napastował, a ona tylko się broniła - wyjaśnił wicehrabia Salisbury. - Jego żona niedawno zmarła, a ten kupiec jest znany ze swoich wybujałych żądz i zboczonych upodobań. Nawet wśród miejscowych panienek lekkich obyczajów krążą niesamowite historie o jego wyczynach. Po śmierci pani Traywick guwernantka nadal mieszkała w jego domu, bo nie miała rodziny, do której mogłaby się udać. Pewnie liczył, że gwałt ujdzie mu płazem, albo że taka stara panna postara się go zadowolić, by mieć go na dłużej, a może nawet zostać jego żoną.

- Ale ona była kompletnie ubrana, kiedy wybiegła na wieś szukać pomocy! - przypomniał któryś ze słuchaczy.

- W domu została podarta nocna koszula jako dowód jego napaści.

- Mogła sama ją podrzeć, aby uwiarygodnić swoją wersję wydarzeń...

Członkowie klubu przerzucali się tymi samymi argumentami, które padły już nieskończoną ilość razy, od kiedy wieści o prowincjonalnym skandalu dotarły do stolicy. Okoliczności towarzyszące tej sprawie rozpały tyle emocji, że proces Mary Winters miał wszelkie szanse stać się jedną z sensacji sezonu.

- Zauważcie, panowie, że dziecko od tego czasu zaniemówiło - zwrócił uwagę lord Alton. - To pewny dowód na to, że stało się coś strasznego.

- Na przykład zobaczył swoją ukochaną guwernantkę napastowaną przez pijanego ojca!

- Traywick pił, co do tego nie ma wątpliwości. Policjant znalazł w jego pokoju opróżnioną karafkę po porto.

- Ta kobieta mogła wylać wino dla nadania wagi swoim słowom!

- A dlaczego Mary Winters była ubrana?

- Miała biec do wsi nago? Rusz głową, człowieku!

- No i nikt nie wie, co naprawdę zobaczyło dziecko, bo Traywick nie pozwalała go przesłuchać.

- I jak się to wszystko skończyło? - Głos księcia przerwał cczą paplaninę. Jego arystokratyczni przyjaciele umilkli, zaskoczeni pytaniem, ale wreszcie dotarło do nich, że Vail przebywał poza krajem, więc nie znał szczegółów tak oczywistych dla wszystkich.

- Ta sprawa jeszcze się nie skończyła - wyjaśnił Alton.
- Oskarżenie o usiłowanie zabójstwa to zbyt poważny za-

rzut, aby mógł go rozpatrywać miejscowy sędzia pokoju. Odłożono więc rozprawę do najbliższej sesji sądowej i proces ma się odbyć w tym tygodniu.

- A gdzie? - zapytał Vail.

Twarz księcia nagle się odmieniła, rysy skamieniały, a wzrok stał się tak ostry i przenikliwy, jakby ktoś ośmielił się wtargnąć na teren jego czujnie strzeżonej posiadłości.

- W Penhurst - poinformował go Harry Caldwell. Orientował się w tej sprawie lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż jego ojciec był właścicielem największego dworu w tej okolicy.

Wargi księcia lekko drgnęły. Penhurst leżało zaledwie dzień drogi od jego majątku, a więc Mary Winters daleko nie uciekła, chociaż przez tyle lat daremnie jej poszukiwał.

- Wybaczcie, panowie, ale będę musiał wybrać się w małą podróż - oświadczył i wstał.

Chociaż przesiedział przy zielonym stoliku kilka godzin, jego czarny surdut, spodnie, jedwabna kamizelka i sztywny, biały kołnierzyk jakby dopiero co wyszły spod rąk służącego. Poprawił mankiety i podniósł oczy na zebranych, widząc zdziwione miny tych, którzy koniecznie chcieli go rozruszać.

- W podróż? - powtórzył dla pewności zaskoczony Harry Caldwell.

- Tak, do Penhurst, o ile dobrze zrozumiałem.

- Czyżbyś chciał uczestniczyć w procesie Mary Winters? - zapytał za wszystkich Alton.

- Bo widzicie, panowie, krąży tu błędna opinia, jakoby

Mary Winters nie miała obrońcy - odpowiedział Vail prosto z mostu.

Przez uprzejmość spuścił głowę, aby nie manifestować zbytnej wesołości na widok tyłu rozdziawionych gąb. Mógł sobie wyobrazić, jakie zawzięte dyskusje spowoduje jego wypowiedź przy stołach biesiadnych i karcianych stolikach.

A niech sobie plotkują i niech ich diabli porwą!

- Jeszcze raz, panowie, życzę wam dobrej nocy.

Członkowie klubu obserwowali w milczeniu, jak jego wysokość księżę Vail bez pośpiechu zbiera się do wyjścia.

Mary Winters tak długo wypytywała, aż dowiedziała się, czego może oczekiwać. Nie miała przecież pojęcia, jak wygląda procedura sądowa, ale kiedy miejscowy policjant o wszystkim ją poinformował, odkryła w niej wiele nieprawidłowości. Cóż jednak z tego, że widziała jawną niesprawiedliwość postępowania procesowego, skoro nie miała na to żadnego wpływu?

Wy tłumaczono jej, że jako oskarżona nie będzie miała prawa składania zeznań, a zatem nikt nie wysłucha jej wersji wydarzeń. Założono więc z góry, że popełniła zbrodnię, i na tej przesłance opierano całe śledztwo. Zwrócono się wprawdzie do niej z zapytaniem, czy chce mieć adwokata, ale nie miała przecież środków na jego opłacenie, więc mogła tylko bezradnie pokręcić głową.

Wynikało z tego, że ani nie będzie miała obrońcy, ani jej samej nie pozwolą powiedzieć nic na swoją obronę.

Równocześnie zapewniano ją, że sędziowie są ludźmi godnymi zaufania i dotrą do jądra prawdy, ale prawdę tę znały zaledwie trzy osoby, a z nich tylko jedna miała być dopuszczona do składania zeznań...

Siedziała w więzieniu przez długie tygodnie, zanim sąd zebrał się na sesję. Przez cały ten czas rozmyślała w kółko o tym samym. Nie dawała jej spokoju świadomość, że Marcus Traywick ma prawo oskarżyć ją o usiłowanie zabójstwa, a ona nie będzie miała prawa się bronić.

Zadreczęzała więc strażaków pytaniami o swoją sytuację. Wyjaśniali cierpliwie, choć nie rozumieli przyczyn jej niepokoju. Tłumaczyli, że angielskie prawo działa na tych zasadach od stuleci. Obowiązkiem sędziów jest dociec prawdy, więc Mary powinna im zaufać.

W tamten zimowy poranek, kiedy wybiegła do wsi szukać pomocy dla swego pana, zamknięto ją w okręgowym więzieniu. Siniec po uderzeniu zaczął już ciemnieć, a nos jej spuchł, lecz ona obawiała się wtedy tylko o życie człowieka, którego uderzyła i zostawiła nieprzytomnego w domu.

Przez źle pojęte poczucie wdzięczności nie chciała oskarżyć mężczyzny, który przez sześć lat dawał schronienie jej i Richardowi. Nie spodziewała się jednak, jak perfidnie Traywick opíše wydarzenia tamtej nocy.

Miała trzy miesiące na przemyślenie, dlaczego była taka głupia i nie wyznała całej prawdy choćby tej sympatycznej kobiecie, która opatrywała jej obrażenia. Kiedy mężczyźni

z wioski pojechali do miasta prosić o łaskę, było już za późno.

W więzieniu pozwolono jej haftować i czytać Biblię. Odwiedzał ją także proboszcz tutejszej parafii, by udzielić *pociechy* religijnej. Nie znał jednak historii życia Mary, a ona nie zamierzała mu o niej opowiadać.

Oczywiście Richarda do niej nie dopuszczano. Ostatni raz widziała go tamtej zimowej nocy, nad nieruchomym ciałem mężczyzny, którego uważał za ojca. Myśl, że może już nigdy nie zobaczy synka, była jak cierń w sercu. Największym jednak bólem i przerażeniem napawała ją myśl, że Richard jest bez reszty zdany na łaskę i niełaskę Traywicka.

Dobrze wiedziała, że jej postępek skrupi się na chłopcu, dlatego teraz marzyła o tym, co przedtem napawało ją lekkiem, a mianowicie by Marcus wysłał jej syna do szkoły. Inaczej Richard będzie systematycznie katowany, co do tego Mary nie miała żadnych wątpliwości.

Przez resztę zimy i pierwsze dni wiosny modliła się więc tylko o pomyślność syna, jako że sama nie miała na co liczyć. Zamożny i ustosunkowany kupiec, który wnosił przeciwko niej oskarżenie jako poszkodowany, zdecydowanie przewyższał ją w hierarchii społecznej. Ostatnią nadzieję straciła, gdy jej prośba o ułaskawienie pozostała bez odpowiedzi. Nie było więc na tym świecie nikogo, kto chciałby ująć się za biedną guwernantką.

Sala sądowa pękała w szwach od ciekawskich. Możli-

wość usłyszenia drastycznych zeznań na temat usiłowania gwałtu przywabiła łowców sensacji nawet z samego Londynu.

Mary nie spała przez całą noc, szykując się na ciężką próbę, jaką miało być wysłuchiwanie kłamstw Marcusa Traywicka. Co prawda przez pewien czas łudziła się, że na procesie choć z daleka zobaczy syna, ale szybko przekonała się, że kupiec nie zgodził się na przesłuchanie Richarda, motywując to dobrem dziecka. Ogromnie pogarszało to sytuację Mary Winters, oskarżonej o ciężką zbrodnię.

Richard, gdyby pozwolono mu zeznawać, potwierdziłby z pewnością jej wersję wydarzeń. Z drugiej strony jednak wyobrażała sobie, jak ciężkim przeżyciem byłoby dla chłopca uczestniczenie w procesie i wysłuchiwanie oszczerstw rzucanych pod jej adresem. Skoro nie udało się jej wyswobodzić syna spod władzy Traywicka, wolała znieść najcięższą karę, niż narażać malca na kontakt z najbrudniejszą stroną życia.

Mary nie spodziewała się, że jej proces przyciągnie takie tłumy. Starła się zachowywać pozory spokoju, ale nie mogła udawać, że nie widzi wścibskich oczu, zachłannie taksujących jej rysy. Rozprawa w końcu się rozpoczęła, lecz gwar wciąż nie ustawał.

Nie zrobiła na niej wrażenia twarz Marcusa Traywicka, zniekształcona paskudną blizną. Kupiec znacznie schudł i wełniane ubranie luźno zwisało na jego niegdyś potężnej figurze. Omiótł Mary wzgardliwym spojrzeniem, a potem

już tylko śledził postępowanie procesowe. Nie patrzył na nią, kiedy powtarzał te same kłamstwa, które naopowiadał policjantowi, gdy już odzyskał przytomność, ale cierpiał z powodu oparzenia i miotał się z wściekłości.

Do składania zeznań dopuszczono tylko policjanta, Traywicka i lekarza, który udzielał kupcowi pierwszej pomocy. Mary, jak się tego spodziewała, nie udzielono głosu.

Kiedy zakończono już przesłuchiwanie świadków oskarżenia, Mary sama spróbowała zwrócić się do sędziów, którzy w uroczystych togach i perukach reprezentowali angielskie prawo. Oczywiście przewodniczący składu sędziowskiego natychmiast kazał jej zamilknąć. Poinformował ją nawet, że sąd nie jest zainteresowany wysłuchiwaniem oskarżonych.

- Ale chyba wysokiemu sądowi zależy na ustaleniu prawdy? - zaproponowała spokojnie Mary. - Przecież po to panowie tu przyjechali.

- Przyjechaliśmy tu po to, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia pan oskarżyciel. On padł ofiara przestępstwa, a więc tylko on ma prawo domagać się sprawiedliwości.

- Ależ, wysoki sędzie, przecież stawką w tej sprawie jest moja wolność, więc chyba również ja mam prawo domagać się głosu - replikowała spokojnie Mary. - No, ale jeśli wysoki sąd daje posłuch tym kłamstwom, to widzę, że na sprawiedliwość nie mam co liczyć.

- Jeśli oskarżona jeszcze raz się odezwie, każę usunąć ją z sali.

- Przynajmniej wtedy nie będę musiała słuchać obelg pana Traywicka pod moim adresem.

- Milczeć! - ryknął sędzia. Najwidoczniej nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło, aby oskarżony protestował przeciw jego decyzjom. Uznał, że bezczelne wystąpienie tej kobiety potwierdza tylko prawdziwość słów jej oskarżyciela. - Sądu nie interesuje, co oskarżona ma do powiedzenia.

- Więc może pana przewodniczącego zainteresuje to, co ja mam do powiedzenia? - odezwał się donośny, męski głos z ostatnich rzędów. W ciszy, która zapadła po wybuchu gniewu sędziego, te spokojne słowa zabrzmiały ze zdwojoną siłą.

Wszystkie oczy zwróciły się w tamtym kierunku, aby zobaczyć, kto to powiedział. Jedynie Mary Winters nie musiała się wysilać, bo od razu poznała, czyj to głos.

- A pan kim jest, żeby zakłócać przebieg rozprawy? - zapytał przewodniczący składu sędziowskiego tak samo karcącym tonem jak wtedy, gdy zwracał się do oskarżonej.

- Przepraszam, panie przewodniczący, że się nie przedstawiłem. Nazywam się Vail - oświadczył wysoki blondyn z ostatniego rzędu.

Te proste słowa wywarły piorunujący efekt. Przewodniczącemu sądu opadła szczeka, a na sali podniósł się szum jak w ulu. W tym hrabstwie dobrze znano to nazwisko, należało bowiem do jednego z najstarszych arystokratycznych rodów w Anglii. Książę Vail posiadał nie tylko ogromny majątek, ale i znaczne wpływy w sferach rzą-

dowych. Jasne było, że kogo jak kogo, ale jego ten sąd wysłucha na pewno.

Książę Vail, jak zwykle, nosił się na czarno, a strój ożywiał tylko nieskazitelnie biały krawat ze złotą szpilką. Nie miał nawet herbowego sygnetu na żadnym z długich palców, splecionych na złotej gałce hebanowej laseczki.

- Wydaje mi się, panie przewodniczący, że zaszła tu jakaś pomyłka - zagaił Vail.

- Pomyłka? - powtórzył oszołomiony sędzia, próbując odzyskać autorytet, który podkopał ten dziwny intruz z najwyższych sfer.

- Tak, bo nie tylko zarzuty stawiane oskarżonej są wręcz śmieszne, ale ten sąd nie ma prawnych właściwości do rozpoznawania tego rodzaju sprawy.

- Czy mogę spytać waszą wysokość dlaczego? - Sędzia już swobodniej zakwestionował to stwierdzenie, gdyż dyskusja przeniosła się na grunt przepisów prawnych. Łudził się, że książę Vail mógł być po prostu źle poinformowany.

- Dlatego, że ten sąd nie ma uprawnień, by sądzić Mary Winters.

- Doprawdy, wasza wysokość? Przepraszam za moją śmiałość, ale czy książę byłby łaskaw dokładniej uzasadnić swój pogląd?

Vail lekko się uśmiechnął i poszukał wzrokiem malutkiej twarzyczki w kształcie serduszka. Znalazł ją i wbrew intencjom Mary Winters ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Panowie, mam zaszczyt przedstawić wam jej wysokość księżną Vaii.

Mniejsze zaskoczenie wywołałaby, gdyby rzucił się na Traywicka z pięściami!

- Księżną Vail? - powtórzył przewodniczący składu sędziowskiego, usiłując przekrzyczeć wrzawę.

Mało kto w tym tłumie zauważył, że Mary Winters, choć przez cały czas trzymała głowę dumnie podniesioną, teraz ją opuściła i na chwilę przymknęła oczy. Ci, którzy to zauważyli, mogli błędnie sądzić, że modliła się, dziękując Bogu za cudowne wybawienie. Oczywiście sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Nick widział zachowanie Mary, ponieważ przez cały czas ją obserwował. Musiał przyznać, że był wstrząśnięty jej gestem, choć powziął twarde postanowienie, aby za wszelką cenę przeprowadzić swój plan. W duchu powtarzał: „Bądź dzielna, Mary, kochanie!”, choć emanował kamiennym spokojem.

- Wzięliśmy ślub w kościele należącym do parafii jej ojca, w kwietniu 1815 roku - wyjaśniał Nick. - Przykro mi, ale jak większość mężów, nie pamiętam dokładnej daty.

Widzowie na sali sądowej, inaczej niż londyńscy arystokraci, nie mieli trudności z należytą interpretacją słów księcia i zareagowali śmiechem na to autoironiczne oświadczenie.

- Naprawdę? - bąknął słabym głosem przewodniczący składu sędziowskiego.

Marcus Traywick od razu zorientował się, że sprawy przybierają niekorzystny dla niego obrót.

- Chyba wysoki sąd nie zamierza traktować poważnie tych bzdur? - wykrzyknął. Biała blizna na jego policzku od razu poczerwieniała ze złości.

- Zwracam uwagę wysokiego sądu, że nie przywykłem, aby moje słowa nazywano bzdurami - przestrzegł spokojnie Vail. - A panu Traywickowi radziłbym, żeby dobrze się zastanowił, zanim ponownie wystąpi z takimi zarzutami.

Było to wprawdzie zawoalowane, ale jednak bardzo czytelne ostrzeżenie nie tylko dla oskarżyciela, lecz również dla sądu Jego Królewskiej Mości. Mary Winters leciutko się uśmiechnęła, lecz szybko na jej twarz powróciła powaga.

Vail dobrze wiedział, co mówi. Traywick mógł mieć swoje lokalne wpływy, a sąd swoje kompetencje, jednak wobec ustosunkowanego i cieszącego się nieskazitelną opinią arystokraty powaga kupca malała do zera, zaś sędziego - niepomiernie się zmniejszała. W każdym razie dla przewodniczącego sądu ksiązę stał się co najmniej równorzędnym partnerem, z którego zdaniem poważnie musiał się liczyć.

- Żądam okazania aktu potwierdzającego zawarcie tego ślubu! - zagrzemiał Traywick. - Mary Winters służyła u mnie przez sześć lat i pierwsze słyszę, aby była zamężna!

- Nic dziwnego - zgasił go Vail ze spokojem. - Na

ogół nie zwierzamy się byle komu ze swojego osobistego życia.

Traywick zamrugał oczami i zaczął łapać powietrze rozchylonymi wargami jak wyrzucona na brzeg ryba, lecz za nic nie mógł wymyślić odpowiedniej riposty na kaśliwą uwagę księcia.

- Chyba wysoki sąd nie weźmie pod uwagę tak absurdalnych stwierdzeń? - zwrócił się bezpośrednio do sędziego.

- Daję słowo szlacheckie, że ten ślub miał miejsce zgodnie z moim oświadczeniem - wszedł mu w słowo Vail.

- Obawiam się, wasza wysokość, że w braku jakiegokolwiek dokumentu... - zaczął nieśmiało przewodniczący.

W odpowiedzi Vail dał znak ruchem głowy i zza jego pleców wyjrzał znany londyński adwokat. Ruszył w kierunku stołu sędziowskiego, niosąc w obu rękach grubą księgę oprawną w skórę, na której znać było dostojną patynę wieków.

- Jeśli wysoki sąd pozwoli, okażę dowód zawarcia związku małżeńskiego między jego wysokością, wtedy lordem Stantonem, a oskarżoną Mary Winters - uniżenie zwrócił się do sędziego.

Mając za plecami księcia Vaila, mógł śmiało przemówić i do samego króla, ale jego uprzejmy ton zrobił dobre wrażenie. Przewodniczący docenił nienaganne maniery prawnika, który okazał mu należne względy, więc przyzwalająco skinął głową.

Adwokat położył księgę na stole sędziowskim i otworzył ją na ostatniej stronie. Tak on, jak i sędzia, udawali, że nie widzą Traywicka, który także przysunął się, by przeczytać wpis.

- Zaraz, a co znaczą te daty? - zainteresował się sędzia, wskazując palcem przedostatni wpis znajdujący się w księdze. - Jak pan mecenas wytłumaczy, że między tym wpisem a poprzednim upłynęło ponad trzydzieści lat?

- Widocznie w parafii używano dwóch ksiąg, starszej i nowszej, a ten ślub pastor zarejestrował w starszej. Oczywiście było to niedopatrzenie, lecz prawo tego nie zabrania.

- Mogę się z tym zgodzić - powiedział po chwili namysłu sędzia. - Jeśli obecni na tej sali świadkowie rzeczowego ślubu potwierdzą, że w istocie miał on miejsce...

- Niestety, wysoki sądzie - z należnym szacunkiem przerwał mu adwokat księcia - obaj świadkowie już nie żyją. Zginęli tragicznie podczas sztormu, który zatopił ich jacht na kanale La Manche.

- A duchowny, który udzielał ślubu? - Sędzia pozwolił sobie na nieśmiały sceptycyzm.

- Przykro mi, ale pastor także przeniósł się do wieczności.

- Jakie to wygodne! - wtrącił Traywick ze zjadliwą ironią. - Chyba pan przewodniczący sam widzi, że to oszustwo szyte grubymi nićmi. Wpisu dokonano w niewłaściwej księdze, żaden ze świadków nie żyje, a mimo to ci dwoje chcą wmówić sądowi, że siedem lat temu za-

warli ślub, który do dzisiaj utrzymywali w tajemnicy. Przecież to jasne, że dzięki takim wybiegom ta kobieta chce uniknąć karzącej ręki sprawiedliwości!

Sędzia wydał wargi, bo ten argument zabrzmiał przekonująco, ale nie miał czasu dłużej się nad nim zastanawiać, natychmiast bowiem, jakby recytując wcześniej przemyślaną kwestię, zareplikował londyński adwokat:

- Ośmielam się przypomnieć wysokiemu sądowi, o czym pan przewodniczący na pewno zresztą dobrze wie, w jakim celu wprowadzono rejestrację ślubów. Otóż chodziło o uniknięcie komplikacji prawnych, jakie pociągały za sobą potajemne śluby, często zawierane przez naszych przodków.

- W rzeczy samej - zgodził się sędzia.

- Stwierdzono bowiem, że liczne i skomplikowane procesy o ustalenie ważności bądź nieważności takich ślubów niepotrzebnie absorbowwały sądy, które i tak zawsze były przeciążone pracą, niezbędną dla utrzymania porządku w naszym królestwie.

Sędzia tylko przytaknął, bo problem był dobrze znany. Nie bardzo wiedział, do czego adwokat zmierza, ale cieszył się, że na prowincjonalnej sesji znalazł równorzędnego partnera do fachowej dyskusji.

- Jednak w tej sprawie podobne prawne komplikacje nie zachodzą... - ciągnął adwokat.

- Rzeczywiście, w tym przypadku... - sędzia trochę się pogubił w dyskusji.

- Oboje małżonkowie byli w wieku odpowiednim do

zawarcia małżeństwa i żadne z nich nie zaprzecza, że ślub miał miejsce. Odwrotnie, oboje potwierdzą przed sądem złożenie przysięgi małżeńskiej. W takim przypadku nie ma przeszkód do uznania prawomocności zawartego związku.

Przewodniczący składu sędziowskiego zamilkł, przygwożdżony wymową faktów. Nie mógł nie zgodzić się z przytoczonymi argumentami, jeśli tylko zainteresowane strony poświadczyłyby ich prawdziwość. Zwrócił się więc do oskarżonej:

- Mary Winters, czy potwierdzasz, że zarejestrowany w tej księdze ślub miał rzeczywiście miejsce?

Podniosła oczy najpierw na sędziego, potem odszukała wzrokiem mężczyznę, który stał w przejściu między rzędami ławek. Widzowie zamilkli w oczekiwaniu, bo widać było, że między Vailem i kobietą, którą nazwał swoją żoną, istnieje jakaś duchowa więź. Potem Mary Winters spojrzała prosto w twarz sędziego.

- Potwierdzam, wysoki sędzie - oświadczyła spokojnie, choć widzowie czekali na jej odpowiedź z zapartym-tchem.

Vail też wstrzymał oddech. Panicznie się bał, iż Mary z wrodzonej uczciwości zaprzeczy.

- Uznałaś więc złożoną wtedy przysięgę za wiążącą dla was obojga? - indagował dalej przewodniczący.

- Tak jest, wysoki sędzie. - Tym razem Mary nie wahała się ani przez chwilę.

- A zatem, jeśli zapowiedzi zostały odczytane...

Sędzia miał już zamiar odetchnąć z ulgą, ale nie było mu dane, gdyż adwokat Vaila przerwał mu tonem łagodnej perswazji:

- Muszę poinformować wysoki sąd, że zapowiedzi nie były ogłoszone. - Podniósł głos, bo po sali przebiegł szmer. - Na pewno jednak pan przewodniczący dobrze wie, że w szczególnych przypadkach, na mocy dyspensy wydanej przez arcybiskupa Canterbury, każdy duchowny ma prawo udzielić ślubu bez uprzednich zapowiedzi.

- A dlaczego ten przypadek okazał się taki szczególny?

- Jego wysokość chciał zawrzeć ślub przed wyruszeniem na pole bitwy pod Waterloo. Mimo ciężkich ran odniesionych w kampanii hiszpańskiej, stanął ponownie przed komisją, aby zostać uznanym za zdolnego do dowodzenia swoim pułkiem, po czym wydatnie przyczynił się do zwycięstwa księcia Wellingtona nad tym korsykańskim potworem...

Argumenty zostały starannie dobrane, aby przypomnieć sędziom o bohaterstwie wojennym Vaila, a przez to dać im okazję do wykazania się patriotyczną postawą.

- Rzeczywiście - przyznał słabym głosem przewodniczący.

- Tym samym - kontynuował adwokat już śmielszym głosem, bo był pewien poparcia widowni - wysoki sąd chyba zdaje sobie sprawę, że oskarżenia pana Traywicka, kierowane przeciw jej wysokości księżnej Vail, nie mogą być rozpoznawane przez sąd tej instancji?

- Protestuję, aby ta kobieta... - zaczął Traywick, ale przerwał mu głos Vaila, ostry jak smagnięcie biczem:

- Jeśli ośmielisz się znieważać dobre imię mojej małżonki swoimi niecnymi oszczerstwami, strzeż się, bo mogę cię zabić.

Szare oczy patrzyły spokojnie i chłodno, ale Traywick nie miał wątpliwości, że ten możny pan mówi całkiem serio, przeżuł więc w ustach kolejne obelgi, jakimi miał zamiar obrzucić kobietę, która zmieniła go w potwora. Kiedy jednak spojrział prosto w oczy człowieka, który nazwał Mary Winters swoją żoną, dojrzał w nich podobieństwo do oczu swojego syna. I rzeczywiście w dobrym momencie przypomniał sobie o chłopcu, którego dotychczas zaniedbywał. Nagle go olśniło, że wie już, co ma zrobić.

Niespodziewanie Marcus Traywick odchylił głowę i zaniósł się donośnym, szyderczym śmiechem. Szepczący widzowie umilkli, porażeni tak niestosownym zachowaniem. Na opanowanej twarzy księcia odmalował się tylko niesmak, ale jedna osoba na tej sali знаła prawdziwą przyczynę tego szatańskiego śmiechu. Mary Winters znów, podobnie jak na początku, spuściła głowę. Tym razem ci, którzy przypuszczali, że się modli, mieli rację.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ktokolwiek przyglądał się księciu, musiał się zdziwić, że natychmiast po ogłoszeniu przez sędziego postanowienia o umorzeniu postępowania, dumny arystokrata nie zwrócił się ani do kobiety, którą uznał za małżonkę, ani do swego londyńskiego adwokata, lecz podszedł do niepozornego, szczupłego człowieczka w pospolitej odzieży, który z końca sali śledził przebieg dramatu wyreżyserowanego przez Vaila.

- Gratuluję! - odezwał się John Pierce głosem tak cichym, że w wypełniającym salę gwarze słyszał go tylko książę. - Rozłożył pan przeciwnika na łopatki, panie pułkowniku!

Pierce był jedynym człowiekiem z otoczenia księcia, który nadal tytułował go zgodnie z wojskową rangą, choć książę został zdemobilizowany wkrótce potem, jak w tragicznych okolicznościach otrzymał awans.

- Widziałeś jej oczy, Pierce? - spytał książę. - Przez chwilę myślałem, że wszystkiego się wyprze.

- No cóż, wiadomo, że mogło być i tak. Tego się najbardziej obawialiśmy.

- To nic, najważniejsze, że się udało! - przypomniał z radością Vail.

- Myślę, wasza wysokość, że to dopiero początek - napominał go łagodnie Pierce. Kątem oka przyglądał się, jak kupiec, który zrezygnował z dalszych protestów po usłyszeniu werdyktu sędziego, przeciskał się do wyjścia, odsuwając ludzi z drogi. - Ciekaw jestem, dlaczego ten drań się śmiał. Czy normalny człowiek się cieszy, kiedy przegrywa sprawę?

Mary nie protestowała, kiedy adwokat księcia podszedł, aby wyprowadzić ją z sali sądowej. Przepychał się przez tłum, patrząc z typową dla mieszczucha pogardą na wieśniaków, którzy przyszli pogapić się na ciekawy i pikantny proces.

Mary mijała ich z dumnie podniesioną głową, nie zważając na uszczypliwe komentarze ani wytykanie palcami. To, że odzyskała wolność, uważała za cud, ale w tej chwili bardziej na sercu leżał jej niepewny los Richarda. Zdawała sobie bowiem sprawę, że nie jest władna zmusić Traywicka, aby oddał jej chłopca, który formalnie uchodził za jego syna.

Teraz jednak wiedziała, że jest ktoś, kto ma takie możliwości. Tym kimś był człowiek, który wprawdzie przez długie lata zdawał się nie pamiętać o jej istnieniu, ale dziś postanowił przemówić. Nie rozumiała, co skłoniło Vaila, by nagle przyznać się do niej, ale odebrała jego czyn jako widomą demonstrację wpływów. W świecie, w którym ona nie miała nic do gadania, takiego autorytetu nie należało odrzucać.

W końcu Richard jest także jego synem! Już nie Nicka Stantona, ale samego księcia Vaila, jednej z najbardziej ustosunkowanych osób w królestwie. Chciała mu to powiedzieć od razu, aby skłonić go do podjęcia natychmiastowej akcji. Spytała więc adwokata:

- Gdzie jest jego wysokość?

- Przypuszczam, że ksiązę postanowił osobiście podziękować panu przewodniczącemu. To kwestia nie tylko dobrego wychowania, ale i taktyki, bo jeśli sprawa dojdzie do Londynu, przychylność sędziego może nam bardzo pomóc. - Podał jej ramię, zapraszając gestem do wyjścia. - No, ale teraz już naprawdę musimy iść.

- Oczywiście - zgodziła się Mary, nie rozumiejąc, o czym ten człowiek mówi. Czy sprawa miała dojść aż do stolicy? Czyżby tam miano ją postawić przed innym sądem? Co oznaczałoby konieczność ponownego wysłuchania w milczeniu kłamstw Traywicka.

- Służący księcia odwiezie panią do domu - dodał adwokat.

- Do jakiego domu? - zdziwiła się Mary. Chyba nikt nie oczekiwał, że dobrowolnie wróci pod dach kupca. Samo wspomnienie jego złowieszczonego śmiechu przyprawiło ją o dreszcze.

- Oczywiście do dworu Vail. - Adwokat nie rozumiał, o co jej chodziło. - Czekają tam na panią.

Doszli do pomalowanego na czarno powozu z ksiązęcym herbem na drzwiczkach. Mary skojarzyła sobie ten widok z ojcem Nicka.

Lecz oto już drobny, starszy mężczyzna opuścił schodki i otworzył drzwiczki, a potem podał jej rękę, delikatnie zachęcając, by wsiadła do powozu.

- Proszę się niczego nie obawiać, jaśnie pani. Teraz już księżna pani jest bezpieczna. On wszystkim się zajmie.

Mary nie była przyzwyczajona do takiego tytułowania, więc w pierwszej chwili miała wątpliwości, czy nie wziął jej za kogoś innego. Jednak w piwnych oczach starego sługi dostrzegła tylko współczucie. Widząc jej zmieszanie, pocieszającym gestem lekko uścisnął jej dłoń. Podobnie dodawał jej otuchy zmarły ojciec, ale Mary nie była pewna, czy powinna obcemu pozwolić na taką poufałość. Jednak nie cofnęła ręki, bo był to pierwszy życzliwy gest, jakiego doznała od dłuższego czasu.

- Dziękuję... - Zawiesiła głos, bo nie wiedziała, jak się zwracać do służącego.

- Nazywam się Pierce, proszę księżnej pani. On kazał mi się zająć jaśnie panią, a ja po tylu latach służby dobrze wiem, że lepiej robić to, co on każe. Oszczędza się tyle czasu i nerwów!

Uśmiechał się przy tym porozumiewawczo, co wskazywało, że nie odczuwa zbytniego strachu przed swoim potężnym panem. Mimo że mówił o nim „on”, wiadomo było, kogo ma na myśli. Z pewnością istniał dla niego tylko jeden „on”, podobnie jak kiedyś dla niej.

- Czy w domu kupca zostało coś, co należało do księżnej pani? - zapytał Pierce.

Miała ochotę odpowiedzieć: „Tylko mój syn”, ale wie-

działa, że nie może o takich sprawach rozmawiać ze służącym, choćby najbardziej zaufanym. Od żony dozorca więziennego dowiedziała się, że Traywick kazał swemu pracownikowi, staremu żołnierzowi Bobowi Smithersowi, publicznie spalić jej rzeczy. Był to dziwaczny akt zemsty na byłej guwernantce.

To było jednak bez znaczenia, liczył się bowiem tylko Richard. Pierce nie mógł w tej sprawie nic uczynić, jednak Mary wierzyła, że jest na świecie ktoś, kto potrafi wyciągnąć Richarda z łap Traywicka, którego śmiech wciąż rozbrzmiewał w jej uszach. Odpowiedziała więc w końcu:

- Niczego tam nie ma.

Pierce skinął głową i zamknął drzwiczki powozu, który miał zawieźć Mary do majątku księcia Vaila.

Dwór był przestronniejszy i piękniejszy niż wszystkie budynki, jakie Mary widziała w życiu. W porównaniu z nim toporna kupiecka kamienica wydawała się nędzną chałupiną. Szerokie korytarze ciągnęły się w nieskończoność, na ścianach wisiały portrety w złotych ramach, a na stołach piętrzyły się kosztowne bibeloty. Mary próbowała nie patrzeć w tamtą stronę, aby lepiej zapamiętać drogę do sypialni, która od tej pory miała do niej należeć. Thompson, majordomus księcia, odprowadził księżnę do jej apartamentów, ale Mary obawiała się, że łatwo może się tam zgubić.

Większą część sypialni zajmowało szerokie łóżko pod baldachimem, z firankami i draperiami z jedwabiu w bar-

wach kości słoniowej i koralu. W podobnej tonacji utrzymany był orientalny dywan rozesłany na podłodze z dębowych klepek. Przed kominkiem, w którym buzował ogień, stała miedziana wanna w kształcie pantofelka. Po powierzchni parującej wody pływały płatki róż, napełniając całą sypialnię wspaniałym zapachem.

- To Claire, pokojówka waszej wysokości.

Kamerdyner przedstawił rudowłosą dziewczynę, a właściwie prawie dziecko. Oczy miała koloru sherry, równie pogodne jak u Pierce'a, a na policzkach rumieniec nieśmiałości.

- Wasza wysokość... - Claire dygnęła.

Mary tylko uśmiechnęła się do niej, bo nie wiedziała, jak powinna się zwracać do służby. Przecież nigdy nie miała pokojówki! W końcu zdecydowała się na prostą formułę:

- Miło mi cię poznać, Claire!

Tak przecież zawsze witała się z nowo poznanymi osobami, bez względu na ich pozycję społeczną.

- Jego wysokość prosi, aby księżna pani zeszła na dół jeszcze przed kolacją. Będzie czekał w dużym salonie o wpół do dziewiątej - oznajmił kamerdyner z lekkim ukłonem.

Zbierał się do wyjścia i nie brał pod uwagę innej odpowiedzi niż twierdząca. Mary od razu pojęła, że to nie była prośba, lecz rozkaz, a księżę przywykł do posłuszeństwa. Powinna więc go słuchać, tym bardziej że rozpaczliwie potrzebowała jego pomocy.

- Chętnie, ale nie jestem pewna, czy... - zaczęła, lecz bystry Thompson w lot pojął przyczynę jej wahania.

- Przyślę tu lokaja - obiecał i wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

- Księżę pan kazał przygotować dla jaśnie pani kąpiel - zachęciła służąca po wyjściu kamerdynera.

Mary, po więziennych przeżyciach, zachwyciła się perspektywą prawdziwej kąpeli i tylko zastanawiała się, skąd taki wielki pan jak księżę Vail wiedział, czego jej najbardziej potrzeba. Czyżby był nie tylko wszechmocny, lecz i wszechwiedzący?

Człowiek dysponujący taką władzą, że mógł wydawać rozkazy nie tylko służbie w swoim majątku, ale nawet sędziom Jego Królewskiej Mości, wydawał się kimś zupełnie innym niż młody, lekkomyślny oficer, z którym spędziła upojne chwile. Zresztą oboje nie przypominali już w niczym szalonych kochanków sprzed siedmiu lat. Łączyło ich tylko jedno: Richard. To ze względu na niego zgodziła się wejść w rolę żony księcia, więc niby dlaczego nie miałyby teraz korzystać z jego gościnności? Bez wahania pospieszyła w kierunku parującej wanny.

Salon był rzęsiście oświetlony woskowymi świecami.

- Jej wysokość księżna Vail - zapowiedział Thompson wejście Mary.

Podobnie jak w powozie, odruchowo chciała spojrzeć na ową księżnę, nim zorientowała się, że chodzi o nią.

Kiedyś będzie musiała skończyć z tą farsą, ale teraz przyświecał jej inny cel.

Kamerdyner wycofał się do holu, zamykając za sobą ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi i zdezorientowana Mary rozejrzała się wokół.

Nick stał przed kominkiem, ubrany w strój wieczorowy. Wprawdzie w modzie były kolorowe męskie ubrania, ale on, podobnie jak dziś w sądzie, wolał nosić się na czarno. Ten ubiór rozjaśniały tylko śnieżną bielą jedwabne pończochy, koszula i krawat. Tak samo jak przed południem, opierał ręce na złotej gałce trzcinowej laseczki.

Wpatrywał się w Mary tak uporczywie, że wstrzymała oddech, a serce jej zaczęło bić szybciej. Już zapomniała, jakie to wrażenie czuć na sobie wzrok Nicka.

Zastanawiała się, o czym on teraz myśli. Wprawdzie Claire ułożyła jej włosy w modną fryzurę i miała na sobie suknię z jedwabiu przetykanego złotem, wszystko to jednak nie przytłumiło żalu - a może próżnej płochości? - z powodu straconych lat. Nigdy nie przykładła zbytnej wagi do wyglądu, ale wiedziała, że nie ma już tak ponętnych kształtów ani gładkiej buzi jak kiedyś. Była pewna, że tak samo ocenia ją ten elegancki mężczyzna, z którym niegdyś tak szaleńczo się kochała.

- Proszę cię, Mary, podejdź tutaj - zachęcił ją książę.

Uniosła dumnie głowę, tak jak poprzednio w sądzie, i przebyła rozdzielającą ich odległość. Nick nie ruszał się z miejsca i nie spuszczał wzroku z jej twarzy, aż wreszcie stanęła tuż przed nim. Wtedy wyciągnął ku niej dłoń. Gdy

podala mu rękę, poczuła się... tak jakoś dziwnie. Tyle lat minęło, a wciąż pamiętała ten dotyk.

Nick podniósł jej dłoń do ust i delikatnie ucałował czubki jej palców. Nadal nie spuszczał z niej oczu, ale trudno było odgadnąć, co oznaczał ich wyraz. Wprawdzie Mary nie miała wątpliwości, że to tylko grzecznościowy gest, ale wspomnienia ogarniały ją z coraz większą mocą. Przez całe lata celowo je tłumiała, lecz teraz siła doznań przenikała całe jej ciało.

Pozwoliła mu wziąć się za rękę, bo nie miała innego wyjścia, ale uwolniła palce tak szybko, jak tylko mogła. Wiedziała, że i on wyczuwa jej niechęć, bo poznała to po wyrazie jego szarych oczu i surowo zaciętych ustach.

To już nie ten sam Nick. Prawda, że się zmienił, ale i ona nie była tą samą dziewczyną, z którą tak namiętnie kochał się wśród krzewów porzeczek. Teraz nie uwierzyłaby tak bezkrytycznie we wszystkie jego zaklęcia, ale i sama dziś zeznawała nieprawdę, aby ratować swego syna, którego on nawet nie widział. A szkoda, bo każdym rysem, gestem czy miną do złudzenia przypominał ojca.

- Może usiądziesz? - zaproponował książkę, wskazując krzesło.

Mary posłuchała, nakazując sobie spokój. Teraz nie musiała się już niczego bać ani powściągać swoich uczuć. W duchu powtarzała sobie, że liczy się tylko los Richarda.

Nawet gdy usiadła, wciąż trwało kłopotliwe milczenie. Zaczęła się niepokoić, bo Nick obserwował ją, nie zmieniając wyrazu twarzy. Ten kamienny spokój zbijał ją z tro-

pu i nie rozumiała, jak mogła przedtem wyobrazić sobie, że potrafi poznać jego myśli.

- Dlaczego przyjechałeś dziś do sądu? - spytała nagle.

Tak, rozpaczliwie potrzebowała pomocy, ale przecież mieli sobie coś do wyjaśnienia. Dlaczego Nick dopiero teraz ujawnił ich związek?

W oczach księcia coś błysnęło, na ustach pojawił się delikatny uśmiech... i Mary rozpoznała dawnego Nicka, który niegdyś tak ją kochał. Z rozpaczą skonstatowała, że ten mężczyzna wciąż wywiera na nią magiczny wpływ.

- Ktoś mi powiedział, że Mary Winters nie ma nikogo, kto stanąłby w jej obronie. A przecież oboje wiemy, że to nieprawda.

Pokręciła przecząco głową, czując, że jej policzki nabiegają krwią. Przez siedem lat była zmuszona tłumić gniew, więc zdążyła się odzwyczaić od tego uczucia, ale nie mogła pogodzić się z tak nieszczerą deklaracją.

- W mojej obronie? - powtórzyła. Nie przewidziała, że wypowie te słowa aż tak ostrym tonem i z gryzącą ironią.

Z ust Nicka nie zniknął uśmiech, tylko ze zdziwieniem uniósł jedną brew.

- Przecież jestem twoim mężem, Mary, a więc w pierwszej kolejności jestem zobowiązany do opieki nad tobą.

- I dopiero teraz przypomniałeś sobie o tym obowiązku? - nie przestawała ironizować.

- Zawsze o nim pamiętałem, tylko ty nie pozwalałaś mi się z niego wywiązywać.

- Ja ci nie pozwalałam? Ja?! - powtórzyła z niedowierzaniem podniesionym głosem.

- Przecież wiedziałaś, gdzie mnie szukać. Nigdy się przed tobą nie ukrywałem.

- O czym ty mówisz?!

I nagle zamilkła. Oto Nick powiedział jej, że zawsze mogła do niego przyjść. Tak po prostu.

- Nie zmieniłem adresu ani nazwiska - dodał książkę Vail.

Mary gwałtownie nakazywała sobie spokój.

-To znaczy, że gdybym stanęła u twoich drzwi, od razu uznałbyś mnie za swoją żonę? - ironizowała.

Była naprawdę wściekła. Nick po prostu drwił z jej siedmioletniej samotności i opuszczenia.

- Oczywiście - odpowiedział bez namysłu.

Wciąż jeszcze stał, opierając się na lasce i patrząc z góry na Mary, a ona zastanawiała się, czy rzeczywiście potrzebuje tej podpory. Czyżby wciąż jeszcze odczuwał skutki ran odniesionych w Hiszpanii, a może pod Waterloo doznał następnych obrażeń?

Może cierpiał przez długie miesiące, gdy ona troszczyła się wyłącznie o zabezpieczenie przyszłości syna? Wiedziała jednak, że to nieprawda, bo gdyby tak było, stugębna plotka szybko dotarłaby do niej. Nadstawiała przecież chciwie ucha na każde słowo, choćby najlżejszą aluzję, która mogłaby usprawiedliwić jego milczenie. No i ojciec

napisałby do niej pod adres Traywicka, gdyby się czegoś dowiedział.

- ... ale ty się nigdy nie pojawiłaś! - dokończył.

Podniosła na niego oczy, bo te słowa wypowiedział innym tonem, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona. Jak to możliwe? Przecież musiał wiedzieć, że była u jego ojca, tak jak jej polecił. Zniosła mu pierścień i przekazała wiadomość, zgodnie z jego życzeniem. Niemożliwe, aby Nickowi nikt o tym nie powiedział. Najzwyczajniej w świecie znów kłamał.

Pomyślała z goryczą, że dziwnie łatwo przychodzą mu te łągarstwa. Szkoda, że nie wiedziała o tym wcześniej. Jej ojciec słusznie podejrzewał, co może oznaczać takie milczenie, kiedy w końcu musiała wyznać mu swój postęp.

Początkowo cierpliwie czekała, skrzętnie ukrywając mdłości w nadziei, że Nick się odezwie i nie będzie musiała obarczać ojca przykrą prawdą. Nie wątpiła w jego współczucie, ale wiedziała, ile go to będzie kosztować. Poszła więc sama do dworu, gdzie oddała pierścień i starannie zredagowaną wiadomość dla Nicka. Mijały jednak kolejne tygodnie bez odpowiedzi, a jej nadzieja i wiara w słowa: „Kocham cię bardziej niż własną duszę”, rozpaczliwie topniała.

- Owszem, pojawiłam się - wyszeptała. - Oddałam służącemu twego ojca pierścień, który dostałam od ciebie. Powiedział mi, że księżę wyjechał, ale przyrzekł, że gdy tylko wróci, powie mu o mojej wizycie. Wymogłam to na nim, bo było to dla mnie takie ważne...

Ścisnęło ją w gardle, gdy przypomniały się jej dawne lęki. Nie o siebie, tylko o dziecko, które nosiła pod sercem. W sferach arystokratycznych dzieci z nieprawego łóżka miały zapewnioną pozycję społeczną, w rodzinach chłopskich bękarty nikogo nie szokowały, a nawet były mile widziane, bo każda para rąk do pracy miała swoją cenę, lecz jej syn nie kwalifikował się ani do jednej, ani do drugiej kategorii.

Wiedziała, że ich samowolny wpis do rejestru ślubów był bez wartości, dopóki nie potwierdzi go Nick, lecz on uczynił to dopiero dzisiaj w sądzie. Gdyby bez jego zgody podała się za jego żonę, znalazłaby się w niezwykle trudnej sytuacji, bo za takie oszustwa karano surowo. Przestrzegąca zresztą przed tym Nicka.

Rodząc nieślubne dziecko, okryłaby hańbą swego ojca, który na to absolutnie nie zasłużył. Niewykluczone, że nawet utraciłby probostwo, a z nią nie ożeniłby się żaden mężczyzna z jej klasy społecznej. Jako panna z dzieckiem zostałaby napiętnowana, a po śmierci ojca znalazłaby się wraz z synem w skrajnej nędzy. Książę Vail bowiem nie odezwał się do niej ani razu, mimo swoich obietnic i zwrotu pierścienia.

- Nie wiedziałam, że przychodziłaś do mojego ojca, Mary.

Odwróciła ze wstrętem głowę. Nawet jeśli pierścień i wiadomość nie trafiły do niego, w niczym nie usprawiedliwiało to postępowania Nicka.

- Wróciłeś do domu w sierpniu. - Starła się zacho-

wać spokój, choć uczucia zawodu i goryczy wprost ją dławily. A jeszcze niedawno sądziła, że pogodziła się z przeszłością. .. - Przez kilka tygodni przebywałeś w Londynie, ale potem wróciłeś do Vail. - Spojrzała na niego i znów napotkała wzrokiem kamienną maskę. - Słyszeliśmy, że twój ojciec i brat zginęli, a ty odziedziczyłeś tytuł. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia ani wpływu na to, co zaszło między nami. Nie chciałam ci się narzucać, dopóki byłeś w żałobie, ale czas mijał, a ja wciąż czekałam, że jeszcze przyjedziesz po mnie. - Przerwała na moment, by opanować emocje. - Ty jednak nie wróciłeś po mnie, Nick. Mój ojciec chciał pójść do ciebie, żeby się z tobą rozmówić, ale mu nie pozwoliłam. Wystarczyło, że raz poprosiłam cię o pomoc i nie doczekałam się odpowiedzi. Nie chciałam, żeby ojciec przeżywał upokorzenie, bo przecież w żywe oczy wszystkiego byś się wyparł.

Miała wtedy tylko jedno wyjście. To ojciec poinformował ją o małżeństwie Traywicków, którzy rozpaczliwie pragnęli syna. Zgodzili się więc na taką transakcję: jeśli dziecko, które urodzi, okaże się chłopcem, kupiec stanie się mu ojcem. Oczywiście biedna Abigail chętnie na to przystała i udawała, że jest w ciąży, a kiedy Mary urodziła synka, ogłosiła go swoim. Mary oddała go, aby zapewnić mu, jak naiwnie wówczas sądziła, bezpieczną przyszłość.

W salonie zapadła przytłaczająca cisza. Vail nawet się nie poruszył ani nie próbował odeprzeć oskarżeń. Stwierdził tylko:

- Czyli nosiłaś pod sercem moje dziecko! - A więc z tej ciszy wyczytał wszystko.

- Tak, Nick, twoje dziecko - odpowiedziała z gorzkim uśmiechem. - Nigdy nie byłeś ciekaw, jak ono wygląda?

Zacisnął dłonie na gałce swojej laski. Potem je rozluźnił, ale ten wiele mówiący gest tchnął w nią nadzieję, że nie jest aż tak nieczuły, na jakiego wygląda.

- Co, według ciebie, miałam zrobić z dzieckiem? Jaka decyzję podjąłbyś na moim miejscu? Rozważałam różne możliwości, nawet takie, o których się nie mówi. Wmawiałam sobie, że robię to dla dobra ojca, ale chyba myślałam także o sobie. Widziałam, jak brzuch mi rośnie, ale wciąż czekałam na ciebie, choć niedługo mogło już być za późno. Ty się jednak nigdy nie pokazałeś. - Ostatnie słowa wymówiła prawie szeptem.

- Mary! - powiedział głosem nabrzmiałym uczuciem. Takim samym tonem mówił przed laty, kiedy naopowiadał jej tych wszystkich kłamstw. Brzmiało to widać przekonująco, bo uwierzyła, że kocha ją „bardziej niż własną duszę”. Ona oddała mu dużo więcej niż duszę!

- Co innego mogłam zrobić z dzieckiem? Przecież zostałabym sama ze swoją hańbą! - krzyczała. - Ojciec umarł tej samej zimy, jeszcze zanim urodziłam. Jestem pewna, że dobiłam go swoim uczynkiem. Nigdy otwarcie nie potępił ani mnie, ani ciebie, ale w jego oczach widziałam ból i żal. Pewnie wyrzucał sobie, że nie nauczył własnej córki odróżniać dobra od zła, więc jak mógł nakazywać to innym? Przez to, że raz uległam pokusie, przekreś-

liłam całe jego życie. Dla ciebie zaparłam się samej siebie, a ty więcej się nie pokazałeś!

W salonie znów zaległa dręcząca cisza.

- Więc co się stało z tym dzieckiem, Mary? - spytał na pozór spokojnie Vail.

Nastąpiła chwila ostateczna. Przecież Mary tylko po to przybyła do pałacu, by zmusić Nicka do wyrwania Richarda z rąk Traywicka. Na Boga, chyba zechce pomóc swemu jedynemu synowi!

- Oddałam go obcym ludziom, gdyż sądziłam, że będzie u nich bezpieczny - wyrzuciła z siebie.

- Gdzie on jest? - naciskał Vail, lecz nadal nie okazywał żadnej emocji.

Starła się wyrzucić z pamięci szatański śmiech Marcusa Traywicka, bo wierzyła, że Nick potrafi wydostać Richarda spod kurateli kupca.

- Oddałam twojego syna Marcusowi Traywickowi, który uznał go za swego - odpowiedziała, dodając z gorczy: - Myślałam, że właśnie on zapewni mu bezpieczną przyszłość!

Dopiero teraz twarz Nicka zmieniła się, rysy stwardniały, przygryzł zbielełe wargi. Mary wstydziła się sama za siebie, ale czuła jakąś sadystyczną satysfakcję. Niech zobaczy, jakie skutki przyniosło jego wiarołomstwo!

- Twój syn, którego nie chciałeś uznać, oficjalnie jest synem człowieka, którego dzisiaj upokorzyłeś, wydrwiłeś i doprowadziłeś do wściekłości. A Marcus Traywick jest naprawdę niebezpieczny. Próbujesz mi wmówić, że to tak-

że moja wina, ponieważ nie zgłosiłam się do ciebie. Może i tak, może popełniłam błąd, ale dziś przychodzę do ciebie, aby cię prosić, żebyś ratował moje dziecko. Co teraz zrobisz, Nick, dla swojego syna?

Księżę Vail, podobnie jak przed laty, nie odpowiedział. Mary wstała i stanęła naprzeciw niego. Nie zdawała sobie sprawy z wyzywającego spojrzenia i ironicznego uśmiechu. Znała Nicka wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że tymi słowami zburzyła jego spokój i zraniła dumę. Jeśli chciała tym sposobem zemścić się za to, że ją porzucił, to dopięła swego. Widać to było po jego twarzy, na której odbijał się ból, niemożliwy już do ukrycia.

- Raz już go opuściłeś i wierz mi, że dosyć wycierpiał. Czy teraz chcesz postąpić tak samo?

Szantażowała go, rzucała straszliwe oskarżenia. Zagrały przez lata tłumione emocje, ból odrzucenia, złamane serce, upokorzenie. A przede wszystkim krzywda jej synka. Teraz o chłopca musi zatroszczyć się Nick i jeśli będzie trzeba, jeszcze mocniej nim potrząśnie, lecz zmusi go do tego!

Lecz on uparcie milczał. Postanowiła, że zostawi mu noc na przemyślenie tej sprawy i z rana znów zaatakuje.

- Dobranoc, Nick, śpij dobrze!

Ruszyła w stronę drzwi, zaś on nadal trwał w bezruchu. Lokaj, który czekał na zewnątrz, zaprowadził ją do sypialni.

Powstrzymywała łzy, dopóki Claire nie rozebrała jej i nie zostawiła samej. Wiedziała, że płacz niczego nie

zmienia i w domu Traywicka nie traciłaby energii na szlochanie. Tam potrzebowała siły na wypełnianie codziennych obowiązków i opiekę nad Richardem. Teraz jednak mogła się swobodnie wypłakać, i to nie tylko z powodu dziecka, którego nie widziała od trzech miesięcy, a bez pomocy Nicka mogła już nigdy nie zobaczyć.

Pierce wszedł do salonu, kiedy świece już dogasały. Vail nawet nie podniósł oczu, tylko skończył coś pisać, posypał mokry tekst piaskiem i przystawił pieczęć, a dopiero potem spojrzał w piwne oczy ordynansa.

- No i jak jaśnie panu poszło? - zapytał Pierce z szacunkiem, lecz bez krzty unizoności. Zwracał się do niego jak przyjaciel, nie jak sługa do pana, bo znali się tyle lat, że gdy byli sami, zachowywali się z pewną poufałością.

- Jak mogło pójść? Jakiej reakcji spodziewałeś się od kobiety, którą najpierw zhańbiłem, a później opuściłem?

- odpowiedział pytaniem.

- A nie wytłumaczył jej pan...

- Co tu było do tłumaczenia? - przerwał mu książkę.

- Ona wie o śmierci mojego ojca i brata, o moim powrocie w sierpniu do Londynu, a także o tym, że nigdy nie zapytałem jej ojca, co u niej słyhać.

- A cóż to był za powrót? Nie przyjechał pan o własnych siłach, tylko pana wnieśli, a ściślej mówiąc, ja wniosłem...

- zaczął oponować Pierce, ale jego pan uciszył go niecierpliwym gestem...

- Tak, ale mogłem skontaktować się z jej ojcem, a nie

zrobiłem tego. Ona ma rację. Nawet nie próbowałem jej odszukać.

- Może wtedy nie, ale...

- To miało sens tylko wtedy! - podkreślił z naciskiem Vail. - Kiedy jeszcze mogło mieć jakieś znaczenie...

- Teraz też nie jest za późno. - Pierce próbował ratować sytuację. - Jeżeli pan tylko...

- Mary Winters poinformowała mnie, że urodziła dziecko. Ponad sześć lat temu.

- Dziecko? - powtórzył Pierce. - Przecież nie było mowy o żadnym dziecku.

- Owszem, było - poprawił Vail ze swoim zwykłym, cynicznym uśmiechem. - Nie pamiętasz, jak kupiec wspominał chłopca, którego jakoby Mary Winters głodziła podczas jego nieobecności?

- Przecież jaśnie pan mówi o swoim synu i małżonce, a nie o jakichś obcych osobach! - zwrócił uwagę Pierce, zrozumiawszy, w czym rzecz. Zauważył bowiem, że księżę już dwa razy użył jej pełnego imienia i nazwiska, co na pewno nie było przypadkiem. Pomyślała, że chce traktować tę kobietę i dziecko z pewnym dystansem, aby nie obarczać się brzemieniem ponad siły. Pierce nie był jednak na tyle głupi, aby głośno wyrażać swe myśli.

- Dla mnie ona teraz jest prawie obca - zaproponował Vail. - Nie ma w niej nic z tej dziewczyny, która... - Urwał w pół zdania.

- I co jaśnie pan ma zamiar z tym zrobić? - przerwał milczenie Pierce.

- Dowiedzieć się, ile Traywick chce za niego. Wszystko ma swoją cenę.

- Aha, myśli pan wykupić dzieciaka?

- Dlaczego nie? To chyba najlepsza lokata pieniędzy mojego ojca. Prędzej czy później chłopak i tak powinien je dostać.

- Już rozumiem, dlaczego on tak się śmiał. Zrozumiał, że chłopiec jest synem księcia pana.

- Pewnie jest do mnie podobny.

- I sądzi pan, że Traywick zgodzi się odstąpić dziecko?

- Musimy tylko ustalić cenę.

- Tak, ale wydaje mi się, że księżę pan popsuł mu całą przyjemność. Jemu przecież chodziło tylko o zemstę. Słyszał pan dzisiaj ten jego diabelski śmiech, prawda? Na samo wspomnienie ciarki mi chodzą po grzbiecie. Chyba jaśnie pan nie jest naiwny i nie myśli, że Traywick wypuści z rąk najgroźniejszą broń, jaką mężczyzna może dysponować? On ma syna Mary Winters i zmusi ją, żeby mu drogo za niego zapłaciła. I nie mam tu na myśli pieniędzy!

Vail przypomniał sobie słowa Mary, które rzuciła mu w gniewie: „Wierz mi, że dosyć wycierpiał”. Przez te wszystkie godziny, które minęły od ich rozmowy, próbował sobie wyobrazić, jakie cierpienia mógł zadać sześciolletniemu dziecku mężczyzna, którego dziś pokonał w sądzie. Wciąż o tym myślał.

Spróbował się jednak opanować. Spojrzał na swojego jedyne prawdziwego przyjaciela.

- Nieważne, ile to będzie kosztować - oświadczył. -
Odzyskam mojego syna!

Pierce wiedział, że tak się stanie. Książę Vail podjął zobowiązanie wobec własnego dziecka, którego nigdy w życiu nie widział. I tylko śmierć mogła mu przeszkodzić w wypełnieniu przysięgi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mary, mimo przeżyć, zasnęła głębokim, spokojnym snem. Obudziła ją dopiero Claire, która przyniosła jej śniadanie do łóżka. Postawiła ciężką tacę na stoliku nocnym i rozsunęła zasłony. Mary poznała po jasnym świetle zalewającym pokój, że słońce wysoko już stoi na niebie.

- Dzień dobry, wasza wysokość - przywitała ją pokojówka.

Mary przez chwilę zastanawiała się, jak się tu znalazła, ale słowa służącej wszystko jej wyjaśniły.

Była przecież w pałacu Vail i nosiła tytuł księżnej, chociaż nigdy go nie pragnęła. Zważywszy na okoliczności, chętnie zrzekłaby się tego zaszczytu, lecz nie mogła tak postąpić z uwagi na Richarda.

Wzięła z rąk Claire filiżankę, rozkoszując się aromatem gorącej czekolady i gładkością wykwintej porcelany. Myślała też, jak stało się to jej zwyczajem, co w tej chwili może robić jej syn. Wiedziała oczywiście, że obrazy podsuwane przez wyobraźnię mogą nie mieć wiele wspólnego z prawdą, bo teraz chłopcem zajmowały się osoby, o których nic nie wiedziała. Modliła się, aby były dla niego dobre i cierpliwie wyjaśniały przyczyny jej nie-

obecności, o co na pewno Richard wciąż się dopytywał. Byleby tylko...

Znów odrzuciła straszne wspomnienie śmiechu Traywicka. Choć tak bardzo pragnął syna, nigdy nie poświęcał Richardowi zbyt wiele uwagi. Jedynie z okazji tradycyjnych świąt wręczał mu jakieś skromne upominki, zawsze nieznośnie praktyczne, na przykład kurtkę lub czapkę.

Jedyną zabawkę, jaką miał Richard, czyli drewnianego, malowanego żołnierzyka, kupiła mu sama za skrzętnie uciulane pieniądze. Uprosiła jednego z miejscowych chłopów, aby przywiózł ten drobiazg z Londynu. Radość synka była wprost nie do opisania.

Obawiała się, że Traywick zbeszta ją za tak nieużyteczny prezent, ale on zignorował całą sprawę. Widział natomiast wszelkie drobne przewinienia Richarda i w takich wypadkach używał swojej trzcinki.

Musiła przyznać, że kary były wymierzane bez nadmiernej siły, spadały jednak na chłopca z żelazną konsekwencją, jakby w tym wieku nie miało się prawa do żadnego błędu. Po każdym laniu kupiec na jakiś czas zapominał o Richardzie, dopóki ten znów mu się czymś nie naraził. Owa obojętność stanowiła teraz pociechę dla Mary. Miała nadzieję, że Traywickowi nie będzie się chciało mścić na chłopcu za jego rodziców. Inaczej próbowałyby za wszelką cenę wykraść Richarda, ale nie wierzyła, żeby nawet Traywick był w stanie znęcać się nad zaledwie szesćcioletnim dzieckiem. Czegoś tak nieludzkiego po prostu nie mogła sobie wyobrazić.

Miała nadzieję, że Vail pomoże jej odzyskać syna. Więcej, była tego pewna, chociaż nie zareagował na to, co mu opowiedziała. Nick Stanton mógł opuścić ją, ale przecież nie wyrzeknie się własnego dziecka. Pamiętała, jak zapewniał, że jego krewni nie ujawnią nieprawomocności ślubu bez względu na to, co sami o tym pomyślą.

- Prędzej trupem padną, niż mnie zdradzą! - zaręczał.

Powinien też odczuwać rodzinną więź z własnym synem, co w arystokratycznych rodach miało szczególne znaczenie. Był wystarczająco bogaty i ustosunkowany, aby użyć swoich wpływów dla ratowania Richarda, ona zaś musi uzbroić się w cierpliwość. Wiedziała, że najtrudniej przyjdzie jej ponownie zaufać Nickowi Stantonowi.

Odwróciła się w stronę gotyckich okien, przez które wpadało słoneczne światło. Przypomniało jej witraż za ołtarzem starej kapliczki, którego szybki przepuszczały rubinowe promienie zachodzącego słońca. Wtedy była taka pewna uczuć Nicka, więc co będzie, jeśli znowu się pomyli? Nagle ogarnął ją strach i ręka, w której trzymała filiżankę, zadrżała. Porcelanowe naczynko zabrzęczało o spodek, a oczy Mary wypełniły się łzami. Mimo to czuła, że tym razem nie może się mylić.

Służąca ze zdziwieniem przyglądała się łzom swojej pani. Nie mogła zrozumieć, jak dama z wyższych sfer, której niczego nie brakowało, może być nieszczęśliwa. Ale przecież książę również nie promieniał radością. Ciekawe, jakie kłopoty mogli mieć tacy ludzie? Jednak nie

do niej należało roztrząsanie problemów swoich państwa. Ona miała im tylko usługiwać.

- Czy księżna pani jeszcze sobie czegoś życzy? - spytała.

Mary spojrzała na pokojówkę i wreszcie lekko się uśmiechnęła.

- Nie, dziękuję ci, Claire - odpowiedziała. -I dziękuję za czekoladę. Była przepyszna!

- Księżna pani bardzo dla mnie łaskawa... - wyjąkała zaskoczona dziewczyna.

Gdy wyszła, Mary znów zapatrzyła się w okno.

Pierce zapukał do sypialni Mary, kiedy Claire pomogła już jej się ubrać i ułożyła fryzurę, trochę mniej wymyślną, ale równie szykowną jak wczoraj. Mary siedziała przy kominku na małym, ozdobnym krzeselku. Żałowała, że nie ma ze sobą jakiejś robótki, bo zajęłaby nie tylko ręce, ale i umysł.

- Proszę wejść! - zawołała.

Nie spodziewała się Pierce'a. W wyrafinowanym, damskim buduarze czuł się niezręcznie i nie na miejscu w prostej, perkalowej koszuli, skórzanej kamizelce i bryczesach wepchniętych w buty do jazdy konnej.

Mary dziwiła się, że tak możny pan jak książę Vail nie znalazł sobie bardziej eleganckiego służącego. Z pewnością taki Pierce mniej raziłby w stajni czy gospodarstwie niż na pokojach. Mary rozśmieszył jego widok, ale pamiętała, że wczoraj okazał jej życzliwość, więc uśmiechnęła

się do niego. Czuła przez skórę, że Pierce jest uczciwym człowiekiem i mógłby nawet zostać jej przyjacielem, a tego właśnie potrzebowała.

- Jego wysokość prosi, żeby księżna pani zeszła do niego na dół - zaanonsował.

Ogarnęły ją dziwnie sprzeczne uczucia. Z jednej strony wiedziała, że czeka ją następna batalia z Nickiem, jednak z drugiej... Nie, na takie emocje nie powinna sobie w żadnym wypadku pozwalać!

- Wasza wysokość? - Pierce dyskretnie przypomniał, że nie zareagowała na przekazane przez niego polecenie księcia.

Miała nadzieję, że Nick zdążył już wszystko przemyśleć, i dlatego właśnie ją wzywał. Ona też nie mogła się doczekać, co książę ma zamiar przedsięwziąć w związku z jej synem, więc nie rozumiała, skąd się biorą jej opory przed spotkaniem. Może na przeszkodzie stały te dziwne, niewyjaśnione uczucia, z którymi w żaden sposób nie mogła sobie poradzić.

- Ależ oczywiście, chętnie - odpowiedziała, ale w jej głosie zabrzmiała niepewność. W oczach Pierce'a zamigotało to samo współczucie co wczoraj.

- Niech się jaśnie pani nie martwi - pocieszył. - On z dużo lepszymi od Traywicka dawał sobie radę.

Zaskoczyło ją, że Nick wprowadził w tę sprawę służącego, ale z drugiej strony jego słowa dodały jej otuchy, tym bardziej, że z oczu Pierce'a biła niezachwiana pewność co do odwagi i zdecydowania swojego pana.

- Na polu bitwy można dobrze poznać człowieka, wasza wysokość - tłumaczył jej dalej. - Trzeba wyczuć, komu ufać, a komu nie, inaczej się zginie.

- Służyłeś w wojsku?

- Odkąd pamiętam - potwierdził z uśmiechem.

- To trochę dziwne przygotowanie do służby u księcia - zauważyła.

- Zależy do jakiej służby i u jakiego księcia - uciał krótko Pierce. - Jestem nie sługą, ale jego ordynansem.

- To znaczy?

- Tak się to nazywa w wojsku - wyjaśnił, widząc jej zmieszanie. - Jeszcze w Niderlandach służyłem jako ordynans lorda pułkownika Stantona.

- Aha, pod Waterloo!

- Starszy sierżant John Pierce, do usług waszej wysokości - zasalutował, stając na baczność. - I jego też - dodał z porozumiewawczym mrugnięciem, jakby powierzał jej tajemnicę.

- Ciekawam, jak zwracasz się do księcia, kiedy jesteście sami? - zagadnęła z uśmiechem.

Od początku zastanawiała się, dlaczego ordynans mówi o swoim panu per „on”. Kiedy rozmawiali w cztery oczy, musiał używać jakichś innych zwrotów, które najlepiej oddawały charakter ich stosunków.

- Widzi jaśnie pani, przez te Wszystkie lata różnie go nazywałem - wyznał z uśmiechem. - Nie wszystko mówiłem mu w oczy, a niewiele mógłbym powtórzyć w obecności damy.

Roześmiała się i opadło z niej napięcie.

- Może tak samo i ja go nazywałam? - podsunęła.

- Zapamiętaj sobie jedno, Mary Winters. - Pierce z głębokim przekonaniem zwrócił się do niej wprost. - W boju nie było lepszego od niego towarzysza. On cię nigdy nie zawiedzie, przynajmniej już nie teraz.

Przytaknęła, bo sama bardzo chciała w to uwierzyć i naprawdę tego potrzebowała.

- Dziękuję ci, Pierce - oświadczyła, wstając. Spodziewała się, że wyjdzie pierwszy na korytarz, aby wskazywać jej drogę, lecz poczekał, by Mary znalazła się dostatecznie blisko, by znów ją zagadnąć:

- Jakim sposobem ten Traywick mógł tak szybko się zorientować, że chłopak jest synem Vaila?

Przed oczami Mary pojawiły się złote loki chłopca i jego ufne, szare oczy. Wspomnienie to przepełniło ją bólem.

- Kiedy go zobaczysz, sam zrozumiesz - odpowiedziała krótko.

- A czy coś jeszcze, poza zewnętrznym podobieństwem, mogło podsunąć mu tę myśl?

- Tamtej nocy... - zaczęła i głos jej się załamał, ponieważ od razu wróciło wspomnienie ciemnego, wyziębionego pokoju wypełnionego ostrą, odrażającą wonią przypalonej ludzkiej skóry. Zmusiła się jednak, aby do końca odpowiedzieć na pytanie Pierce'a, gdyż wyczuwała jego życzliwość. - Traywick próbował mnie... wziąć siłą, a wtedy Richard przyszedł mi z pomocą. Przytaszczył na-

wet pogrzebacz i zamachnął się na człowieka, którego dotąd uważał za ojca!

- Wygląda więc na to - po chwili milczenia powiedział Pierce - że mały zasługuje, aby wiedzieć, kto jest jego prawdziwym ojcem. On czeka na ciebie, Mary.

Dopiero teraz ruszył przodem, aby wskazywać drogę do gabinetu Vaila.

Nick przygotowywał się na kolejną konfrontację z Mary. Wysłał po nią Pierce'a, który lepiej potrafił panować nad nerwami. Kiedy jednak weszła do gabinetu, na moment zapomniał o wszystkim. Zawsze uważał Mary Winters za najpiękniejszą kobietę na świecie, i dziś było tak samo. Wezbrało w nim pożądanie. Wiedział, że w tej chwili było zupełnie nie na miejscu, ale nic na to nie mógł poradzić.

Złapałem się we własne sidła, pomyślał, bezwiednie układając wargi w słaby uśmiech. Zawsze umiał ukrywać swoje prawdziwe uczucia, z jednym wyjątkiem, to znaczy gdy chodziło o Mary.

Miała na sobie szafirową suknię przedpołudniową, z głębokim dekoltem i podwyższonym stanem w stylu empire, uwydatniającym biust. Suknia była szyta na specjalne zamówienie księcia, który sam wybrał materiał w kolorze harmonizującym z cerą Mary, jej niebieskimi oczami i ciemnymi włosami.

Od razu zauważył, że niezbyt dobrze na niej leżała. Nic dziwnego, podał bowiem londyńskiej krawcowej wymiary

z pamięci, tak, jak utrwały mu się przed laty. Mistrzyni igły, której dobrze zapłacił za błyskawiczne wykonanie zlecenia, idealnie wykonała jego instrukcje.

Jednak po tylu latach dziewczyna, którą wtedy kochał, znacznie się zmieniła. Przeobraziła się w kobietę, szczuplejszą, lecz noszącą się prosto i dumnie. Patrzyła na niego od drzwi bez żadnych pretensji czy poczucia winy. Jej wrodzona prawość i godność pozostały niezmienione bez względu na to, ile wycierpiała.

Vail odprawił Pierce'a dyskretnym ruchem głowy, ale znał go na tyle dobrze, że nie mógł nie zauważyć, z jaką niechęcią opuszcza pokój.

Nie wierzy, że potraktuje ją tak, jak według niego powinien. Śmieszyło go, że Pierce tak ubóstwia kobietę, którą jeszcze wczoraj uważał za obcą. Nie dziwiło go jednak łatwe zwycięstwo Mary, bo pamiętał, że siedem lat temu tak samo podbiła jego serce.

- Chciałeś się ze mną widzieć?

Mówiła z taką pewnością siebie, że Vail delikatnie się uśmiechnął. Wiedział aż nadto dobrze, że to tylko gra, ale musiał przyznać, że skuteczna. Obserwator z zewnątrz nie domyśliłby się, że trapi ją paniczny lęk o dziecko.

- Dziękuję ci, że przyszedłeś - przywitał ją, wskazując na krzesło stojące przy biurku.

Nie wstał ze swego miejsca, gdyż po tylu godzinach nerwowego krążenia po salonie bardzo rozboleła go chora noga.

- A miałam inne wyjście, wasza wysokość?

Musiał przyznać, że wypowiedziała te słowa prawie

bez ironii. Przeszła przez cały salon i z wdziękiem usiadła na wskazanym miejscu, spokojnie układając fałdy sukni. Wprawdzie w jej spojrzeniu malował się spokój, ale Vail zauważył drżenie palców, mnących delikatny materiał sukni. Od razu skojarzył to sobie z wczorajszym uściśkiem jej dłoni, stwardniałej od ciężkiej harówki. Jednak najcięższa praca, związana z uwolnieniem chłopca, dopiero na nich czekała. By osiągnąć sukces, musieli ze sobą współdziałać, bez względu na to, co Mary myślała o jego zdradzie.

- Wysłałem agentów do Londynu, aby zbadali stan majątkowy Traywicka - oznajmił jej. - W ciągu tygodnia powinienem otrzymać od nich informacje, a wtedy będę mógł podjąć decyzję, jak najlepiej podejść Traywicka, żeby wymusić na nim zmianę prawnego statusu chłopca.

- Co to dokładnie oznacza? - zapytała.

- Potrzebuję odpowiednich środków, których mógłbym użyć przeciwko temu kupcowi - wyjaśnił. - Najpierw muszę dokładnie poznać sytuację finansową Traywicka, inaczej będę działał w ciemno. Im więcej informacji zdobędę, tym lepiej.

- Chcesz zaproponować mu pieniądze w zamian za naszego syna?

- Każdy człowiek ma swoją cenę.

Oczywiście Nick myślał także o uprowadzeniu chłopca, lecz lękał się, by mały przy tym nie ucierpiał. Poza tym, gdyby porwanie się nie udało, rozwścieczony Traywick mógłby okopać się na swoich pozycjach i odmówić

wszelkich rokowań. Propozycję rekompensaty finansowej uważał za bezpieczniejszą.

- Czegoś nie rozumiesz, Nick. Jego ceną jest tylko zemsta - powiedziała, jakby pouczała naiwne dziecko. - On nigdy nie sprzeda ci Richarda, już prędzej zażąda ode mnie zapłaty za to, co w jego mniemaniu mu zrobiłam, albo nawet tylko za to, co usłyszał od ciebie w sądzie.

- Nie będzie miał wyboru - upierał się Vail. Początkowo nie chciał odkrywać przed nią swoich planów, teraz jednak musiał, bo widział, że Mary już nie ufa mu tak bezgranicznie jak kiedyś.

- Ciekawe, jakim sposobem zmusisz Traywicka, aby zrobił coś, czego zrobić nie chce?

- Istnieje wiele metod wywierania nacisku. Każdy człowiek interesu ma jakieś długi i zastawy. Weksle można wykupić i zażądać natychmiastowej spłaty kredytów hipotecznych...

- Czyli raczej groźba niż przekupstwo?

- Tylko jeżeli nie damy rady inaczej.

Wprawdzie puszczenie kogoś z torbami nie jest tym samym co szachy, karty czy gry wojenne, ale strategia jest zbliżona. Zawsze należy w pierwszej kolejności znaleźć słaby punkt przeciwnika i tam właśnie skierować atak. Vail był pewien, że dzięki swej pozycji społecznej i ogromnemu majątkowi ma w ręku mocniejsze atuty niż kupiec. Nie wątpił więc, że prędzej czy później zmusi go do rezygnacji ze swych praw do chłopca. Jednak Mary tylko potrząsnęła głową i opuściła powieki.

- Nie znasz go - stwierdziła ze smutkiem.
- Więc powiedz mi wszystko, co uważasz, że...
- On uwielbia zadawać ból - weszła mu w słowo. - Ciekawe, czy twoi agenci zdobyliby dla ciebie taką informację. Sprawia mu przyjemność cierpienie, zwłaszcza tych, którzy go w jakiś sposób zawiedli. - Zawiesiła na chwilę głos, bo fenomen psychologiczny Traywicka był trudny do opisanie. - Nawet swoją żonę, gdy już powoli umierała w męczarniach, brutalnie wykorzystywał dla zaspokojenia swych żądź cielesnych. Pewnie uważał, że i ona go zawiodła, bo nie dała mu syna... - Znow urwała, ale Nick czekał na dalszy ciąg drastycznych rewelacji, bo wiedział, jaką mogą mieć wagę. - Nigdy nie odmówiła mu, bo wierzyła, że spełnia obowiązek małżeński, ale ja wiedziałam, co on z nią wyprawiał, bo widziałam ślady na jej ciele, a raz zwierzyła mi się... Jej krzyki rozlegały się po całym domu. Obawiam się, że mógł to słyszeć także Richard...

Mary gwałtownie zamilkła.

- Czy on może zrobić krzywdę chłopcu? - Nick starał się sprowokować ją do dalszych zwierzeń.

- Nie - odpowiedziała za szybko.

Vail wiedział już, że brała taką ewentualność pod uwagę. Świadczył o tym także wyraz jej oczu, rozszerzonych i pociemniałych z nagłego strachu. Na ten widok, wbrew swoim pierwotnym zamiarom, Nick uśmiechnął się i przemówił do Mary uspokajającym tonem:

- Mogę puścić Traywicka z torbami i uprzedzę go

o tym. Chyba nie zechce ryzykować ruiny finansowej dla dziecka, którego sam nie spłodził. Ma za dużo do stracenia, a nic do zyskania...

- Jemu wystarczy, że sprawi komuś ból! - zaproponowała Mary. - Zemsta to dostateczna motywacja, a zresztą on chyba nie jest zupełnie... normalny. Mieliliśmy tego próbkę w sądzie. Wie, że może posłużyć się Richardem, aby zemścić się na mnie, i zrobi z tego użytek.

- Ależ, Mary, musiałby być wariatem, aby podjąć walkę, której nie ma szansy wygrać!

- Takiś pewny siebie? - odparowała szyderczo. - Zawsze byłeś taki, bo wiedziałeś, że możesz dostać wszystko, co chcesz.

- Jestem pewien tylko tego, że wyrwę twojego syna z łap Traywicka. - Vail starał się mówić spokojnie i zdecydowanie, nie demonstrując gniewu wywołanego jej uszczypliwą uwagą. Sam podczas ostatniej, bezsennej nocy przyznał, że miała prawo okazywać swoje rozgoryczenie. Nie wytłumaczył się przed nią ze swoich uczynków, więc mogła czuć do niego urazę i nie ufać mu. - Sądziłem, że oczekujesz ode mnie właśnie tego, to znaczy że pomogę ci odzyskać twojego syna - przypomniał jej. - Przecież chyba po to przyszłaś do mnie?

- Mojego syna! - powtórzyła z ironią, celowo akcentując liczbę pojedynczą. - Nie doceniasz przeciwnika, Nick, a on się ciebie wcale nie boi. Wczoraj, z pomocą sędziego i twojego adwokata, mogłeś z nim wygrać, ale nie lekceważ jego nienawiści. On nienawidzi mnie, a teraz

także ciebie. Oczywiście, że chcę abyś odebrał mu Richarda, bo jesteś jedynym człowiekiem, który ma szansę to zrobić. Ale cię przestrzegam przed Traywickiem, bo dobrze go znam. Poza tym zgodnie z prawem Richard uchodzi za jego syna i każdy sąd przyzna, że wolno mu zrobić z nim to, co uzna za stosowne.

- Sądzę, że przy swoich ograniczonych możliwościach będzie się starał jak najprędzej pozbyć tego kłopotu.

Robił dobrą minę do złej gry, jednak to, co Mary powiedziała o Traywicku, nie napawało zbytnim optymizmem. Nie chciał jednak niepokoić jej swymi wątpliwościami. Wystarczyło, że przez siedem lat sama dźwigała ciężar odpowiedzialności za byt materialny oraz bezpieczną przyszłość dziecka. Nick uznał, że teraz kolej na niego.

- Mary, obiecuję, że w ciągu kilku dni sprowadzę tu chłopca - zapewnił.

- On ma na imię Richard!

- Znam jego imię.

- Więc dlaczego go nie używasz? Czemuż to wasza wysokość nie nazywa swego dziecka jego imieniem? - zaatakowała wprost. - A może nie chcesz go uznać za syna? Twojego jedynego, pierworodnego syna i dziedzica?

Ciężkie milczenie trwało w nieskończoność. Wreszcie Vail powiedział wymijająco:

- Wydaje mi się, że w tej chwili powinniśmy troszczyć się o obecny los dziecka, a nie planować jego przyszłość.

- Uprzedzam, że trudno ci będzie się go wyprzeć. Nie

tylko Traywick zauważył jego uderzające podobieństwo do ciebie! - przestrzegła chłodno.

- Wcale nie próbuję się wypierać, że jestem jego ojcem. Przecież publicznie uznałem cię za żonę! - zaprotestował.

- Bo wtedy jeszcze nie wiedziałeś, że urodziłam twoje dziecko - weszła mu w słowo. - Ciekawe, czy tak samo chętnie złożyłbyś to oświadczenie, gdybyś wiedział, że niełatwo ci będzie zerwać ten związek.

- Zerwać?

- Przypuszczam, że gdy tylko uporasz się z Traywickiem, zechcesz rozwieść się ze mną lub unieważnić nasze małżeństwo. Przecież nigdy nie chciałeś afiszować się ze mną, a w sądzie wystąpiłeś, żeby uratować mnie przed zesłaniem do kolonii, bo taki groził mi wyrok. Tylko nie myśl, że jestem niewdzięczna - dodała niechętnie.

- Nie żądam od ciebie wdzięczności, Mary, bo wiem, że na nią nie zasłużyłem, ale nie mam też zamiaru rozwieść się z tobą ani wyprzeć się dziecka! - zaprotestował.

- Richarda! - poprawiła, mierzając go chłodnym spojrzeniem.

Nick nie chciał przyznać się Mary, dlaczego imię syna nie przechodziło mu przez usta, choć pewnie złagodziłby tym jej gniew i ból. Była to jednak sprawa taktyki w toczącej się rozgrywce z Traywickiem. Vail, jako wybitny oficer, dobrze wiedział, że najlepszym doradcą jest chłodny namysł, najgorszym zaś - emocje. W tej chwili chłopiec był dla niego czymś niemal abstrakcyjnym, anonimowym.

wą figurą w grze. I tak powinno pozostać aż do zwycięstwa. Książę wręcz zabobonnie lękał się, że gdy nazwie chłopca jego imieniem, wybuchną w nim ojcowskie uczucia, które starał się tłumić, i straci dystans do sprawy, tak potrzebny, by pokonać kupca.

- Przysięgam ci, Mary, że sprowadzę tu twojego syna!
- powtórzył.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, próbując wyczytać szczerłość z jego oczu. Potem odwróciła wzrok i zagryzła wargi, by powstrzymać nieostrożne słowa.

Widać było, że mu nie wierzy, bo i dlaczego miałyby wierzyć? Kiedyś już złożył jej najświętszą obietnicę, lecz złamał ją, więc Mary Winters nie miała powodu, by poważnie traktować jego słowa.

I nagle ogarnęło go miłosne pożądanie. Mimo upływu lat i tragicznych przeżyć nadal kochał Mary. Jego duma i nieprzystępność zabiły w niej dziewczynę, którą była przed laty, ale kobieta, tak bardzo zahartowana przez cierpienie, budziła w nim nie mniejsze uczucie. Nadal ogromnie jej pragnął.

Chciał jej dotykać, badać każdy fragment jej ciała i czuć pod palcami alabastrowe piersi! Chętnie chroniłby ją przed wszelkim złem, aby jej paluszki znów stały się gładkie, a z błękitnych oczu znikło napięcie.

Żadnej innej kobiety w swym życiu nie pożądał tak mocno jak Mary Winters, choć porzucił ją i jej dziecko, którego dotychczas nie widział i nie miał pewności, czy zobaczy.

W duchu przysięgał sobie, że już nigdy nie będzie mu-

siała sama borykać się z ciężarem odpowiedzialności. Miał zamiar zdjąć z jej ramion to brzemie, ale milczał. I tak by mu nie uwierzyła.

Głosem opanowanym i chłodnym wypowiedział więc tylko zdawkową formułę:

- Pierce odprowadzi cię teraz do twoich apartamentów. Sądzę, że masz do dyspozycji wszystko, co potrzebne. Gdybyś jednak potrzebowała czegoś więcej, zadzwoń na służbę.

- Przesiedziałam trzy miesiące w więzieniu, a przedtem przez siedem lat wegetowałam w ciemnej klitce na łasce pana Traywicka! - przypomniała mu z pogardą. - Nie potrzebuję od ciebie ani rzeczy, ani służby, tylko mojego syna. Naszego syna!

Wymówiła te słowa z naciskiem i wstała, nie zaszczycając Nicka spojrzeniem. Poszła prosto ku drzwiom, za którymi czekał Pierce. Nick usłyszał jeszcze krótką wymianę grzeczności między nimi, ale kiedy drzwi się zamknęły, został sam ze swymi myślami.

Powoli podszedł do okna. Ból w nodze nasilił się. Od ruchowo zaczął rozcierać bolący mięsień.

Za oknami pałacu rozciągały się łąki i starannie utrzymane ogrody majątku Vail, jednak Nick nie dostrzegał budzącej się wiosną do życia roślinności. Oczami wyobraźni widział małego chłopca, którym niegdyś sam był, a który zażywał cudownej swobody na tych przestrzeniach. Oczywiście zajmował się nim guwerner, ale i tak jego dzieciństwo było niemal sielankowe. Nie przygotowywano go do przejęcia obo-

wiązków związanych z książęcym tytułem, bo jako młodszemu synowi ta godność się nie należała.

Sądził jednak, że dobrze wywiązywał się ze swoich powinności, od kiedy w tragicznych okolicznościach został dziedzicem tytułu. No cóż, przez te wszystkie lata nie miał nic innego do roboty. Teraz jednak sytuacja diametralnie się zmieniła: miał żonę i syna.

I miał, i nie miał. Jego żoną była kobieta, która nie chciała dzielić z nim sypialni, a syn, którego nie widział nigdy na oczy, formalnie należał do innego mężczyzny. Czyli właściwie nie miał nic poza swoją głupią dumą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wydaje się waszej wysokości, że skłoni mnie do wydania chłopca? A co, jeśli nie dam się skusić obietnicami ani nie przestraszę się gróźb?

W głosie Marcusa Traywicka pobrzmiwała wesołość. Nie było w nim natomiast ani śladu strachu, co zaskoczyło Vaila, zważywszy że szczegółowo odmalował kupcowi skutki jego odmowy. Mimo swojej niestabilnej sytuacji finansowej Traywick wcale się nie bał, z czego Nick dopiero teraz zdał sobie sprawę.

Okazało się, że Mary miała rację. Temu człowiekowi bardziej zależało na demonstracji swojej przewagi niż na korzyściach finansowych.

Vail nie uprzedził Mary o planowanym spotkaniu z Traywickiem. Informacje, których potrzebował, dostarczono mu z Londynu wcześniej, niż się spodziewał, ale w następnych dniach nie widywał się z żoną. Mieszkała wprawdzie w jego pałacu, ale dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Oczekiwała od niego tylko jednego: że odzyska Richarda.

- I po co to wszystko? Przecież obaj wiemy, że chłopiec nie jest pana synem - próbował pertraktować Vail.

Ton jego głosu nie zdradzał obaw. Starał się demonstrować mocną pozycję przetargową, wspartą wysokim statusem społecznym i majątkowym.

- Ciekawym, w jaki sposób pan to udowodni? - szydził Traywick.

- To chyba nie nastęczałoby trudności, zważywszy podobieństwo chłopca do mnie.

- Ona to panu powiedziała, tak?

- Jej wysokość - poprawił Vail.

Traywick się roześmiał.

- Jej wysokość przez siedem lat wynosiła pomyje z mojej kuchni! - zadrwił.

- Jej wysokość księżna Vail. Radziłbym panu dobrze zapamiętać ten tytuł, jak i to, z kim ma pan do czynienia - powtórzył Nick z naciskiem.

- To znaczy, że mam się bać, bo wielki lord mi grozi?

- wycedził Traywick z jadowitą ironią. Celowo użył nie właściwego tytułu, aby obrazić rozmówcę. - Tylko jaśnie pan raczy zapominać, że mieszkamy w Anglii, a prawo angielskie chroni ludzi takich jak ja przed zniewagami takich jak pan. Prawo jest po mojej stronie, ponieważ to ja zostałem poszkodowany. - Pałkowatymi palcami powiódł po bliznach na twarzy. - Tak, zostałem okaleczony przez tę kobietę, tę złodziejkę, którą pan publicznie nazwał swoją żoną. Teraz dzieci mnie wyśmiewają, a kobiety odwracają się ode mnie na ulicy!

Traywick dyszał wściekłością, a blizny nabiegły krwią. Widać było, jak bardzo nienawidzi Mary.

- Przyszedłem tu, aby porozmawiać z panem o chłopcu - osadził go Vail. - Cokolwiek zaszło...

- To zaszło, że ta kobieta zaatakowała mnie, kiedy próbowałem osłonić przed nią mojego syna! - wszedł mu w słowo Traywick. - Ten chłopiec jest moim synem, bez względu na to, do kogo jest podobny. Szkoda, że pan nie przypomniał sobie o tym siedem lat temu!

- A z czego utrzyma pan dziecko, jeśli wszystkie pańskie inwestycje rozpadną się w proch i pył? - zagadnął Vail wielce znudzonym tonem.

- Niech zdycha z głodu, mało mnie to obchodzi - wycedził kupiec, wykrzywiając usta w ponurym, zajadłym uśmiechu.

- A pan, jak rozumiem, zamierza zgnić w więzieniu? - podchwycił Nick. - Albo za długi trafić do karnych kolonii?

- Jeśli tam trafię, na pewno zabiorę go ze sobą.

Nick oparł się pokusie udzielenia kupcowi takiej odpowiedzi, na jaką naprawdę zasługiwał.

- Ile pan chce za tego chłopca? - zapytał, jakby targował się o cenę zboża.

- Przykro mi, ale mój syn nie jest na sprzedaż.

- W takim razie z równie wielką przykrością muszę poinformować, że pana zniszczę - powiedział Nick beznamiętnym tonem.

Był pewien, że to ostudzi zapalczywość Traywicka. Wychodził już, gdy kupiec zatrzymał go w drzwiach.

- Ona zna cenę - wycedził.

Nick zwrócił się ponownie ku niemu i dostrzegł w bu-

rych oczach kupca wyraz zimnej nienawiści. Zrozumiał, że sytuacja przedstawiała się aż tak źle, jak Mary się obawiała.

- Zawsze ją znała, jeszcze zanim nazwała się pańską żoną - kontynuował Traywick. - W tej materii nic się nie zmieniło. Chociaż nie, muszę przyznać, że jej nowa pozycja dodaje sytuacji sporo pikanterii! - Grube wargi kupca znów skrzywiły się w szyderczym uśmiechu. - Nie ma pan pojęcia, milordzie, z jaką rozkoszą użyję sobie z jej wysokością księżną Vail. Niech pan nie zapomni jej o tym powiedzieć, a teraz, mój wielki panie lordzie, wynoś się pan z mojego domu do wszystkich diabłów!

Nick wiedział już, że Traywick jest rzeczywiście tak szalony, jak mówiła Mary. Oczami wyobraźni zobaczył jej delikatną skórę - tę samą, którą raz miał możliwość się zachwycać, dotykać i pieścić - pokrywającą się sińcami. Tego już nie mógł znieść.

- Zabiję cię! - syknął, tracąc panowanie nad sobą. Aby uwiarygodnić swą groźbę, kulejąc, zrobił kilka kroków w stronę kupca.

- A proszę bardzo, tylko gdyby coś mi się stało, moi ludzie z pewnością wykonają rozkazy, które im wydałem co do chłopca. Nie przypuszczam, aby pan tego chciał, zważywszy pańskie nagłe... zainteresowanie tym dzieckiem. - Kupiec wiedział, że tymi słowami powstrzyma Vaila. I rzeczywiście osiągnął swój cel.

- Jakie rozkazy? - Nick z trudem hamował wzburzenie. Próbował demonstrować lodowatą obojętność, do któ-

rej przywykł przez lata, i dopiero powrót Mary Winters zmusił go do zrzucenia maski.

- Rozkazy, które zostaną wykonane, gdyby cokolwiek mi się stało, wasza wysokość - powtórzył z naciskiem Traywick. - Zapewniam pana, że pomyślałem o wszystkim. Dobry ojciec zawczasu myśli o przyszłości syna, nie tak, jak ci, którzy bezmyślnie płodzą dzieci na prawo i lewo. Wtedy kto inny musi myśleć za nich, a przyszłość takiego malca zwykle bywa bardzo niepewna. Tyle niebezpieczeństw czyha na bezbronne dzieci, prawda, milordzie? Niektóre czasem trudno przewidzieć...

Kupiec uśmiechał się szyderczo, patrząc na księcia z góry. Taki wykształcony arystokrata powinien przecież wiedzieć, jakie nieszczęścia przydarzają się dzieciom, których ciała są tak wątłe i delikatne. Wyraz oczu Traywicka świadczył dobitnie, że oszalały z nienawiści kupiec nie blefował.

- Niech wasza wysokość koniecznie powtórzy Mary Winters to, co powiedziałem - dodał Traywick, nadając swemu głosowi prawie miły ton. - Proszę jej powiedzieć, że czekam na wiadomość od niej.

Nick postął jeszcze przez chwilę, dopóki nie ochłonał, po czym bez słowa obrócił się i opuścił dom, prześladowany wizją małego chłopca wydanego na łaskę i niełaskę sadystycznego szaleńca.

Natomiast Marcus Traywick, kiedy tylko został sam, mógł śmiało dać upust swojej mściwej radości. Wiedział

doskonale, że mimo wyższej pozycji społecznej księcia zyskał nad nim przewagę. Te atuty dała mu do ręki Mary w chwili, gdy pojawiła się w jego domu z książęcym bękartem w brzuchu.

Początkowo liczył, że uda mu się ukształtować chłopca na swój obraz i podobieństwo, by w przyszłości mógł przejąć po nim interes, jednak z czasem w tym smarkaczu coraz mocniej zaczęły się ujawniać cechy odziedziczone po prawdziwym ojcu. Zbyt często widział w jego oczach tę samą chłodną pogardę, którą dziś dostrzegł we wzroku Vaila.

Traywick stwierdził z satysfakcją, że księżę nie patrzył już tak na niego, gdy opuszczał jego dom. Liczył, że wszystko mu się uda tak jak dotychczas, bo nawet ten przekupny sąd orzekł po jego myśli. Za to tym razem nic z tych rzeczy!

Oczywiście kupcowi nie zależało na chłopcu. Po śmierci Abigail miał nadzieję, że wkrótce ożeni się powtórnie i pocznie prawowitego następcę, podobnego do niego jak dwie krople wody.

Ale teraz... Ukradkiem sięgnął do blizn na twarzy. Jaka atrakcyjna i dobrze sytuowana kobieta zechce poślubić tak wyglądającego mężczyznę? Teraz nadaje się akurat na potwora do straszenia dzieci!

Ten smarkacz nie był mu już do niczego potrzebny, ale skoro ci dwoje tak chcieli go odzyskać, to go nie dostaną! Nie wątpił, że Vail mógłby wykonać wszystkie swoje groźby, ale nie przypuszczał, by w takiej sytuacji chciał narażać na niebezpieczeństwo swojego syna.

Traywick zdał sobie jednak w tej chwili sprawę, że przy swoich politycznych wpływach i powszechnie znanej odwadze, książę mógłby porwać chłopca i ukryć go aż do czasu, gdy przekona sąd do wydania korzystnego dla siebie werdyktu.

Tyle tylko, że do tej gry trzeba dwojga. Traywick z rozprawieniem przypomniał sobie, że w dzieciństwie wykazywał zadziwiającą biegłość w zabawie w chowanego. Teraz chętnie pobawi się z Vailem. Uśmiech wykrzywił jego grube wargi, bo to było przecież takie proste!

Wiedział już, gdzie i u kogo ukryje Richarda. Aż dziw, że nie wpadł na to wcześniej! Za jednym zamachem dosięgnie wszystkich, których nienawidził. Zaniósł się zjadliwym, okrutnym śmiechem. Zemsta jest słodka!

Jednoreki weteran z lękiem stał przed obliczem Traywicka. Bob Smithers nie przywykł, aby kupiec wzywał go do swego biura. Zazwyczaj wydawał mu tylko zwięzłe polecenia na kuchennych schodach, kiedy wybierał się w którąś ze swych licznych podróży w interesach.

Miał nadzieję, że nie zawiódł wymagającego chlebowdawcy, bo w tamtych czasach nawet zdrowi i sprawni ludzie mieli trudności ze zdobyciem pracy, a dla takiego inwalidy jak on zatrudnienie przesądzało o życiu bądź śmierci. Dlatego żywił dla Traywicka głęboką wdzięczność i jak mógł, starał się go zadowolić.

- Mam dla ciebie zadanie do wykonania - przywitał go kupiec, podnosząc wzrok znad papierów.

- Coś ważnego, proszę jaśnie pana?

- Tak, to bardzo ważne zadanie i ściśle poufne. Nie powierzyłbym go nikomu innemu. Tylko pamiętaj, Bob, tak jak zawsze, z nikim ani słówka. Z nikim, rozumiesz? - powtórzył z naciskiem.

Smithers tylko kiwnął głową, bo zdążył się przyzwyczaić, że Traywick trzyma wszystkie swoje transakcje w tajemnicy. Spodziewał się, że dostanie jakąś wiadomość do przekazania, jak to bywało już wielokrotnie. Czasem nawet musiał jechać aż do Londynu.

- Chciałbym, abyś zawiózł mojego syna do Szkocji - obwieścił Traywick.

- Do Szkocji, proszę jaśnie pana? - powtórzył dla pewności Smithers.

- Tak, bo chcę, żeby poznał rodzinę mojej świętej pamięci żony. Lady Keith, babka mojej ukochanej Abigail, jeszcze nie widziała swego prawnuka. Kiedyś wprowadzała Abigail na salony w zastępstwie jej zmarłej matki, więc myślę, że chętnie zajmie się synem swej wnuczki. Richard będzie musiał pozostać tam dłużej, bo mam teraz dużo pilnych spraw do załatwienia, więc nie mam czasu znaleźć mu guwernantki.

- Myślałem, że jaśnie pan się niedługo... - zaczął Smithers, ale osadzony nieprzyjaznym spojrzeniem, szybko ugryzł się w język. Krążyły przecież plotki, że po śmierci żony pan Traywick prędko znajdzie sobie inną, aby poprawić swoją pozycję społeczną, tak jak to zrobił z Abigail, którą poznał przed laty w Londynie i tak oмотał, że z nim uciekła.

Plotki dotyczyły także arystokratycznego pochodzenia Abigail, co, sądząc po zaskakującym poleceniu, jakie właśnie otrzymał, okazało się zgodne z prawdą. Ludzie jednak gadali także i o tym, że małżeństwo Traywicka nie ułożyło się tak, jak planował. Podobno rodzina panny młodej wydziedziczyła ją, zrywając z nią i z jej mężem wszelkie stosunki. Zważywszy, że Smithers dotychczas nie znał panińskiego nazwiska pani Traywick, także i te pogłoski mogły być prawdziwe.

Nie miało jednak sensu przypominać temu mściwemu człowiekowi o jego potknięciach. Stary żołnierz dobrze wiedział, że mógłby przez to nawet stracić pracę. Dlatego zawsze uważał, aby się nie narazić Marcusowi Traywickowi.

- Jestem pewien, że prababcia chłopca z radością go przyjmie pod swój dach - mówił dalej kupiec. – Wystarczy, jeśli dowieziesz go do jej domu. Zresztą napisałem ci dokładnie, co i jak. A wracać będziesz przez Londyn, gdzie dostarczysz przesyłkę od moich bankierów. Ktoś tam już na nią czeka. Tylko pamiętaj, Bob, że to bardzo ważna przesyłka i masz jej strzec nawet za cenę życia.

Smithers odebrał pisemne instrukcje, a na koniec, ponieważ Traywick nie dał mu żadnych pieniędzy na drogę, zapytał niepewnie:

- Czy mam wieźć chłopca dyliżansem?

Pryncypał wydał wargi, zastanowił się i orzekł:

- Wystarczy, jeśli zabierzesz go na swego konia. To małe dziecko, możesz trzymać go przed sobą na siodle.

Staraj się tylko unikać głównych traktów, żebyście nie zwracali na siebie uwagi.

Smithers pomyślał, że łatwo by mu było wieźć w ten sposób dziecko, gdyby miał dwie ręce, lecz zachował tę uwagę dla siebie.

- Czy to wszystko, proszę jaśnie pana? - spytał, wpychając instrukcję do kieszeni zamszowej kamizelki. Przewidywał, że wykonanie obu zadań zajmie mu sporo czasu, biorąc pod uwagę nakazany przez Traywicka środek lokomocji.

- Może się zdarzyć, że nie będzie mnie w domu, kiedy wrócisz - dodał Traywick z wahaniem, ważąc każde słowo. - Wtedy oddasz paczkę pod tym adresem. Kiedyś już tam byłeś.

Traywick wręczył następny skrawek papieru. Gdy Smithers zapoznał się z instrukcją, uniósł brwi ze zdziwienia.

- Ale to kawał drogi, do Szkocji i z powrotem, a potem jeszcze tam... - bąknął nieśmiało.

- Dostarczysz tam jak najszybciej paczkę, którą przywieziesz z Londynu, ale tylko jeśli po powrocie nie zastaniesz mnie w domu.

- A kiedy pan chce, żebym wyjechał?

- Nawet zaraz. Chyba nie masz żadnych innych planów, prawda?

Traywick włożył klucz w zamek metalowej kasety, tej samej, z której jakoby Mary Winters miała podkraść pieniądze. Stary żołnierz wiedział jednak doskonale, że jedy-

ny klucz do tej szkatuły dyndał na złotym łańcuszku przeciągniętym w poprzek wydatnego brzucha kupca...

- Skąd, nie mam żadnych innych planów, jasnie panie.
- Bo widzisz, kiedy próbowałem domagać się sprawiedliwej kary dla byłej guwernantki mojego syna... - mówił Traywick, odliczając stosik monet - naraziłem się pewnym bezwzględny i wpływowym osobom. Obawiam się, że mogą mścić się na mnie, uderzając w Richarda, dlatego powierzam ci go. Masz strzec mojego syna jak własnego życia. Wystarczy, że piśniesz jedno słowo za dużo, i mój syn padnie ofiarą zemsty. Chyba nie chciałbyś być odpowiedzialnym za krzywdę tego chłopca, prawda?
- Popchnął pieniądze w stronę starego wiarusa i dodał, mierząc go dziwnie rozbawionym spojrzeniem: - To powinno z nawiązką pokryć wydatki, a co zostanie, uważaj za swoje wynagrodzenie.

Smithers zorientował się, że Traywick próbuje go przekupić, aby zamknąć mu gębę. Nigdy dotychczas tego nie robił, ale były żołnierz rozumiał, jakiego wroga jego pan ma na myśli. Wszystkie wróble we wsi ćwierkały o księciu Vailu, który przybył na ratunek niesłusznie oskarżonej Mary Winters, a przecież każdy głupi wiedział, że nie opłacało się zadzierać z wyżej postawionymi. Dziwne, że Traywick do tej pory się tego nie nauczył, ale w końcu to sprawa między nim a księciem. Do niego zaś należało wykonywanie poleceń tego, kto mu płacił.

- Rozumiem - odpowiedział i schował pieniądze. - Czy chłopiec jest już gotowy?

- Richard jeszcze nie wie, że ma wyjechać. Czy byłbyś tak dobry i pomógł mu się spakować?

Smithers oczywiście przytaknął, jednak czuł, że został wplątany w bardzo nieczystą sprawę. Jednak wiedział nie od dziś, że Traywick był dziwnym człowiekiem.

- Aha, i jeszcze jedno, Bob... - Smithers dostrzegł w żółtawych oczach swego pana złośliwą satysfakcję. - Chłopiec może zabrać z sobą tylko rzeczy do ubrania. Zanim wyjedziecie, wrzuć tego drewnianego żołnierzyka do pieca.

- Mam go spalić, jaśnie panie?

- Owszem, i to w jego obecności. Słyszałem, że to niezdrowe, gdy dziecko za bardzo przywiązuje się do jednej zabawki.

Smithers zastanawiał się, czy zaprotestować. Nie rozumiał, co może być złego w tym, że chłopiec ma swoją ulubioną zabawkę. Wszystkie dzieci je mają.

- Coś jeszcze? - zagadnął Traywick.

- Już nic, jaśnie panie!

Smithers nie odważył się na protest. Pocieszał się, że może chłopcu będzie lepiej u krewnych matki. Wiadomo, że dziecku potrzeba kobiecej ręki, a Traywick to taki twardego człowieka...

Książę Vail wrócił do swego gabinetu i pokuśtykał do okna. Przez całą drogę z domu Traywicka myślał i myślał, ale nie wymyślił żadnego sensownego rozwiązania. Stał tak przy oknie prawie godzinę, kiedy do pokoju wszedł jego ordynans.

Pierce miał już dość czekania. Wiedział, dokąd księżę pojechał, orientował się też w operacjach finansowych, które dotyczyły przedsiębiorstw należących do Traywicka. Nie znał natomiast wyniku konfrontacji swego pana z kupcem i na tę wiadomość niecierpliwie czekał.

Obawiał się, że księżna zauważy jego niepokój, toteż dla zabicia czasu uczył ją grać w pikietę*. Podczas kilku dni, jakie Mary spędziła w pałacu księcia, dużo przebywała z Pierce'em, skutkiem czego wywiązała się między nimi przyjaźń, trochę dziwna w przypadku księżnej i ordynarna jej męża. Pierce zdawał sobie sprawę, że może to wywołać zgorszenie wśród służby.

Mary jednak zupełnie tym się nie przejmowała, bo taka po prostu była, a poza tym potrzebowała kogoś, kto utwierdziłby ją w przekonaniu, że Vail rzeczywiście robi wszystko, aby odzyskać syna. Do tej roli najlepiej nadawał się Pierce. Ten zaś z kolei, im dłużej przebywał z Mary, tym lepiej rozumiał swojego pana.

Szybko się upewnił, że Mary Winters w pełni zasługuje na uczucie, jakie żywił do niej księżę. Bo przecież nikt lepiej od niego nie znał księcia ani wierniej nie dochowywał jego tajemnic. Wystarczyła jednak krótka znajomość z Mary, by zaczęło go korcić, aby usprawiedliwić postępowanie Vaila, a więc ujawnić te szczegóły, które jego pan zataił przed żoną.

Oczywiście do tego nie doszło, bo ich przyjaźń harto-

* Pikieta - karciana gra. Inna nazwa: rumel (przyp. red.).

wała się w ogniu bitew i bez względu na różnice w statusie społecznym zbyt wiele znaczyła dla obu. Pierce nie mógł więc postąpić wbrew woli Vaila, nawet gdy nie aprobował jego decyzji.

- Czy kupiec zgodził się oddać chłopca? - spytał od progu.

Stanął jednak jak wryty, gdy zobaczył księcia zwróconego twarzą do okna, ze spuszczoną głową i rękoma założonymi za siebie. Nie widział jego twarzy, ale z samej postawy wywnioskował, że misja zakończyła się klęską.

Zachodził w głowę, co się mogło stać. Plan był szczegółowo dopracowany, a księżę miał genialne zdolności taktyczne. Nigdy nie pozostawił furtki, przez którą mógłby wymknąć się nieprzyjaciel. Gdzie więc popełniono błąd?

Księżę nie odwrócił się, tylko przemówił głosem spokojnym i opanowanym:

- Nie zgodził się - odpowiedział krótko.
- A nie powiedział, dlaczego?

Dopiero teraz księżę odwrócił się ku niemu i Pierce po samej jego minie poznał, że musiało zdarzyć się coś strasznego. W szarych oczach pojawiło się coś, co Pierce widział dotychczas tylko raz i nie chciałby zobaczyć więcej.

- Mielście rację, ty i Mary - przyznał. - Jemu chodzi tylko o zemstę.

- Chce się zemścić na księżnej? - spytał ostrożnie Pierce, bo w pozornie spokojnym głosie księcia było coś przerażającego.

- Przede wszystkim na niej - potwierdził Vail. - Oczywiście nienawidzi także mnie, ale tylko tak przy okazji, do kompletu.

- Przecież on nie może nic zrobić księżnej... - zaczął Pierce, ale zaraz urwał, gdyż zdał sobie sprawę, jak bardzo się myli. - Chyba że posłuży się chłopcem... - Zniżył głos do szeptu.

- Nawet nie próbuj sobie wyobrazać, do czego ten łajdak jest zdolny. Bo ja już sobie to wszystko po wielekroć wyobrażałem. Nie ma sensu zgadywać, co człowiek pokroju Traywicka może wymyślić, aby zemścić się na niewinnym dziecku.

- Tym właśnie groził? - upewnił się Pierce, a gdy Vail przytaknął, zapytał: - Co pan pułkownik ma zamiar z tym zrobić?

- To samo, co robiłem przez cały czas, od kiedy opuściłem dom tego szaleńca.

Pierce nie zrozumiał.

- To znaczy, panie pułkowniku?

- Będę się modlił, aby nic złego nie spotkało mego syna.

Potem ruszył ku drzwiom, rozmowa była więc skończona. Pierce pomyślał o kobiecie, która w swoim pokoju czekała na wiadomości, przeświadczona o przewadze Vaila nad Traywickiem.

- Na miłość boską, panie pułkowniku, nie może pan się poddawać! - wybuchnął. - Sam pan powiedział, że każdy człowiek ma swoją cenę, więc trzeba tylko przewa-

chać, ile żąda Traywick, i dać mu to. Przecież ma pan pieniądze, co to dla pana? A chłopca trzeba ratować, bo to pana syn!

- Ja już znam cenę - powiedział Vail z naciskiem. - On dał mi jasno do zrozumienia, czego żąda w zamian.

- Więc dajmy mu to i koniec! - gorączkował się Pierce, choć zdawał sobie sprawę, że to byłoby za proste. Kupiec musiał zażądać czegoś takiego, co załamało jednego z najodważniejszych oficerów w królewskiej armii.

- On żąda Mary - odpowiedział w końcu Vail. - Mam wysłać moją żonę do jego łóżka, aby mógł wyprawiać z nią takie same bezceństwa jak ze swoją. Pod tym warunkiem odda mi syna.

Mary stała pod drzwiami gabinetu Vaila i z drzeniem wysłuchiwała słów, które tam padały. Nie miała zwyczaju podsłuchiwać, chciała tylko wejść do środka i poprosić Nicka, aby powtórzył jej przebieg rozmowy z Traywickiem. Jednak Vail mówił tak głośno i wyraźnie, że słysząc go było nawet przez masywne, dębowe drzwi: „On żąda Mary. Mam wysłać swoją żonę do jego łóżka, aby mógł wyprawiać z nią takie same bezceństwa, jak ze swoją. Pod tym warunkiem odda mi syna”.

Wydawało się jej, że stoi tam nieskończenie długo, próbując pojąć sens słów, które podsłuchiwała. Myślała z rozpaczą, że mogła się tego spodziewać. Przecież Traywick od początku domagał się tego od niej. Po to właśnie zdierał z niej ubranie i pakował paluchy... Wzdrygnęła się.

„On żąda Mary"... Dobrze, że wiedziała! A więc to ona sama może uwolnić Richarda, Vail nie jest do tego potrzebny. Trzeba jej tylko odwagi, aby powrócić do domu kupca i...

Przede wszystkim jednak musiała mieć gwarancję, że Traywick odda chłopca pod opiekę Nicka, jeżeli ona spełni jego życzenia. Wprawdzie Vail nigdy publicznie nie uznał Richarda za swego syna, ale była pewna, że przynajmniej zapewni chłopcu wyżywienie, ubranie, dach nad głową, a przede wszystkim ochronę przed Traywickiem. Na tyle ufała Nickowi.

Gdy klamka w drzwiach poruszyła się, Mary skryła się w ciemnym korytarzu. Nick wyszedł z gabinetu i ruszył przez hol, nie oglądając się za siebie. Mary ze swojej kryjówki widziała, jak kulejąc wchodzi po schodach. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Nick był pewien, że zdoła uwolnić Richarda, więc i ona mu zaufała, jednak nie miał pojęcia, z jakim człowiekiem ma do czynienia, podczas gdy ona znała go lepiej. Lecz to właśnie ona popełniła błąd, zwracając się do Nicka o pomoc, ponieważ wydawało się jej to łatwiejszym rozwiązaniem. No i może dlatego, że...

Musiała szczerze przyznać, że uczucia, jakie żywiła do Nicka Stantona, mimo jego zdrady wcale w niej nie wygasły.

Nie była już jednak tą samą dziewczyną, która zaufała Nickowi tak bezgranicznie, że oddała mu swoje dziewictwo. Zmieniła się w dojrzałą kobietę, a przede

wszystkim została matką. Prawda, że Vail próbował zrobić, co mógł, ale musiała przyznać, że w głębi duszy zawsze znała cenę, którą miała zapłacić. I jakoś z tym się pogodziła. Gotowa była złożyć w ofierze godność i spędzić przerażającą w swej ohydzie noc ze swym prześladowcą, byle tylko ratować syna. Traywick dobrze wiedział, co mówi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mary dawno już odesłała Claire, ale wciąż jeszcze siedziała przy kominku, na którym żarzył się dogasający ogień. Od wielu godzin próbowała obmyślić plan, który pozwoliłby jej przystać na warunki kupca, w zamian za pewność, że Richard bezpiecznie dotrze do majątku Vail.

Oczywiście Nick nie mógł dowiedzieć się o niczym. Tak samo Pierce, bo chociaż był jej jedynym przyjacielem, również nie wypuściłby jej z pałacu. Nickowi nie pozwoliłaby na to jego męska duma, swoista chęć posiadania manifestująca się nawet w tonie, jakim wypowiadał słowa „moja żona”. Nie bez racji ten ton zawsze ją intrygował...

Chociaż dochodziła już północ, usłyszała ciche pukanie. Była pewna, że to Pierce przyszedł, aby powiadomić ją o wyniku rozmowy. Narzuciła więc szal na nocną koszulę i bosą pobiegła do drzwi.

Z ciemności wyłonił się jednak Nick. Miał na sobie tylko lnianą koszulę rozpiętą pod szyją, irchowe bryczesy i długie buty, te same, w których wrócił z podróży. Miękkie, wijące się jasne włosy opadały mu na czoło, tak samo jak przed laty, kiedy rozgarniała je palcami.

Był wtedy młody i przystojny, a przy tym taki męski!

Siła dodawała mu atrakcyjności, podobnie jak pewność siebie wynikająca z wysokiego urodzenia, wzmocniona przez przewagi bojowe na Półwyspie Iberyjskim. Imponowało to naiwnej dziewczynie, jaką wtedy była, ale i teraz, mimo złych wieści, jego szare oczy nadal wyglądały na nieulekłe.

- Mogę wejść?

Mary usunęła się na bok, niepewna, czy zdoła wydobyć z siebie głos. Nie spodziewała się, że nagle zobaczy Nicka tak blisko, więc nie zdążyła przybrać postawy zaczepno--odpornej, którą zwykła się chronić w jego obecności.

Nick przeszedł przez cały pokój i zatrzymał się przy kominku. Mary zauważyła, że nawet bez laski nie utyka bardziej niż przed laty, kiedy szedł ku niej wśród krzewów porzeczek.

- Zamknij drzwi - polecił jej ściszym głosem.

Zawahała się, choć nie było ku temu powodów. Wiedziała przecież, że nie przyszedł jej uwodzić, tylko chciał, aby ich rozmowa pozostała poufna. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ten człowiek mógłby jej pożądać. Księżciu nie oparłaby się żadna kobieta w Anglii, nawet młoda, ładna i ustosunkowana, więc nie było powodu, by zwracał uwagę na Mary Winters. Mając tego świadomość, zagryzła wargi, ale posłusznie zamknęła drzwi, bo zawsze go słuchała.

- Chodź tu i usiądź przy mnie - wydał następne polecenie. - Musimy porozmawiać.

- Cokolwiek chciałbyś mi oznajmić... - Urwała.

Niech księżę powie, co ma do powiedzenia, ona i tak wszystko już wie. Była jednak ciekawa, jaką taktykę przyjął Nick. Chyba nie zażąda, by zgodziła się na warunki Traywicka? Niemożliwe, bo chociaż ona dla ratowania dziecka jest do tego zdolna, Nickowi nie pozwoliłaby na to jego duma.

- Dziś rano spotkałem się z Traywickiem - zaczął. - Okazało się, że słusznie oceniłaś jego motywy.

- Pragnie tylko zemsty, prawda?

- Tak. Zagroziłem mu ruiną finansową, ale nic to nie dało, a przecież każdy normalny człowiek przeraziłby się takiej perspektywy.

- Właśnie, normalny! - Potrząsnęła głową. - Przecież ci mówiłam, że to szaleniec. Lubuje się w zadawaniu cierpienia innym. Gotów jest stracić cały swój majątek, byle tylko zaspokoić chore pragnienia.

Nick nie odpowiedział, tylko spojrzeniem przyznał jej rację.

- Więc co teraz zrobisz? - naciskała. Sama dobrze wiedziała, co trzeba uczynić, ale Vail nie podejrzewał, że zna prawdę.

- Trzeba spróbować innych sposobów - stwierdził Nick. - Musi być coś, czego szczególnie pragnie. Może ty wiesz o czymś takim, Mary? Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny.

- Mnie pytasz, co zaproponować Traywickowi? - powtórzyła ze zgrozą.

- Oczywiście mogę mu zaoferować pieniądze, ale gdy-

bym mógł znaleźć coś atrakcyjniejszego... Może urząd albo majątek ziemski? - Po raz pierwszy usłyszała, jak głos mu się załamał.

Korciło ją, aby przypomnieć mu jego czcą obietnicę. Zaklinał się przecież, że przywiezie do pałacu Richarda. Teraz jednak, gdy w jego głosie zabrzmiał straszliwy ból, nie chciała wypominać mu porażki. W końcu nie było jego winą, że nie mógł dać Traywickowi tego, czego żądał. Mimo że opuścił ją w ciężkich chwilach, na pewno nie oddałby Traywickowi jej ciała, które w ramionach Nicka drżało z rozkoszy.

- Wykradnijmy Richarda! - zaproponowała, próbując uciec od wspomnień. - Traywick nie zgodzi się dobrowolnie go wydać, choćbyśmy mu nie wiem co oferowali. Nie masz nic, co mogłoby go interesować, ale obaj z Pierce'em możecie pokonać go siłą. A jeśli nie dacie rady sami, wynajmijcie kogoś. Wtedy dobrze ukryjemy gdzieś Richarda...

- Mary! - przerwał jej. Wiedziała, że oznacza to odmowę, więc wpadła w gniew.

- Walczyłeś o sprawy dużo mniej ważne niż ta! - wygarnęła mu. - To twój syn, Nick. Nasz syn!

- Sądysz, że nie posłałbym Traywicka do diabła, gdyby to było takie proste? - zdenerwował się książę, - Czy nie znasz mnie dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że natychmiast bym zabrał chłopca?

- Więc dlaczego tak nie zrobiłeś?

Nick nie odpowiedział na to pytanie, ale z wyrazu jego

twarży Mary wywnioskowała, że poza tym, co udało się jej podsłuchać, Traywick musiał powiedzieć coś więcej. Najwidoczniej w jakiś sposób dał Nickowi do zrozumienia, żeby nawet nie próbował odbierać Richarda siłą.

Zastanawiała się, co to mogło być takiego. Wiedziała przecież, że Nick Stanton nie bał się nawet samego diabła, a już na pewno nie tego, co Marcus Traywick mógłby mu zrobić.

Nagle ujął ją pod brodę, unosząc jej twarz, by musiała spojrzeć mu w oczy.

- Zaufaj mi, Mary - przemówił łagodnie. - Jeszcze trochę cierpliwości, a przysięgam ci, że go odzyskamy.

Dłonie miał silne i zręczne, jak na dobrego jeźdźca przystało. Emanowały przyjemnym ciepłem i dawały znajome poczucie bezpieczeństwa. Przypomniała sobie, jak te same dłonie pieściły wszystkie zakątki jej ciała... Gwałtownie odwróciła głowę.

- Nadal jeździsz konno? - spytała spontanicznie i pozornie bez związku ze sprawą.

Jednak było to pierwsze naprawdę osobiste pytanie, jakie mu zadała. Nagle zrozumiała, że ten człowiek, mimo tytułu książęcego, zdrady i długich lat rozłąki, jest wciąż tym samym Nickiem, którego kochała.

- Oczywiście. - Był lekko zdziwiony. - A co, myślałaś, że z powodu tego...? - Pokazał palcem na prawe udo.

- Skąd, nie o to mi chodziło - zaprzeczyła. Dobrze, że Nick nie zorientował się, co naprawdę miała na myśli. Nie zapomniwała jeszcze jego pieścizot, ale nie wypadało jej

się do tego przyznać. Uśmiechnęła się więc szybko i zagadała: - Przecież dobrze wiem, że to było tylko zwykłe draśnięcie!

Pamiętała, że lubił pomniejszać zarówno swoją bezprzykładną odwagę, za którą podczas kampanii hiszpańskiej nieraz wymieniano go w rozkazach dziennych, jak i odniesione tam rany.

- Tak, to było tylko draśnięcie - powiedział dziwnym tonem.

Odwrócił się i pokuśtykał ku drzwiom, a Mary odprowadzała go wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, że po prostu nie chce się z nim rozstawać. Zapomniała już, jakie to uczucie być kobietą, która pragnie przebywać z ukochanym. Uczucia te okazały się potężniejsze od wszystkich późniejszych przeżyć, ale na razie nie mogła im ulec. Najpierw musiała wykonać zadanie, którego nikt inny nie mógł się podjąć. Zatrzymała więc Nicka.

- Jest w twoich stajniach klacz na tyle spokojna, że na dawałaby się pod wierzch dla kogoś, kto od dawna nie jeździł? - spytała, mając nadzieję, że zabrzmiałoby to zupełnie naturalnie.

On jednak zdziwił się.

- Nie wiedziałem, że kiedyś jeździłaś konno.
- Obawiam się, że jest więcej rzeczy, których o sobie nie wiemy.
- I chciałabyś znowu wsiąść na konia?
- To dobry sposób na zabicie czasu.
- Pierce mógłby ci towarzyszyć.

- Na razie raczej nie - wymówiła się z uśmiechem. - Na początku chciałabym tylko poćwiczyć gdzieś na placu. Nigdy nie jeździłam zbyt dobrze i krępowałoby mnie, gdyby Pierce mi się przyglądał. Myślisz, że znajdzie się klacz, która będzie cierpliwie znosić moje błędy?

- Wydam odpowiednie polecenia koniuszemu.

- Już jutro? - upewniała się, wiedząc, że stąpa po kruchym lodzie. Nick nie był przecież głupi i mógł zacząć coś podejrzewać, więc dla uwiarygodnienia swoich słów dodała: - Gdybym miała jakieś zajęcie, nie musiałabym ciągle myśleć o...

- Oczywiście, rozumiem - zgodził się, przyglądając się jej badawczo.

- Dziękuję!

- Zaufaj mi, Mary. Przysięgam, że już nigdy cię nie zawiodę.

Skinęła potakująco głową, niepewna, czy nie widzi go po raz ostatni. Vail otworzył drzwi i wyszedł do holu, ale Mary długo jeszcze siedziała, wpatrując się w dogasające płomienie.

Vail doszedł do wniosku, że zrobił błąd, przychodząc do sypialni Mary. Kierował się tylko uczuciami, przy kompletnym braku logiki, bo czymże innym było oczekiwanie od Mary, że zaspokoi roszczenia Traywicka? Jego ultimatum było wszak nie do przyjęcia.

Winien był opiekę dziewczynie, która mu zaufała, i dziecku poczętemu z ich miłości. Tymczasem jego syn

uważał innego mężczyznę za swego ojca, a dziewczyna, która tak chętnie kiedyś mu się oddała, teraz nie mogła znieść nawet dotknięcia jego ręki. On zaś nie osiągnął nic w sprawie odzyskania chłopca.

W tej chwili nie miał już wątpliwości, że chłopca nie ma w domu kupca, inaczej ten nie byłby tak pewny siebie. Zaraz po powrocie do Vail wydał rozkazy, aby obserwowano dom Traywicka, ale czuł, że nie docenił przeciwnika i przedsięwziął te środki ostrożności za późno.

Traywick miał mnóstwo czasu, aby wywieźć chłopca gdziekolwiek, tym bardziej że wiedział, iż Nick będzie się starał odzyskać syna. Poza tym dobrze przygotował się do konfrontacji z księciem, najzwyczajniej w świecie robiąc z niego durnia.

No cóż, nie pierwszy raz pozwolił, by życie z niego zdrwiło, niestety przy jego czynnym udziale. Bezmyślnie czekał, tymczasem ojciec Mary umarł, a ona sama gdzieś znikła i mimo podjętych poniewczasie wysiłków nie udało mu się jej odnaleźć. Skrzywdził kobietę swojego życia i nigdy już nie zdoła jej tego wynagrodzić.

Dobrze wiedział, co stracił. Pożądał Mary, więcej, kochał ją, lecz ona wzdragała się przed jakimkolwiek fizycznym kontaktem, chociaż była jego żoną. Domagała się od niego jedynie zwrotu syna, a on nie dość, że nawet tego nie potrafił jej dać, to jeszcze nie był w stanie wytłumaczyć, dlaczego nie może. Zdobył się tylko na przyjście do jej sypialni i złożenie kolejnych czczych obietnic, które nadal dźwięczały mu w uszach.

Vail pozostał jeszcze przez chwilę w cichym o tej porze holu, zadreńczając się wspomnieniem krótkich, lecz upojnych godzin spędzonych kiedyś z Mary. Wiedział jednak, że przywoływanie tych przeżyć nic mu nie da, a czeka go tylko bolesna samotność, w którą wpędziło go własne postępowanie.

Nazajutrz rano Claire przyniosła Mary amazonkę.

- Pewnie to po mamusi jego wysokości - wyraziła przypuszczenie, rozpościerając fałdy spódnicy z dobrej wełny. Rzeczywiście, od śmierci starej księżnej przed dziesięcioma laty strój ten przeleżał w garderobie, owinięty w muślin i przesypany lawendą dla ochrony przed mólami. Zapach tego ziele wypełnił sypialnię. - Pan Thompson kazał mi przynieść jaśnie pani tę suknię.

To prawda, że Vail nie zamówił dla niej w pracowni krawieckiej amazonki, ale i tak Mary nie sądziła, że pozwoli jej włożyć suknię należącą kiedyś do jego matki.

Strój leżał jak ulał i nie wymagał przeróbek. W lustrze Mary zobaczyła elegancką, wysmukłą damę, która wydała się jej obcą osobą. Schodząc na dół, gdzie czekał na nią Pierce, nie przestawała myśleć o matce Nicka, choć nigdy jej nie widziała, podobnie jak reszty jego rodziny.

Klacz, którą przyprowadził jej masztalerz, była tak łagodna, jak obiecał Pierce, a do tego okazało się, że Mary całkiem nieźle radzi sobie w siodle. Jej matka świetnie jeździła konno i zdążyła nauczyć tej sztuki córkę, kiedy ta była jeszcze mała.

W najbliższych dniach przekonała się, że znacznie trudniej przychodzi jej zachowanie cierpliwości niż utrzymanie prawidłowego dosiada. W miarę jak nabierała wprawy, korciło ją, aby skierować klacz prosto w stronę ceglanego domu, gdzie, jak sądziła, Traywick więził jej syna. Domyśliła się już, dlaczego Nick nie próbował odbić go siłą. Kupiec musiał zagrozić nie bezpośrednio jemu, lecz wzięciem odwetu na dziecku. Dlatego Vail miał związane ręce, a decyzja należała do niej. Ona bowiem stanowiła jedyną rekompensatę, jaką Traywick był skłonny przyjąć.

Nie wiedziała dokładnie, jak daleko jest do Penhurst i ile czasu zajęłaby jej droga. Bała się kogokolwiek o to zapytać, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Wiedziała też, że musi wyniknąć się z Vail w taki sposób, aby nie od razu zauważono jej nieobecność. Zdążyłaby dzięki temu dotrzeć na miejsce.

Planowała, że kiedy już się tam znajdzie, zażąda od Traywicka, aby wysłał Richarda pod opieką Smithersa do majątku Vail. Stary wiarus wykonywał przecież ślepo wszystkie polecenia swego chlebodawcy, a na miejscu Vail zająłby się chłopcem jak należy i zadbał, żeby Traywick nigdy więcej nie dostał go w swe łapy. Wolała natomiast nie myśleć o tym, co będzie się działo w domu kupca po wyjeździe Smithersa i Richarda.

Minęły trzy dni, zanim nadarzyła się okazja, na którą czekała Mary. Pierce oznajmił jej rano, że nie zagra dzisiaj

z nią w karty, bo wyjeżdżają razem z księciem na cały dzień.

Z łatwością pozbyła się masztalerza, który miał towarzyszyć jej podczas porannych przejazdów po terenach majątku. Z każdym dniem przekonywał się coraz bardziej do jej umiejętności jeździeckich, więc kiedy poprosiła, aby przyniósł jej szpicrutę, bo chce spróbować szybszego galopu, z uśmiechem przystał na to.

Ledwo chłopak znikł jej z oczu, natychmiast skierowała klacz w stronę kępy drzew odgradzającej pastwiska od drogi wiodącej do majątku. Liczyła, że na głównym trakcie zorientuje się, jaki kierunek obrać.

Zaraz za drzewami ponagliła klacz. Wolą nie myśleć, co czeka ją u kresu podróży. Takie rozważania miała już za sobą i była gotowa na wszystko. Nie myślała też o Nicku. Skupiła się na Richardzie.

Nie ujechała nawet mili, gdy usłyszała za sobą turkot wozu. Szybko obejrzała się przez ramię w obawie, że jej ucieczka została wykryta, jednak woźnica okazał się kimś zupełnie jej nieznanym.

- Nie wiecie, jak daleko jeszcze do Penhurst? - zawołała na niego Mary.

- Tak się składa, że wiem - odpowiedział, zatrzymując wlokące się gościńcem konie. - Akurat sam tam jadę, bo wiozę filc dla kapelusznika.

W głowie Mary zrodził się błyskawiczny pomysł. Mogła tym sposobem zyskać na czasie, którego tak potrzebo-

wała. Z gorzką ironią pomyślała, że coraz bardziej doskonalili się w sztuce oszustwa.

- A nie zabralibyście mnie do miasta? - zaproponowała.

- Niby jak, wozem?

- O tak, proszę was bardzo! Muszę dostać się do domu mego ojca. Ciężko zachorował, a tu, jak na złość, klacz mi okulała.

- Ale to nie uchodzi, żeby paniusia tłuła się taki szmat drogi sama! - Niedowierzającym wzrokiem taksował kosztowny materiał jej amazonki. - Trza było wziąć ze sobą jakiegoś chłopca!

- Jestem guwernantką w majątku. Proszę, zabierzcie mnie ze sobą!

Rozpaczliwie próbowała znaleźć argumenty, które mogłyby przekonać wieśniaka. Przypomniała sobie o złotej spince, która przytrzymała jej plastron. Zdjęła rękawiczkę, aby łatwiej odpiąć klejnocik i podała mu go na otwartej dłoni.

- Macie tu za fatygę - zaproponowała.

Wstrzymała oddech, kiedy woźnica taksował chytrymi oczkami cenny drobiazg. Wyczuła, że nie wierzył jej słowom, ale w tej sytuacji nie miało to znaczenia. Nawet jeśli kłamała, ta spinka była warta więcej, niż mógł zarobić przez cały rok.

- Dobrze, paniusiu, siadajcie - zgodził się, zatrzymując wóz i schodząc z kozła, aby pomóc jej zsiąść z konia.

- Chcecie zabrać kobyłę ze sobą? Mogę przywiązać ją za wozem.

- Nie, dziękuję - wymówiła się szybko Mary. Powrót Molly do majątku stanowił przecież najważniejszy element planu. - Jeśli sama przybiegnie z powrotem, służba stajenna zajmie się jej nogą.

Mary otwartą dłonią trzepnęła Molly po szerokim zadzie, lecz spokojna klacz tylko odskoczyła w bok. Mary uderzyła jeszcze raz, komenderując głośno:

- Do domu, Molly! Uciekaj do domu!

Klacz cofnęła się kilka kroków i stanęła. Dopiero gdy woźnica rzucił w nią bryłką ziemi, pokłusowała w kierunku stajni, nie zdradzając jednak oznak kulawizny, o której mówiła Mary.

- Wróci do domu, bylebyśmy tylko znikli jej z oczu - zapewnił woźnica. - A nie boicie się, paniusiu, że kiedy wasi ludzie ją zobaczą, zaraz pomyślą, że coś złego się wam stało?

- Może i tak - rzuciła wymijająco Mary. Od razu po myślała o masztalerzu, którego oszukała, o Piersie, który tak troskliwie dobrał dla niej klaczkę, wreszcie o Nicku...
- Ale ja naprawdę muszę odwiedzić chorego ojca!

Podsunęła chłopakowi przed oczy złotą spinkę. Popatrzył na nią niepewnie, ale w końcu chciwość wzięła górę nad podejrzeniami. Ostrożnie schował cenny przedmiot i wyciągnął rękę, pomagając Mary wsiąść.

Książę Vail wrócił z podróży prędzej, niż zamierzał, bo już wczesnym popołudniem. Zastał w majątku zamieszanie spowodowane tajemniczym zniknięciem księżnej pod-

czas porannej przejażdżki. Przerażony majordomus Thompson ledwie zdołał wyjąkać kilka zdań, gdyż księżę nie dał mu dokończyć i wypadł z pokoju, kierując się wprost do stajni. Tam natknął się na pechowego masztalerza, który miał asystować księżnej.

Vail nigdy w życiu nie uderzył pracownika, bo jeszcze w dzieciństwie wpajano mu, że to postępek godny pogardy, z trudem jednak powstrzymał się od przyłożenia pięści w bladą i spoconą ze strachu gębę masztalerza. Opanował się jednak na tyle, aby go wysłuchać, i dopiero wtedy zaczął zadawać pytania dotyczące poszukiwań.

- Przeszukaliśmy, wasza wysokość, każdą piędź ziemi, nawet na gościńcu, i nic. Jakby się zapadła pod ziemię - raportował koniuszy. Podczas długich godzin bezowocnych poszukiwań przyszła mu jednak do głowy najgorsza możliwość, chociaż bał się ją wyartykułować. - Chyba że... ktoś porwał księżną panią?

- Jak to porwał? - nie wierzył Pierce.

- No, uprowadził! - powtórzył koniuszy, bo podczas poszukiwań przypomniał sobie dawne opowieści o Cyganach porywających dzieci. Na gościńcu panował zwykle ruch, więc trudno było przewidzieć, kogo księżna mogła tam spotkać.

Ta wersja niezbyt przemawiała do wyobraźni Vaila, przypominał sobie natomiast słowa Mary, jakie padły podczas ich ostatniej rozmowy. Naciskała wtedy, żeby wykraść Richarda. Może w desperacji postanowiła sama to zrobić? Wprawdzie namawiał ją, aby mu zaufała, ale dotychczas nie

udowodnił jej, że na to zasługuje. Od razu wyczuł, że w jej nagłym zainteresowaniu jazdą konną jest coś podejrzane-go. Dlatego wydał służbie stajennej szczegółowe wskazówki, które jednak Mary potrafiła obejść.

- Traywick! - powiedział cicho Vail.
- Myśli pan pułkownik, że to Traywick porwał księżnę? - spytał Pierce.
- Na pewno pojechała wydostać od niego chłopca - stwierdził Nick.
- Czyżby księżę pan powtórzył jej, co ten łotr powiedział? - zdumiał się wierny ordynans.
- Tego nie mogła w żaden sposób się dowiedzieć, ale chce za wszelką cenę uwolnić chłopca.
- Tak, ale gdyby ten wariat ją złapał... - Pierce wolał nie myśleć, co mógłby uczynić Traywick, gdyby przyłapał Mary na próbie odbicia syna.
- No właśnie! - przytaknął Vail, wskakując na konia.
- Pojadę na przelaj, tak będzie szybciej, a ty zbierz tylu ludzi, ile się da i jedź za mną!
- Na pewno przydadzą się pistolety... - podsunął stary wiarus.

Vail wstrzymał konia, który już rwał się do biegu. Raz już odbył taką szaloną jazdę, kiedy się spieszył na spotkanie z Mary przed zaokrętowaniem do Brukseli. Teraz jednak, osadzając niespokojnego konia, przemyślał propozycję Pierce'a. W końcu pokręcił przecząco głową.

- Lepiej nie, bo jeszcze podkusiłoby mnie, żeby zabić drania! - rzucił.

- Zaraz do pana pułkownika dołączymy! - obiecał Pierce, lecz Vail już pomknął przed siebie.

Były sierżant wydał odpowiednie rozkazy ludziom, którzy mieli mu towarzyszyć. Znowu ruszał w bój ze swoim panem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mary postąpiła trochę przed domem kupca. Wydawał się jej jeszcze brzydszy, szczególnie gdy porównywała go z pałacem, w którym mieszkała od tygodnia. Jediną zaletą tego miejsca była obecność Richarda. Wierzyła, że Traywick pozwoli jej go zobaczyć, zanim...

Próbowała zapomnieć, po co tu przyjechała, przypisując drżenie nóg zmęczeniu. Droga do Penhurst potrwała dłużej niż myślała, ponieważ woźnica załatwiał jeszcze inne interesy po drodze. Tym bardziej nie było czasu do stracenia.

Zastukała do drzwi frontowych, zbierając całą odwagę. Kątem oka zauważyła, że w oknie salonu poruszyła się zasłona, ale zaraz zasunięto ją z powrotem, zanim zorientowała się, kto wyglądał. Może to był Richard? Modliła się, aby ujrzeć go choć w przelocie i upewnić się, że wszystko z nim w porządku.

Drzwi otworzyły się akurat, gdy podnosiła rękę, by drugi raz zapukać. W progu stał właściciel domu. To z pewnością on przed chwilą wyglądał ukradkiem zza zasłony. Pewnie modlił się, aby to nie był Vail! Spostrzeżenie to podniosło ją nieco na duchu, bo Traywick mógł tylko uda-

wać, że groźby Nicka nie robią na nim wrażenia, ale w rzeczywistości na pewno bał się potęgi księcia.

- Ach, Mary, cóż za miła niespodzianka! - wycedził z ironią. - Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, czy twój kochaś przekazał ci wiadomość ode mnie. - Zarechotał obrzydliwie. - Widocznie jednak doszedł do wniosku, że to jedyny sposób, aby otrzymać to, czego żądał. I miał rację! - dodał.

- A co z Richardem? - Mary zmieniła temat, żeby nie odpowiadać na bezczelną insynuację kupca. Wiedziała przecież, że Nick jej tu nie przysłał i wołała nie myśleć, jak zareaguje na jej uczynek.

- Proszę, wejdź do środka. Tacy starzy znajomi jak my nie muszą się bawić w ceremonie.

Traywick odstąpił na bok, gestem zapraszając ją do wejścia, jakby była dawno oczekiwanym gościem. Zważywszy to, co zaszło między nimi, a także jego żądę zemsty, z pewnością tak właśnie było.

- Gdzie jest mój syn, panie Traywick? Chciałabym zobaczyć Richarda! - zażądała.

Kupiec zrobił minę, jakby nie podobał mu się natarczywy ton jej głosu.

- Przykro mi, ale się z nim minęłaś. Smithers zabrał go na przejażdżkę powozikiem, żeby wypróbować jego nowego kucyka.

- Akurat, już wierzę w ten powozik! - przerwała mu ostro Mary.

Nie była aż tak naiwna. Dawno przecież nalegała, żeby

kazał uczyć Richarda konnej jazdy i powożenia. Traywick uważał jednak te umiejętności za odpowiednie dla arystokratycznych próżniaków, podczas gdy jego syn, jako przyszły kupiec, powinien jedynie nauczyć się dobrze liczyć i targować się.

- Jak to, przecież zawsze mnie przekonywałaś, że chłopak powinien mieć jakieś inne zajęcia oprócz nauki!
- zaproponował ze złośliwym uśmiechem. - Powinnaś się cieszyć, że kupiłem mu kucyka.

- Muszę zobaczyć mojego syna! - naciskała Mary.

- Ależ to oczywiste, że musisz. Richard bardzo tęsknił za tobą, bo nie rozumiał, dlaczego tyle czasu cię nie było. Na pewno ucieszy się na twój widok, ale przecież możesz poczekać na niego w domu. - Traywick powtórnie wykonał zapraszający gest. - Proszę cię, Mary, wejdź.

Doszła do wniosku, że niczego nie zwojuje, stojąc na progu. W końcu przyjechała tu po to, aby spełnić żądania Traywicka, a chłopak mógł rzeczywiście przebywać w towarzystwie Smithersa. Pamiętała, jak imponowało mu jego wojenne inwalidztwo, szczególnie od kiedy dostał w prezencie żołnierzyka.

Niechętnie weszła do domu, odruchowo kierując swe kroki w stronę małego saloniku, gdzie tak często spędzała wieczory w oczekiwaniu na powrót kupca. Wtedy czekała na jego rozkazy, gotowa mu usłużyć na każde zawołanie. Z gorzką ironią pomyślała, że od tamtego czasu wiele się nie zmieniło, bo nawet jako księżna musi spełniać jego żądania. Na samą myśl o tym poczuła mdłości, ale opa-

nowała je. Doszła do kominka i odwróciła się do Traywicka, który zatrzymał się w drzwiach salonu.

- Niech pan nakaze Bobowi Smithersowi, aby odwiózł Richarda do majątku Vail i oddał w ręce księcia - poleciła. -I to w mojej obecności, bo chcę usłyszeć, co pan mi powie.

Burożółtawe oczka Traywicka świdrowały ją drapieżnie, choć do warg miał przyklejony uśmiech.

- Ależ oczywiście, co tylko sobie życzysz, moja droga! - zgodził się wylewnie.

Mary od razu wyczuła fałszywą nutę w tych zapewnieniach. Domagał się, aby zapłaciła mu swoim ciałem za uwolnienie syna i była na to przygotowana. Coś się tu jednak nie zgadzało. Jego spojrzenie też nie było szczere.

- Gdzie on jest? - zapytała wprost, gdyż zorientowała się, że Richarda tu nie ma. Dom wyglądał na pusty, nie dawało się w nim wyczuć obecności małego chłopca.

- Przecież ci mówiłem...

- Tak, ale pan skłamał, a ja chcę usłyszeć prawdę - przerwała mu ostro. - Przyjechałam tu, aby w zamian za mojego syna dać panu to, czego pan pragnie. Należy mi się przynajmniej tyle, żebym dowiedziała się prawdy.

- Prawdy? - powtórzył z uśmiechem, najwyraźniej ubawiony jej żądaniem. - Prawda, droga Mary, wygląda tak, że nie jesteś taka sprytna, jak ci się wydaje.

Nie spuszczała z niego wzroku i starała się zachować spokój, chociaż była przerażona.

- Mężczyzna tak dumny jak Vail nigdy nie pozwoliłby

ci tutaj przyjechać - mówił dalej Traywick - więc jasne jest, że wymknęłaś się bez jego pozwolenia. Dziwię się, że w ogóle wspomniał ci o mojej, skądinąd rozsądnej, propozycji, jeżeli nie miał zamiaru na nią przystać.

Mary zastanowiła się przez chwilę nad odpowiedzią, ponieważ Traywick miał rację. Przejrzał Nicka, który za nic nie powiedziałaby jej o żądaniu kupca.

- Wspomniał o tym nie mnie, ale znajomemu, a ja to podsłuchałam. Rzeczywiście, dobrowolnie nigdy by mi na to nie pozwolił.

- Przypuszczam więc, że gdy odkryje twoją nieobecność, zjawi się tu z całą armią swoich sługusów, żeby cię odbić z moich rąk.

- Vail nie ma nic do tego, bo to ja przyjąłam pana warunki w zamian za oddanie syna. Niech pan odeśle Richarda do Vail, a my dokończymy naszej... transakcji, zanim książę zorientuje się, że tu jestem.

- Jakim sposobem udało ci się to tak urządzić?

- Vail wyjechał na cały dzień, a ja podczas konnej przejażdżki puściłam klacz luzem. Kiedy przybiegnie sama do stajni, służba pomyśli, że z niej spadłam. Zaczną mnie szukać, ale to potrwa wiele godzin, nawet po powrocie Vaila, bo on nie podejrzewa, że mogłabym dobrowolnie tu wrócić.

Traywick prześlizgiwał się wzrokiem po całej jej postaci, nie skrywając zadowolenia.

- Przynajmniej ubiera cię jak należy - mruknął. - Bardziej ci w tym do twarzy niż w tych niekształtnych suk-

niach, które nosiłaś u mnie, byleby tylko zakryć się od stóp do głów.

- Kiedy wróci Richard? - spytała, nie dając się wyprowadzić z równowagi. Chciała koniecznie zmusić go, aby najpierw odesłał chłopca do Vail, bo nie wierzyła, że później dotrzyma słowa.

- Obawiam się, że jeszcze nieprędko, ale dokąd ci tak spieszo? - Uśmiechnął się perfidnie. - Vail jest tak dumnym człowiekiem, że na pewno nie przyjmie cię z powrotem, choćbyś nie wiem jak się tłumaczyła.

Mary nie odpowiedziała od razu, gdyż czuła, że Traywick mówi prawdę. Nie dbała jednak o to, bo nic już jej z Vailem nie łączyło.

- Ja ze swej strony - kontynuował Traywick - chętnie przyjmę cię pod swój dach, bez względu na to, co zaszło między nami...

- Nie mam zamiaru przebywać pod pańskim dachem ani chwili dłużej, niż trzeba do wykonania moich zobowiązań. Niech pan odeśle Richarda do Vail, a wtedy...

- Widać obojgu wam zależy na bezpieczeństwie tego chłopca.

- Niech go pan wypuści! - powtórzyła. - Co panu na nim zależy? Przecież nie jest pańskim synem. Teraz może pan jeszcze doczekać się własnych.

Mimowiednie przeszła w błagalny ton, co napełniło ją głęboką odrazą. Nie miała zamiaru prosić Traywicka o nic. Liczył się tylko Richard, a poza tym nieważne było, co ją miało spotkać, ani Nick, ani wspomnienia o nim.

- Czy naprawdę myślałaś, że to będzie takie proste?
- zapytał. - Sądysz, że po tym, co mi zrobiłaś, masz jeszcze prawo stawiać mi warunki?
- Przyjechałam, żeby dać panu to, czego pan chciał.
- Nie masz mi nic do ofiarowania, Mary, bo ja nie chcę tego, co byłabyś skłonna mi dać.
- Przecież sam pan powiedział...
- Nie wyrównaliśmy jeszcze naszych rachunków - wszedł jej w słowo Traywick i zaczął zbliżać się do niej.
- Oczywiście wezmę to, co mi ofiarowujesz, ale wezmę to siłą, bo na tym polega cała przyjemność. Abigail była zawsze nazbyt posłuszna, choć robiłem co mogłem, aby ją zniechęcić! Nie chcę, żebyś się dla mnie poświęcała - ciągnął z sadystycznym uśmiechem. - Odwrotnie, chcę, żebyś się przede mną broniła, dopóki sama nie zrozumiesz, że opór jest daremny, a ja to odczytam w twoich oczach. Najmilsza dla mnie będzie chwila, kiedy twoja wola osłabnie pod wpływem tego, co będzie się działo z twoim ciałem. Można to poznać właśnie po oczach, a ja już od dawna nie mogę się doczekać, kiedy w twoim hardym wzroku zobaczę kapitulację. Dopiero wtedy, Mary Winters, i tylko wtedy oddam ci chłopca.
- Nie! - Dopiero teraz poczuła paniczny strach. Jak mogła się nie domyślić, że ten człowiek znów zamierza ją oszukać? - Niech pan każe Smithersowi, aby odwiózł Richarda do Vail, albo odejdę!
- Ciekawe, jak to zrobisz? Nie ma tu nikogo, kto by usłyszał twoje krzyki. Nikt też nie przybiegnie ci na ratu-

nek, bo sama o to zadbałaś. Ja zaś zapewniam cię, moja droga, że tym razem jestem lepiej przygotowany na twój ewentualny opór. Myślę więc, że nie masz wyboru.

Mary wahala się przez chwilę, rozważając jego słowa. Zważywszy, że przyjechała tu w określonym celu, musiała teraz przede wszystkim sprawdzić jedną rzecz. Rzuciła się więc do przodu i minęła kupca, zanim zdołał ją powstrzymać. Błyskawicznie pobiegła do tylnej części domu, gdzie znajdował się pokój dziecinny.

Okazało się, że instynkt macierzyński jej nie zawiódł. W pokoju nie było już żadnego przedmiotu należącego do jej syna. Na nisko przybitych wieszakach nie wisiały jego ubranka, a pod nimi nie stała ani jedna para bucików. Zniknął gdzieś nawet ulubiony, drewniany żołnierzyk chłopca.

- Gdzie on jest?! - zaatakowała z furją Traywicka, który przybiegł za nią do tego pokoju. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaka była głupia, przychodząc tutaj. Chyba tylko dziecko mogłoby myśleć, że z takim człowiekiem można ubijać jakieś interesy.

- Och, zapewniam cię, że w bezpiecznym miejscu. Nie musisz się o niego martwić... no, chyba że twój mąż wejdzie mi w drogę.

- On cię zabije! - rzuciła przez zęby.

- Tak sądzisz? - roześmiał się. - Gwarantuję ci, moja droga, że jest to ostatnia rzecz, jaką Vail zamierza zrobić. Przecież on też, tak jak ty, nie chce, żeby dziecku stało się coś złego.

- Co mu pan nagadał? - Przypomniała sobie szczególny wyraz oczu Nicka, kiedy wieczorem przyszedł do niej.

- Najlepiej sama go zapytaj, ale później, kiedy już sfinalizujemy naszą... transakcję. - Kpiąco przedrzeźniał jej słowa. - Pamiętaj, że ofiarowałaś mi siebie w zamian za wydanie ci chłopca. Po wszystkim odeślę go, dokądkolwiek zechcesz. To co, Mary, ubijemy interes?

Dopiero teraz przekonała się, że nie w pełni zdawała sobie sprawę, do jakiego zła zdolny jest Traywick. Natomiast Vail musiał już o tym wiedzieć. Pewnie kupiec powiedział mu coś takiego, że Nick od razu zrezygnował z prób odbicia chłopca siłą, o co go błagała. Miał związane ręce. Tylko ona mogła odzyskać Richarda, jeśli pozwoliłaby Traywickowi odegrać się na niej tak, jak chciał.

- Myślę, że to uczciwa transakcja, Mary - zachęcał Traywick. - Twój syn nie jest mi do niczego potrzebny, bo, jak słusznie zaznaczyłaś, stałby tylko na przeszkodzie moim przyszłym dzieciom do przejęcia spadku po mnie. Bękart Vaila miałby zostać moim dziedzicem? Zróbmy, co mamy zrobić, i dostaniesz chłopca z powrotem. Dołożę jeszcze moje błogosławieństwo.

- A jaką mam gwarancję, że dotrzyma pan słowa? - Wciąż nie mogła się zdecydować.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że zawsze byłem słowny. Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkałaś u mnie, miałaś sposobność się o tym przekonać. Człowiek interesu musi dotrzymywać warunków umowy, a ja ci daję

moje słowo honoru, że kiedy będzie po wszystkim, powiem ci, gdzie znajdziesz twojego syna.

Mary musiała przyznać, że przez sześć lat Traywick dotrzymywał umowy. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że dotrzyma i tej, tym bardziej że to on dyktował warunki i miał odnieść określoną korzyść. Zresztą, jak sam jej przypomniał, nie miała wyboru.

Widząc jego triumfalny uśmiech, wpadła w taką rozpacz, że słowa kapitulacji nie mogły jej przejść przez gardło. Walcząc z mdłościami, tylko kiwnęła głową.

Traywick zaciągnął zasłony we wszystkich oknach sypialni, ale nie zapalał świec. W przyćmionym świetle poznaczona bliznami twarz nabrała diabolicznego wyglądu. Czasem chowała się w cieniu, a innym razem było ją widać aż za dobrze.

- Najpierw się rozbierz - polecił, nie kryjąc uśmiechu.
- Muszę dobrze widzieć, co kupuję.

Uśluchała, udając przed sobą, że nie zauważa jego obecności. Zdjęła amazonkę matki Nicka, a potem bieliznę. Starannie złożyła wszystkie części garderoby, jakby była sama. Przewiesiła je przez oparcie krzesła stojącego przy łóżku, jak to czyniła co wieczór, układając się do snu w swoim małym pokoiku na tyłach tego domu.

Kiedy podniosła oczy na kupca, zobaczyła, że taksuje wzrokiem jej całą sylwetkę. Z trudem zwalczyła w sobie instynktowną chęć ukrycia się przed jego natarczywością. Z grubych warg Traywicka zniknął uśmiech.

- Uprzedziłem twojego męża, co z tobą zrobię. Oczywiście nie powtórzył ci tego, ale od razu wiedziałem, że przespać się z księżną Vail to większa przyjemność niż ze zwykłą guwernantką. Teraz jednak widzę, że będzie lepiej, niż myślałem!

Mówiąc to, od niechcienia zrzucał z siebie kolejne części garderoby, aby nie manifestować zbyt dużego entuzjazmu. Zaszokował ją widokiem swojej nagości, bo przy jego tęgim korpusie i wydatnym brzuchu raziły nieproporcjonalnie cienkie nogi. Tym większy kontrast stanowiła, w porównaniu z nim, idealna budowa Nicka, jedynego mężczyzny, którego nagie ciało dotychczas widziała.

Próbowała zachować spokój. Nie spuszczała oczu z twarzy Traywicka, kiedy zbliżał się do niej w półmroku. Dopiero kiedy stanął przed nią, zamknęła oczy, jakby chciała odciąć się od ohydnej rzeczywistości i widzieć w wyobraźni tylko słodką buzię Richarda.

- Otwórz oczy! - rozkazał Traywick. - Spójrz na mnie!

Posłuchała, bo nie miała innego wyjścia, choć jego wzrok przypominał błotniste kałuże przepelnione nienawiścią i szaleństwem. Traywick wyciągnął do niej rękę i ścisnął jej pierś tak mocno, aby pozostawić sińce.

Mary sądziła, że jest na to przygotowana, ale natychmiast przekonała się, że była w błędzie. Jednak postanowiła trzymać na wodzy swoje uczucia, aby nie dać mu satysfakcji z cierpienia odbitego w jej oczach.

Wolną ręką przycisnął jej palce do blizny na swoim policzku.

- Dotknij tego - nakazywał. - Ciekawe, jakie to uczucie, dotykać śladów swojej zbrodni?

Ponieważ nie reagowała, pociągnął jej rękę niżej, na swoją szyję i pierś porośniętą sztywnym, ciemnym włosiem. Jego skóra odznaczała się niezdrową białością, a zapach spoconego, dawno nie mytego ciała był trudny do zniesienia. Mary tłumiała mdłości, kiedy kupiec prowadził jej rękę po swoim wypukłym, miękkim i wilgotnym brzuchu.

Przedtem potrafiła mu się oprzeć i, mimo jego późniejszych oskarżeń, wygrała tę walkę. Teraz jednak już wiedziała, że właśnie kobiecy opór najbardziej podniecał tego zboczeńca. Sam jej to powiedział, więc nawet gdy prowadził jej rękę jeszcze niżej, aż do jego sflaczałego, męskiego organu, starała się przed tym nie bronić.

- Pokaż mi, gdzie jego dotykasz, jak go pieścisz! - syczał. - Dotykaj mnie tak samo jak tego arystokratycznego bęcwała. Pomyśleć, z kim to się puściła niewinna córeczka pastora! A co powiedział twój szanowny tatuś, kiedy się dowiedział, jaką dziwką jest jego córka? Pewnie był zachwycony, co? Ciekawe, jak mu się tłumaczyłaś! - Lewą ręką namacał niewielką wypukłość jej brzucha, ale prawą wciąż wymuszał ruchy jej palców po różnych częściach swojego ciała. - Pewnie wmówiłaś mu, że cię wykorzystał? - szydził dalej. - Albo zapewniałaś, że cię kocha i ożeni się z tobą? Co też taka

słodka, niewinna Mary Winters mogła wymyślić na swoje usprawiedliwienie?

Równocześnie przesuwiał jej bierne palce po swoim członku, w górę i w dół, ale te dotknięcia nie powodowały zwykłej w takich wypadkach reakcji. Mary podniosła na niego oczy z głębokim wewnętrznym przekonaniem, że jest w tym starciu górą, gdyż brak oporu z jej strony spowodował, że Traywick nie był w stanie się podniecić. W tym momencie jednak wymierzył jej niespodziewane uderzenie lewą ręką, tą samą, którą przed chwilą pieścił jej brzuch. Cios spadł na jej policzek i kącik ust.

Mary nie zdążyła zamknąć oczu, w których odbiło się przerażenie i ból. Tymczasem Traywick nie puszczał jej ręki, mimo że próbowała ją wyrwać. Przyciskał ją mocno, wciąż do tej samej części ciała, która nagle stwardniała pod jej palcami. Niewiarygodne, ale dopiero ból i przestraszonych Mary wyzwoliły u niego tę reakcję.

Kupiec uśmiechnął się z satysfakcją i tą samą ręką, którą przed chwilą uderzył, ścisnął jej pierś i wbijając paluchy, przyciągnął Mary do siebie. Starła się nie okazywać bólu, aby go nie podniecać, bo wprawdzie ofiarowała mu swe ciało, ale nie duszę. Tym zaś, co kupiec pragnął osiąść najbardziej, była właśnie jej dusza.

Nagle puścił jej pierś i szeroko rozstawionymi palcami lewej ręki chwycił ją za gardło, czym wzbudził jej przerażenie. Musiała walczyć o każdy oddech, a wtedy Traywick zaczął się cofać, ciągnąc ją za sobą i przez cały czas miażdżąc jej szyję.

Zanim doszli do łóżka, Mary osłabła. Traywick pchnął ją na przykryte kapą łóżko, a sam stanął nad nią, rozsuwając jej uda kolanem. Przypominał jej teraz koszmarne sny, w których nieraz ją straszył.

Mary staczała walkę z samą sobą, usiłując nie zdradzać wyrazem oczu strachu i obrzydzenia, lecz kupiec wciąż trzymał ją za gardło jedną ręką, a drugą szczypał w czułe miejsca lub skręcał delikatną skórę, aby rozmyślnie zadać ból, tak samo jak dręczył swoją zmarłą żonę. Mało tego, zdawał się wiedzieć, że mimo braku widocznej reakcji, wywołuje u niej cierpienie. To go wyraźnie podniecało.

Mary zagryzła wargi, aby nie wydać choćby najłżejszego jęku, ale nie mogła powstrzymać łez cisnących się do oczu. To z kolei wzbudzało błysk sadystycznej rozkoszy w oczkach kupca, który szykował się już, aby brutalnie wtargnąć w jej ciało.

W odruchu rozpaczmy pomyślała o Nicku, uświadamiając sobie, co straciła. Wiedziała, że postępuje źle, łamiąc śluby, które do niedawna sama uważała za święte, mimo że Nick ją porzucił. A teraz, zamiast oddawać się swojemu mężowi...

W tym momencie zza frontowych drzwi domu dobiegł potężny łomot. Stało się jasne, że jacyś ludzie próbują sforsować wejście. Traywick zastygł w bezruchu, tak samo zaskoczony jak Mary.

Równocześnie z łoskotem wyważanych drzwi rozległy się krzyki:

- Mary! Gdzie jesteś, na miłość boską? Odezwij się!

Oboje słuchali tych głosów z zapartym tchem. Mary od razu wiedziała, że to musi być Nick. Czekwała jednak na niego z mieszanymi uczuciami. Czuła oczywiście ulgę, ale także strach przed jego reakcją.

- Vail? - zapytał Traywick z niedowierzaniem. Jego rozszerzone strachem oczy domagały się wyjaśnienia, jak mogło dojść do interwencji, którą uważał za wykluczoną. Jednak zanim Mary zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, przechylił się ponad nią, sięgając ręką do szuflady nocnego stolika.

Kiedy wyciągnął swoją wielką łapę z szuflady, trzymał w niej pistolet, nabity i gotowy do obrony przed złodziejami. Teraz mierzył z tego pistoletu prosto w drzwi swojego pokoju.

Mary wyciągnęła obie ręce, rozpaczliwie próbując wytrącić mu broń, ale przygwoździł ją samym swoim ciężarem. Szamotała się przez chwilę, ale wyczuła, że nie da rady, więc tylko krzyknęła ostrzegawczo:

- Nick!

Było już jednak za późno, bo w drzwiach stanął książę Vail.

Huk strzału zaskoczył Nicka na moment, ale zaraz ruszył do przodu i z twarzą wykrzywioną wściekłością złapał Traywicka jedną ręką za włosy, a drugą zarzucił mu na szyję i odepchnął od łóżka. Kupiec zatoczył się na stół, a wtedy pięść Nicka wylądowała w samym środku jego tłustej gęby. Książę włożył w ten cios całą swoją siłę, więc ze złamanego nosa Traywicka popłynęła strużka krwi,

a on sam skulił się pod ścianą, zakrywając na wszelki wypadek twarz rękami.

Mary leżała bez ruchu na samym środku łóżka, podczas gdy Nick z pogardą patrzył na Traywicka, który niezgrabnie maskował swą nagość. Potem Nick zatrzymał wzrok na niej, skrupulatnie badając każdy znak, który brutalne łapy sadysty pozostawiły na jej białej skórze.

Kiedy w końcu ich oczy się spotkały, Mary nie bardzo wiedziała, jak rozumieć to, co w nich zobaczyła. Nie było tam już tej złości, co przedtem, ani obrzydzenia, którego się spodziewała.

Nick posunął się jeszcze o krok naprzód i, nie zbliżając się do pokonanego przeciwnika, stanął nad Mary. Wyciągnął do niej rękę, na co wzdrygnęła się w obawie, że ją uderzy.

- Mary! - powiedział cicho, lekko karcącym tonem, jakby strofował, a zarazem uspokajał wystraszone dziecko, a potem odwinął skraj kapy, na której leżała i narzucił na nią, aby okryć jej nagość.

- Nick... - szepnęła drżącym głosem. Nic więcej nie mogło jej przejść przez gardło. Nie próbowała się tłumaczyć, bo wiedziała, że dla jej czynu nie mogło być usprawiedliwienia, nawet jeśli zrobiła to dla Richarda.

- Już po wszystkim - pocieszył ją Nick. - On cię więcej nie dotknie.

Mary ujrzała przez łzy, że Nick odwrócił się w stronę krzesła, na którym złożyła przedtem swoje rzeczy. Chciał tam podejść, lecz poruszał się jakoś dziwnie. Przytrzymał

się oparcia krzesła i wsparł na nim cały swój ciężar, jakby przejście z jednego końca pokoju w drugi zmęczyło go tak, że musiał odpocząć. Usiadła więc na łóżku, zbierając kapek na piersiach i przyglądała się mu uważnie. Widziała wyraźnie, że coś jest nie w porządku, tylko nie rozumiała, co.

Nick podniósł jej koszulę, która leżała na wierzchu. Chciał wrócić do łóżka, więc postawił jeden krok, potem następny, zaciskając poblądłe z wysiłku usta. Mary wzięła koszulę, nie spuszczając z niego oczu.

Nagle pochylił się nad nią, próbując oprzeć się na rękę, ale ugięła mu się w łokciu. Kolana także mu zmiękły, aż usiadł na podłodze, opierając się ramieniem o łóżko. Szybko wyplątała się z kapy i padła przy nim na kolana.

Nawet w półmroku panującym w pokoju dostrzegła w górnej części surduta dziurę po wlocie kuli. Wokół niej stopniowo rozszerzała się plama krwi. Mary drżącą ręką odchyliła klapę surduta i znalazła ranę, która obficie krwawiła, przesiąkając przez białą koszulę i pasiastą kamizelkę.

- Postrzeliłeś go! - szepnęła w stronę kupca, przenosząc wzrok na niego. Traywick milczał, oszołomiony skutkami swojego czynu. - Zabiłeś Vaila!

Dostrzegła w jego oczach strach. Po raz pierwszy, odkąd go znała, Marcus Traywick stracił pewność siebie. Wiedział równie dobrze jak Mary, że zabójstwo para Anglii nikomu nie ujdzie bezkarnie. Tym razem nie pomogłaby żadna sklecona naprędce bajeczka.

- Nie chciałem... - zaczął, tocząc przerażonym wzrokiem w stronę człowieka, do którego strzelał. - Powiesz im, że to był wypadek, prawda, Mary? Ten pistolet sam wypalił.

- Powieszą cię za to - wycedziła Mary Winters ściszym głosem, który jednak w tej sypialni zabrzmiał jak przekleństwo. - Będiesz wisiał, a ja przyprowadzę jego syna, żeby się przyglądał!

Otrząsnęła się już z szoku i zajęła się swoim mężem. Wiedziała, że musi przede wszystkim zatamować upływ krwi. Słyszac ciężki oddech Nicka, błyskawicznie oceniła, że chustka na jego szyi świetnie nada się na taki prowizoryczny opatrunek. Rozwiązała więc cienkie płótno, złożyła je w kostkę i przez koszulę przycisnęła do rany.

Nick wpatrywał się w jej twarz. Jego wzrok coś mówił, lecz opadające powieki przerwały ten niemy monolog. Mary była przekonana, że jej ukochany umiera.

Zajęta tamowaniem krwi, Mary przestała zwracać uwagę na Marcusa Traywicka, który trzęsącymi się rękami próbował wciągnąć koszulę, spodnie i buty. „Powieszą cię” - zapowiedziała Mary i miała rację. Był święcie przekonany, że Vail przybył go zabić, mimo jego gróźb. Strach spowodował, że kupiec bezwiednie nacisnął na spust, więc od biedy można było przyjąć, że pistolet rzeczywiście sam wypalił.

Traywick wiedział jednak, że takie tłumaczenie nie przekona sądu, zważywszy pozycję społeczną Vaila. Gro-

ził mu stryczek, a jedyną szansą, aby się od niego wywinąć, była ucieczka z kraju.

Wymknął się bezszelestnie przez ciemny korytarz w stronę tylnych drzwi. Zanim przybył Pierce, sprowadzając posiłki z Vail, w całym domu nie było żywej duszy poza księciem i Mary Winters, która przyciskała chustkę do rany.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zręczne ręce Pierce'a zastąpiły Mary przy tej czynności. Równocześnie wypytywał ją o okoliczności wypadku. Kiedy już dowiedział się, czego chciał, wydał rozkazy, aby część jego ludzi ruszyła w pościg za Traywickiem. Inni mieli sprowadzić jak najszybciej lekarza.

- Panie pułkowniku! - przemówił cicho Pierce, kiedy zostali tylko we troje. Ucichł już zgiełk i bieganina, toteż w pokoju panowała kompletna cisza. Mary zauważyła, że powieki księcia powoli się uniosły na dźwięk znajomego głosu. - Niech pan się trzyma, lekarz jest już w drodze!

Szare oczy Nicka przesunęły się na twarz Mary. Podniósł nawet rękę, żeby dotknąć ciemniejszego sińca w miejscu, gdzie Traywick ją uderzył. W kąciku jej ust przyschło nieco krwi, podkreślając bladość cery.

- Tak mi przykro, Mary - szepnął Nick. - Wiem, że cię zawiodłem...

W jego słabnącym głosie pobrzmiwała rezygnacja, więc Mary i Pierce próbowali go zmusić, by się nie poddawał i walczył o życie. Objęła jego palce i przycisnęła do swojego policzka.

- Nie mów tak! - zaprotestowała. - To, co się stało,

nie jest twoją winą. Przyjechałam tu z własnej woli, bo myślałam, że to jedyny sposób, aby odzyskać Richarda. Ale się myliłam.

Nie powiedziała tego głośno, ale jasne było, że do tragedii doszło w wyniku jej błędnej oceny sytuacji. Chciała wyrwać Richarda z rąk Traywicka, ale nie za cenę życia Nicka. Mogła przecież przewidzieć, że natychmiast pojedzie jej śladem!

- Richard? - szepnął z trudem Nick.

Mary zauważyła, że po raz pierwszy wymówił imię swego syna. Oby jednak ten pierwszy raz nie był równocześnie ostatnim! Szybko odrzuciła tę myśl i uśmiechnęła się do męża.

- Nie ma go tutaj. Traywick gdzieś go wysłał, by ukryć przed nami. - Pieszczotliwie musnęła kciukiem jego policzek.

- Tak mi przykro... - zdołał jeszcze wyszeptać Vail. Widać było, że opuszczają go siły i sytuacja staje się krytyczna.

- Panie pułkowniku... - zaczął Pierce, ale Vail nie reagował. - Pułkowniku, do jasnej cholery!

- Czy on... - Przerazona Mary urwała w pół zdania. Miałaby stracić go po tylu latach rozłąki?

- Mów do niego! - polecił ordynans. - Opowiadaj mu o chłopcu, o czymkolwiek, byleby zrozumiał, że nie wolno mu teraz od nas odchodzić. Wy tłumacz mu, że syn go potrzebuje, że ty go potrzebujesz, że po prostu musi zostać z nami i tyle!

Spojrzała ze zdziwieniem na Pierce'a, ale kiedy w jego oczach ujrzała odbicie własnego strachu, natychmiast usłuchała.

- Nick! - wyszeptała, biorąc w swoje ręce jego silne, stwardniałe od wodzy palce. Nie wyczuła jednak żadnej reakcji ani w jego dłoni, ani w poszarzałej twarzy. Powtórzyła więc głośnie: - Słuchaj, Nick, musimy odnaleźć Richarda, tylko najpierw trzeba wyśledzić, gdzie Traywick go ukrył. Nikt tego nie zrobi lepiej niż ty. Potrzebujemy ciebie, Nick, nie opuszczaj nas!

Tym razem w jej głosie nie było goryczy zawodu ani wyrzutów. Bez względu na to, co zaszło w przeszłości, rozpaczliwie chciała utrzymać go przy życiu.

- Obiecuj mi, Nick - błagała, chcąc sprowokować jakiś odzew. - Daj mi słowo, że odszukasz naszego syna. Musisz mi to przyrzec. Jesteś to winien mnie i Richardowi.

Powieki Nicka drgnęły. Udało mu się nawet je otworzyć, ale nie umiał skupić na niczym spojrzenia. Mary obawiała się, że może już jej nie widzi, bo oczy zaszły mu mgłą. No, ale dobrze przynajmniej, że w ogóle jakoś zareagował!

- Mów do niego! - nalegał Pierce. - Opowiedz mu, jak wygląda jego syn, wymyśl coś, co go poruszy!

Pierce był równie przerażony jak ona, poznała to po jego twarzy. Nikt jednak lepiej od niego nie znał Nicka Stanton, dlatego posłuchała, mimo że nie była przekonana do takiego sposobu ratowania życia.

- Jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody. Nieraz patrzyłam na niego, a widziałam ciebie. Te same oczy, karnacja... - Przerwała na chwilę, głęboko wzruszona. - Richard przypomina cię nie tylko wyglądem, ale porusza się tak jak ty, z taką samą pewnością siebie. Takim cię zapamiętałam w kościele mojego ojca, albo na tej przecince między krzewami porzeczek, czy potem w starej kaplicy... - Zniżyła głos do szeptu, bo od nadmiaru wzruszeń zaschło jej w gardle. Kątem oka dojrzała, że Pierce na nią patrzy, więc przemogła się i ciągnęła: - To się zdarzało tyle razy, że powinnam się przyzwyczaić. Jednak zawsze mnie zaskakiwało, kiedy patrzyłam na niego, a widziałam ciebie.

Czuła, że szare oczy Nicka spoczywały na jej ustach, mało tego, śledziły ruch jej warg, jakby chciał widzieć, jak się układały, wymawiając te słowa. Wynikało z tego jasno, że słucha.

Mary miała wrażenie, że mówi i mówi bez końca, podczas gdy Pierce przyciskał tampon do rany. Nie była w stanie zapamiętać, o czym przez cały ten czas mówiła. Wiedziała tylko na pewno, że opowiadała Nickowi o drewnianym żołnierzyku, jedynej zabawce Richarda. Opisywała mu radość dziecka z takiego prezentu. Wspomniała też, jak się niepokoiła, czy chłopiec w przyszłości nie zechce, podobnie jak ojciec, poświęcić się służbie wojskowej.

Opowiadała mu też ze szczegółami, jak mijały im dni i jakie przyjemności starała się sprawiać synkowi. Wspomniała przy tym, jak błagała kupca, aby pozwolił jej uczyć

Richarda konnej jazdy i dlatego Traywick się na to nie zgadzał. W tym momencie palce Nicka lekko zacisnęły się wokół jej ręki, więc dała spokój przywoływaniu przeszłości i powróciła do terażniejszości i związanych z nią obaw.

- Pierce... - nagle cicho powiedział Nick.

- O, nie! - wtrącił się jego wierny ordynans, wychwytyjąc kontekst, który uszedł uwagi Mary. - To jest obowiązkiem ojca. Od konia można się nauczyć więcej niż pewnego dosiada i spokojnej ręki. Pan wie równie dobrze jak ja, że pierwszy koń chłopca wyrobi w nim odwagę, szczerłość i wielkie serce, byleby był odpowiednio dobrany dla takiego dzieciaka. A takiego konia nikt nie dobierze lepiej niż ojciec, więc to pańskie zadanie, panie pułkowniku.

Mary obróciła się, i zauważyła strużkę łez ściekających po ogorzałym policzku starego sługi. Sama też musiała wytrzeć oczy, a potem spojrzała w twarz Nicka.

Złowiła przy tym ledwo dostrzegalny ruch jego głowy, który mógł oznaczać przeczenie lub rezygnację. Złękła się, że Nick nie wytrzyma tak długo, bo lekarz wciąż się nie zjawiał. Powieki zaczęły mu opadać, a Mary wiedziała, że jeśli straci z nim kontakt, to może już go nie odzyskać. Wysiłki jej i Pierce'a pójdą na marne, a Marcus Traywick zwycięży.

- Nie! - krzyknęła. - Tylko nie teraz, Nick. Nie wolno ci znowu nas opuszczać!

- Wystarczy, że raz popełniłeś błąd - dodał Pierce. -

Za ten błąd zapłacili Mary i Richard. Nie ma tu już miejsca na nowe błędy, a przede wszystkim nie ma go dla tchórzy. Nie wolno ci stchórzyć, przynajmniej nie tym razem! Mary podniosła na Pierce'a zdziwione oczy, zdumiona brutalnością tych słów.

- Pierce!... - próbowała zaprotestować, ale ordynans nie spojrzał nawet w jej stronę.

- Teraz nie jest już tak źle jak było - mówił dalej, ale nie do Mary, tylko do człowieka, którego kochał nade wszystko w świecie, więc tym bardziej nie miał zamiaru mu ustąpić. -. Wtedy razem sprawiliśmy, że i ona, i dziecko zawiedli się na nas, za to teraz pan pułkownik ma dla kogo żyć. Chłopiec potrzebuje pana, przecież nie zostawi go pan w rękach tego szaleńca! Tylko jaśnie pan może go stamtąd wyciągnąć, więc jeśli pan tym razem się podda...

Pierce celowo zawiesił głos, bo Vail musiał przecież pamiętać, czym groził mu Traywick. Nie trzeba było mu przypominać, jakie niebezpieczeństwa grożą bezbronnemu dziecku. W końcu Vail potakująco kiwnął głową, choć ruch był ledwie dostrzegalny.

W sercu Pierce'a obudziła się nadzieja. Był przekonany, że jeśli siła woli jest w stanie utrzymać człowieka przy życiu, to Vail będzie żył. Dał przecież słowo, a ten człowiek nigdy nie rzucał słów na wiatr.

Jednak powieki Vaila opadły, a strach znowu ścisnął Mary za gardło.

- Pierce? - wyszeptała, zdjęta nagłym przerażeniem.
- Będzie dobrze - pocieszył ją sługa. - Musi tylko na-

brać sił, ale przyrzekam ci, Mary, jeżeli tylko będzie mógł... - Znowu głos mu się załamał.

Mary przytaknęła, ale nie odstępowała męża i nie odejmowała swoich chłodnych, wiotkich palców od jego ręki, aż wreszcie przybył lekarz.

Mary nie mogła znieść myśli, że Nick miałby leżeć na tym samym łóżku, na którym Traywick znęcał się nad Abigail. Ani Pierce, ani lekarz nie kwestionowali jej decyzji i przenieśli rannego do małej sypialni na tyłach domu, którą przez prawie siedem lat zajmowała Mary.

Lekarz na odchodnym zostawił im instrukcję, która wstrząsnęła tak Mary, jak Pierce'm:

- Przyślijcie po mnie jutro, jeśli dożyje do rana.

Vail nawet się nie poruszył, gdy lekarz sondował ranę. Dzięki temu, że był nieprzytomny, nie odczuwał bólu, choć kula utkwiała głęboko i nie dawała się wyjąć. Potem chirurg rozpalonym żelazem przypalił ranę, aby zamknąć naczynia krwionośne i zatamować krwawienie.

Mary przycisnęła dłonie do ust, bo zrobiło jej się niedobrze od skwierczenia i zapachu spalonego ciała. Na szczęście Nick nie zareagował na ten bolesny zabieg, kurczowo trzymając się wątlej nitki życia.

Pierce wyszedł przed dom odprowadzić lekarza, ale Mary nie chciała ani na chwilę odejść od Nicka. Pozostała na krześle dostawionym do jej wąskiego łóżka.

Ordynans po powrocie natychmiast skierował się w stronę kominka, na którym tlił się mały ogieniek dla ochrony przed

nocnym chłodem. Z gzymsu zdjął małą buteleczkę, odkorkował ją i wylał zawartość w płomienie. Płyn zaskwierczał na płonących polanach, wydając dźwięk, jak przy przypalaniu rany.

- Co tam było? - spytała Mary.
- Laudanum*. Doktor je zostawił.
- Więc dlaczego je wylałeś? - oburzyła się Mary, nie rozumiejąc, dlaczego zmarnował lekarstwo, którego Nick mógł potrzebować.
- Bo już przedtem mu to dawali. Za dużo i za długo
- odpowiedział Pierce.
- W Hiszpanii?
- Wtedy go jeszcze nie znałem, tylko słyszałem o nim.
- Blask ognia z kominka oświetlał profil Pierce'a na tyle wyraźnie, że widać było kącik jego ust podniesiony w uśmiechu. - Jego ludzie opowiadali o nim legendy!

Dopiero wtedy podniósł oczy i przeszedł cały pokój, aby stanąć przy łóżku obok Mary.

- Mimo wszystko nie powinieneś był tego wylewać - upierała się Mary. - Kiedy się rozbudzi, może potrzebować czegoś dla złagodzenia bólu.

- Wtedy dawali mu tego za dużo - powtórzył, jakby to wszystko wyjaśniało. - I nie tylko dla złagodzenia bólu.

Zaraz potem delikatnie dotknął czubkami palców grubej warstwy bandażu opasujących pierś i prawy bark księcia. Na ich bieli nie znać było ani śladu czerwieni.

* Laudanum - nalewka alkoholowa na opium (przyp. red.).

Najwyraźniej ryzykowny zabieg, jaki przeprowadził lekarz, zahamował utratę krwi. Chirurg lojalnie uprzedził, że pacjent może umrzeć także wskutek jego działań, ale zaraz dodał z okrutną szczerością:

- Ale on i tak umrze, jeśli krwotok nie ustanie.

Pierce spojrział wtedy na Mary, czekając na jej decyzję, bo tylko ona, jako żona, miała prawo ją podjąć. Jednak z jej błękitnych oczu trudno było odczytać cokolwiek innego poza przerażeniem, więc sam kiwnął głową, biorąc na siebie odpowiedzialność za losy księcia, które nieraz już spoczywały w jego rękach.

Przepelniający pokój swąd przypalonego ciała przypominał Pierce'owi odór śmierci, jaki unosił się nad polem bitwy pod Waterloo. Vail wyszedł wtedy z życiem z gorszych opresji, co teraz napawało nadzieją. Zresztą dał im słowo, a Pierce, trzymając się kurczowo tego, co wiedział o swoim panu, wmawiał sobie, że książę, jeśli tylko będzie mógł, na pewno z tego się wywiąże. Teraz jednak leżał pogrążony w głębokim śnie, i tylko jeden krok dzielił od śmierci.

- Pierce! - przypomniała o sobie Mary.

- Pamiętaj, żebyś nigdy nie dawała mu opium! Wtedy nie mieli nic innego, więc dali mu tyle tego, że później ledwo zwalczył ten pociąg. Nie miałem jednak do końca pewności, czy wygra, więc nie wolno narażać go na pokusę. Cokolwiek będzie jeszcze musiał znieść, nie może wspomagać się opium. Rozumiesz?

- Tak. Powiedz mi, Pierce, co właściwie zdarzyło się w Hiszpanii?

- I tak powiedziałem ci więcej, niżby sobie życzył. Reszta musi wyjść od niego. Kiedy poczuje się lepiej, nakłoń go, aby powiedział ci prawdę.

Nie spojrzał już na nią ani razu, tylko wbił wzrok w swego pana, którego tajemnicę właśnie ujawnił. Okazało się, że znał jeszcze więcej takich sekretów i nie miały one nic wspólnego z działaniami wojennymi na Półwyspie Iberyjskim.

Mary uważnie przyjrzała się rysom księcia, jakby wyciętych z alabastru. Wyrzucała sobie, że narzekała na swoje ciężkie życie, a nie pomyślała, jakie on mógł mieć przejścia. Pamiętała tylko o tym, że wbrew przyrzeczeniu nigdy nie przyznał się ani do niej, ani do syna. Dopiero słowa Pierce'a uświadomiły jej, że to zaniedbanie mogło mieć poważne przyczyny.

Pierce poradził jej, aby nakłoniła go do wyznania prawdy, więc mogła się tylko modlić o taką możliwość.

Następne dni i noce minęły na rutynowych czynnościach, które Mary i Pierce podzielili między siebie. Obowiązkiem Mary było wyżymanie szmat namoczonych w zimnej wodzie i przykładanie ich do rozpalonego czoła Nicka, aby obniżyć rosnącą gorączkę. Ona także cierpliwie wlewała mu, kropla po kropli, wodę między splekane wargi. Zgodnie z szorstką instrukcją chirurga zmywała także zaschniętą ropę gromadzącą się na powierzchni ran pozostałych po cięciu i przypalaniu.

Inne czynności związane z pielęgnacją nieprzytomne-

go pacjenta należały do Pierce'a, który na ten czas wyprasał Mary z pokoju. Oboje wiedzieli, że opieka Pierce'a jest mniej krepująca dla księcia, którego życzenia starali się odgadywać bez słów.

Mary czasami tylko myślała o Richardzie, gdyż bardziej absorbował ją stan Nicka. Pocieszała się, że jej syn jest już gdzieś daleko, może pod opieką Boba Smithersa, którego zawsze lubił. Przecież Traywick sam powiedział, że wysłał go w bezpieczne miejsce. To zapewnienie powtarzała sobie setki razy, nie pamiętając, z czyich ust padło.

Pierce uspokajał ją, że dołożono już wszelkich starań, by ująć Traywicka. Uruchomiono ogromne zasoby finansowe księcia, podczas gdy on sam walczył o życie.

Mary dziwiła się, dlaczego Pierce nie powiadomił policji ani nie złożył na kupca formalnej skargi o usiłowanie zabójstwa.

- Myślę, że książę nie chciałby wywoływać skandalu, a zresztą tak chyba będzie lepiej, zważywszy groźby Traywicka... - próbował tłumaczyć Pierce, świdrując ją przenikliwym spojrzeniem piwnych oczu.

- Wiem, co mu powiedział - weszła w słowo. - Traywick mi się przyznał, że straszył Vaila odwetem na Richardzie, aby trzymać go w szachu.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego strzelał do pułkownika. Przecież do tego momentu prawo było po jego stronie, a mógł być pewien, że Vail nie tknie go palcem w obawie, żeby nie zrobił krzywdy dziecku. Po co więc ryzykował?

- Nie wydaje mi się, aby zrobił to celowo. - Mary przypomniała sobie słowa kupca. - Po prostu się wystraszył i odruchowo chwycił za broń. Może zląkł się legend krążących o Nicku albo tego, co zrobiłby, gdyby zobaczył. .. - Wiedziała, że Pierce znał sytuację, w jakiej się znalazła, mimo to dalsze zwierzenia nie mogły jej przejść przez gardło. - Przypuszczałam, że Nick będzie chciał go zabić mimo jego grózb - zaczęła nową myśl. - Traywick pewnie też tak pomyślał, dlatego wyjął pistolet z szuflady. Kiedy zobaczył Nicka w drzwiach, odruchowo nacisnął spust.

- W takim razie jest głupi - podsumował Pierce.

- Nie głupi, tylko szalony - poprawiła Mary. - A najgorsze, że tylko ten szaleniec wie, gdzie jest Richard.

- Przysięgam ci, Mary, że go znajdziemy - zapewnił Pierce. - Setki ludzi biorą udział w poszukiwaniach, a jeżeli on sądzi, że zabił Vaila, to tym bardziej nie ma powodu spełniać swych pogrózek. Dzięki temu zyskamy na czasie i dojdziemy, gdzie się ukrywa.

- A kiedy już go znajdziecie, to co zrobicie? - wypytywała.

- Wtedy sam mi powie, gdzie jest chłopak. - Pierce obrzucił spojrzeniem nieruchomą postać na łóżku. - Niech no ja się zajmę tym draniem, to będzie się cieszył, że może odpowiedzieć na moje pytania!

Ta noc zdawała się nie mieć końca. Godziny powoli mijały, a gorączka i niepokój Nicka nasiliły się około półno-

cy. W którymś momencie Mary zsunęła się z krzesła, na którym spędzała długie godziny czuwania, aby usiąść na podłodze obok męża i trzymać go za rękę. Zaobserwowała bowiem, że uspokajał się, kiedy dotykała jego rozpalonego czoła lub po prostu mówiła do niego.

W końcu jednak, wyczerpana tyloma bezsennymi nocami, zasnęła na podłodze, opierając się o brzeg materaca.

Obudziło ją dotknięcie czyjejś ręki, która głaskała jej włosy. Pamiętała natarczywość Traywicka, więc szybko odskoczyła, zaraz jednak przekonała się, że w jej potarganych lokach tkwią palce Nicka. Kilka pasm rozsypało się po bandażach spowijających jego pierś, a dwa pukle przyklepiły się do spoconej skóry nad opatrunkiem.

Oczy miał otwarte i patrzył na nią, a kiedy się wzdrygnęła pod jego dotknięciem - opuścił rękę. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, bo oznaczało to, że Nick żyje i jest przytomny. Wprawdzie modliła się o to przez cały tydzień, ale nie spodziewała się tak pomyślnego obrotu spraw. Obawiała się bowiem, że Nick umrze, gdyż taka kara należy się jej za złamanie ślubów małżeńskich.

Najwidoczniej jednak gorączka mu spadła, gdyż cały był zlany potem. Dlatego właśnie jej włosy przylepiły się do jego skóry, jakby razem spędzili upojną noc.

- Mary? - wymówił jej imię pytającym tonem, jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę przy nim jest.

- Tak... - wyszeptała.

Nie płakała, kiedy Traywick do niego strzelił ani kiedy chirurg bolesnymi zabiegami starał się uratować mu życie.

Dopiero teraz, gdy wszystko wskazywało na to, że będzie żył, łzy zalały jej policzki, a stamtąd skapywały na rękę Nicka, spoczywającą między nimi na łóżku. On też śledził pozostawiany mokry ślad, a potem znów skierował wzrok ku jej twarzy.

Trwało to równie długo jak po strzale Traywicka. Wtedy także Nick patrzył na nią, jakby próbował jej coś powiedzieć, ale zbyt dużo zdarzyło się w przeszłości, aby od razu mogli sobie odpowiedzieć na wszystkie pytania. Pierce sugerował, żeby sama nakłoniła go do wyznania całej prawdy, ale nie był to odpowiedni moment, bo teraz należało się tylko cieszyć, że Nick żyje.

- Czemu płaczesz? - spytał z zaciekawieniem.

Pytanie rozśmieszyło ją, bo pewnie nawet nie wiedział, co się z nim działo ani co ona robi przy nim. Wiadomo, że gorączka osłabia nie tylko ciało, ale i pamięć.

- To ze szczęścia, że nareszcie się obudziłeś! - wyznała szczerze.

- Gdzie jesteście?

- W domu Traywicka. W moim dawnym pokoju.

Poruszył głową na poduszce, jakby chciał zaprzeczyć.

- Ale ja nic... - zaczął i przymknął oczy, nie kończąc zdania.

- Wiem, że nic nie pamiętasz - wyszeptała. - To normalne. Z czasem sobie wszystko przypomnisz.

Musiała zawiadomić o szczęśliwym zdarzeniu Pierce'a. Stary żołnierz zasłużył, aby jak najszybciej usłyszeć, że Nick odzyskał przytomność i zadaje sensowne pytania.

Podierała się na nogi, odpychając się ręką od ramy łóżka. Po tylu godzinach siedzenia na podłodze kolana jej zdrewniały, więc chwilę postąła, czekając, aż wróci jej krążenie.

- Nie odchodź! - Nick próbował niezdarnie objąć ją w pasie. Ujęła jego rękę i przytrzymała, napawając się dotykiem długich palców.

- Tylko na chwilę - zapewniła. - Muszę powiedzieć Pierce'owi, że się obudziłeś. Tak się o ciebie martwił!

- Ale wrócisz tu, prawda?

- Obiecuję - szepnęła. Przycisnęła usta do jego palców i delikatnie odłożyła rękę rannego na materac.

Vań odprowadził ją wzrokiem. Patrzył w tę samą stronę jeszcze wtedy, gdy przyszedł Pierce. Wciąż czekał na obiecany powrót Mary. Wyczerpany rozmową usnął, ale tym razem to Pierce trzymał rękę wytwornego jeźdźca w swoich spracowanych dłoniach.

Pierce powiedział: „Namów go, żeby powiedział ci prawdę”, ale ona nawet nie próbowała. Uważała, że jeszcze nie nadszedł czas, więc na razie karmiła Nicka odżywczym rosołem.

Dopiero na trzeci dzień zamienili ze sobą więcej niż kilka zdawkowych słów. Późnym wieczorem Mary oczyszczała jego ranę, co trwało dość długo i musiało być bolesne, lecz Nick podczas całego zabiegu nawet nie pisnął. Tylko spojrzenie szarych oczu utkwił w jej twarzy, wskutek czego po raz pierwszy ręce jej zadrżały przy tych czynnościach.

- Przepraszam... - wyszeptała, kiedy skończyła.

- Za co? - zdziwił się.

- Że sprawiłam ci ból.

Tylko potrząsnął głową.

- Doktor zostawił dla ciebie laudanum - mówiła dalej, widząc jego pytające spojrzenie. - Ale Pierce wylał je do ognia.

Nick chwilę milczał, a kiedy podniósł głowę, nie patrzył już w oczy Mary.

- Oczywiście powiedział ci, dlaczego to zrobił? - wycedził z goryczą.

- Tak.

Nick znów zamilkł, aż wreszcie zaczął mówić cichym głosem:

- Pierce opowiedział mi o palaczach opium, których widział w Indiach, co się z nimi działo i jak kończyli. Nie przypuszczałem, że moje ciało może kiedyś też tak potrzebować narkotyku. Myślałem, że środek, który przepisują lekarze, nie może mi zaszkodzić. W końcu łagodził ból i pomagał zasnąć. Dlatego brałem ten lek, ale nie z takich powodów, jak myśli Pierce... On tylko zwrócił mi uwagę, że stopniowo zwiększałem dawki, nie wiedząc o tym. Wy tłumaczył mi, do czego to może doprowadzić i przekonał, że za wszelką cenę muszę to przerwać.

- Mówił mi o swoich obawach...

- Że nie dam rady, prawda? - dokończył Nick. Na jego ustach pojawił się uśmiech, choć nie mówił o rzeczach

wesołych. - Miał powody, aby się tego bać. Widziałaś kiedyś morfinistów, Mary?

- Nie.

- Pewnie widziałaś, sama nie wiedząc o tym. To tak samo, jakby zażywali opium. W Anglii tego tak nie nazywają, ale po wojnie namnożyły ich się setki. To ci, którzy wrócili z ranami i lekarze przepisywali im ten środek bez ograniczeń, aby ulżyć ich cierpieniom. Do dziś zaprzeczają, jakoby laudanum mogło uzależniać.

Znów przerwał, tym razem na dłużej, ale Mary spokojnie czekała.

- Nieraz w Londynie przez okna powozu widzę ludzi skulonych po bramach, jakby z zimna. Czasem brakuje im ręki, czasem opierają się na kuli, ale w ich oczach jest coś takiego, po czym poznajemy się nawzajem. Pamiętam, jakie to było uczucie, ten głód zżerający człowieka. Jeszcze i teraz, po tylu latach, czuję, że wystarczyłoby mi tylko raz spróbować.

- I co wtedy robisz? - spytała cicho.

- Modłę się, aby Bóg dał mi siłę, żeby nie korciło mnie zawracać i pytać takiego biedaka, czy nie ma przy sobie morfiny. Zwykle jadę dalej, ale nie wiem, czy następnym razem będę miał siłę zrobić to samo.

- A Pierce mówił...

- Nie miał prawa ci tego mówić.

- Zrozum, bał się, że następnym razem doktor wręczy laudanum mnie, a ja ci je podam, bo nie będę wiedziała, dlaczego nie wolno mi tego robić.

- Nie miał prawa! - powtórzył z uporem Vail.
- Ale ja chciałam, żeby mi to powiedział. - Mary przypomniała sobie słowa Pierce'a: „Namów go, żeby powiedział ci prawdę”.

Nick ostatecznie zamilkł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pierce przyniósł księciu kolację i od razu zorientował się, że ten jest na niego zły. Nieraz był świadkiem wybuchów gniewu swego pana, ale nigdy nie były one skierowane przeciwko niemu. Teraz zaś szare oczy patrzyły na niego ponuro, a zaciśnięte usta zdradzały zawziętość.

Pierce postawił tacę na stole i usiadł na krześle przy łóżku. Wolał od razu wyjaśnić sprawę niż dopuścić do nie-domówień. Prawda, że zawiódł zaufanie Vaila, ale w dobrej sprawie. Zresztą wierzył w rozsądek swego pułkownika i liczył, że ostatecznie przyzna mu rację.

- Nie miałeś prawa jej tego mówić! - wycedził wreszcie Vail z pozornym spokojem.

- Wydawało mi się, że pan i bez tego ma dosyć kłopotów, aby ryzykować jeszcze i to. Zresztą ona jest przecież żoną pana pułkownika, więc ma prawo wiedzieć.

To wyjaśnienie nie udobruchało Vaila.

- A co do reszty?

- Nic więcej jej nie powiedziałem. Chociaż uważam, że powinna wiedzieć także o tym.

- Zwolnię cię ze służby, Pierce, jak mi Bóg miły!

- Zanim usłużę waszej wysokości czy może zaraz po-

tem? - spytał, niezbyt dyskretnie przypominając księciu, przy jakich to czynnościach asystował mu przez cały ubiegły tydzień. Gdy Vail uświadomił sobie, za co powinien być wdzięczny swemu ordynansowi, przestał czynić mu wyrzuty, ale jego twarz pozostała nieprzejednana, a jego milczenie było wymowne.

- Przez tyle lat pan pułkownik poszukiwał Mary Winters - kontynuował Pierce. - Ciekawe, co by pan zrobił, gdyby ją znalazł?

- Chciałem tylko się upewnić, czy jest bezpieczna i czy jej czegoś nie trzeba.

- A nie chciał pan skonsumować waszego małżeństwa?

- Obawiam się, że wtedy nie było takiej możliwości - rzucił zgryźliwie Vail.

- A teraz?

- Teraz ona się wzdryga na samo moje dotknięcie.

- Ona pielęgnowała pana jak dziecko! Mógłby pan pułkownik być trochę sprytniejszy. Niech jej pan powie całą prawdę i zacznie od początku. Przecież stoi pan teraz przed taką szansą, o jakiej się panu nie śniło! Ma pan żonę i syna, o którym pan nawet nie wiedział, a przez głupią dumę może pan to wszystko zaprzepaścić.

- Naprawdę myślisz, Pierce, że to tylko kwestia mojej dumy?

- A co mam myśleć, do wszystkich diabłów? Niech mi książę pan łaskawie powie, co jeszcze oprócz dumy przeszkadza panu powiedzieć tej kobiecie, co pan do niej czuje?

Znów zapadła nieprzyjemna cisza.

- Raz już nazwałem pana tchórzem - przypomniał Herce.
- To było wtedy, kiedy ten drań strzelił do pana, a ja chciałem panem wstrząsnąć, żeby pan chciał walczyć o życie.

W tonie jego głosu zabrzmiało coś takiego, co kazało Vailowi spojrzeć mu w oczy.

- Chciałem pana pułkownika za to przeprosić - ciągnął Pierce - ale teraz widzę, że wcale nie muszę.

Wstał i zostawił księcia samego w małej, ciemnej sypialni, która kiedyś należała do Mary Winters.

Mary przyszła do niego dopiero około północy, ale Vail czuwał i patrzył otwartymi oczami w ciemność. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił głowę, licząc, że to Pierce zmiękł i chce jeszcze przy nim posiedzieć.

Miała na sobie nocną koszulę, a na wierzch narzucony wełniany szal, tak samo jak wtedy, kiedy przyszedł nocą do jej sypialni. Stała w drzwiach, a księżyc przeświecał przez cienki materiał jej bielizny, obrysowując sylwetkę tak dokładnie, jakby była naga. Na ten widok wspomnienia powróciły ze zdwojoną siłą.

Mary przeszła przez pokój i obrzuciła spojrzeniem jego łóżko. Zastanawiał się, czy każdej nocy tak przychodziła, aby sprawdzić, czy niczego mu nie brakuje. Nie, to byłoby za piękne, aby było prawdziwe. Przecież pamiętał, jak się wzdrygnęła pod jego dotknięciem. Na pewno nie przyszła tu, aby z nim być. Musiało się coś wydarzyć, co usprawiedliwiłoby jej obecność w tym pokoju.

- Co się stało? - spytał. - Są może jakieś wiadomości o chłopcu?

- O Richardzie - poprawiła Mary.

Położyła rękę na jego czole. Gest był całkowicie bezosobowy, ale ciało Nicka zareagowało na jej bliskość tak samo intensywnie jak w młodości. Wprawdzie szybko cofnęła rękę, ale znów go zaskoczyła, bo usiadła przy nim na krześle.

- Ani śladu po Richardzie i Traywicku - powiedziała.

- Pierce mówi, że robi się wszystko, co tylko można. Chyba wydał już mnóstwo pieniędzy.

- Znajdziemy go - pocieszył ją zdawkowo, świadomy, że składa kolejną obietnicę bez pokrycia. W tej chwili bowiem mógł zaledwie leżeć i liczyć na to, że inni odnajdą jego syna.

- Dlaczego nie śpisz? - spytała Mary.

- Długo spałem podczas dnia.

- I nic nie zjadłeś! - zarzuciła mu, wskazując na tacę przyniesioną przez Pierce'a. - Przynajmniej spróbuj. Może zjadłbyś choć parę kęsów, gdybym ci pomogła?

- Dziękuję ci, Mary, ale nie trzeba.

Nie powiedział jej, że Pierce obraził się na niego i dlatego nie został, aby go nakarmić. Może uznał, że jego pan za karę powinien pójść spać bez kolacji? Zresztą nie był głodny, bo usłyszał dziś za dużo słów, których nie chciał słyszeć. Zbyt dobrze znał Pierce'a, aby sądzić, że na tej wymianie zdań się skończy. Sierżant miał zwyczaj walić bez ogródek to, co myślał, a obaj

wiedzieli, że groźba zwolnienia ze służby była tylko cczą gadaniną.

Vail nie wyobrażał sobie życia bez przyjaźni Pierce'a. Stary żołnierz był jedynym człowiekiem w otoczeniu księcia, który zawsze miał odwagę wygarnąć mu prawdę. W ciągu pustych godzin, które minęły między odejściem służącego a przyjściem Mary, musiał przyznać, że ordynans i tym razem powiedział prawdę. Rzeczywiście był tchórzem, przynajmniej w sprawach dotyczących żony.

W ciemnościach dotarł do niego głos Mary.

- Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy. Chciałabym powiedzieć ci coś, o czym chyba powinieneś wiedzieć. Chodzi o Traywicka i ten dzień, kiedy cię postrzelił.

- To nieważne - próbował ją zbyć. Rzeczywiście nie było ważne dla niego, bo i tak zawsze czuł do niej to, o czym mówił Pierce. Nie miał jednak pewności, czy potrafi znieść to, co chciała mu wyznać. Mary próbowała ratować syna, oddając swoją godność w ręce Traywicka, bo Nick nie był w stanie odnaleźć chłopca.

- Wydaje mi się, Nick, że to jednak ważne - zaproponowała stanowczo. - Kiedy zastałeś nas razem, na pewno byłeś przekonany, że... - Przerwała, bo to, co Nick mógł pomyśleć, nie mogło jej przejść przez gardło. - Chciałabym, żebyś zrozumiał, że zrobiłabym wszystko, aby wy dostać Richarda od Traywicka.

Zabrzmiało to, jakby się tłumaczyła, ale przecież nie po to do niego przyszła.

- Nie próbuję usprawiedliwić przed tobą tego, co zro-

biłam. Chciałam ci tylko powiedzieć, że kiedy tamtego dnia usłyszałam twój głos, zrozumiałam, że popełniłam błąd. A potem bałam się, że umrzesz, bo taka będzie kara za ten błąd, tak jak karą za inny mój grzech była śmierć mojego ojca.

- Mary... - przerwał, bo nie mógł znieść, że obarcza siebie winą za wszystko, co się stało. Przecież za to, co zaszło wśród krzewów porzeczek, tylko on był odpowiedzialny, doskonale również rozumiał, jakie okoliczności przywiodły ją do domu Traywicka. Zbyt długo była odpowiedzialna za Richarda, aby łatwo zrzekła się tego obowiązku na rzecz obcego człowieka. Bo Nick nie tylko stał się dla niej obcy, ale też okrutnie ją zawiódł. Dlaczego więc miałyby mu zaufać, że tym razem dotrzyma obietnicy?

- Tamtego dnia do niczego nie doszło - powiedziała cicho, ale waga tych słów okazała się większa, niż mogła przypuszczać. Wprawdzie Nick zdążył się już pogodzić z tym, że oddała się Traywickowi, lecz głębi duszy doskwierało mu to jednak boleśnie, więc teraz kamień spadł mu z serca.

- Nie dlatego, że się na to nie zdobyłam - zwierzała się dalej Mary, bo przyszła powiedzieć mu całą prawdę. - On po prostu nie mógł. Mówił, że mnie pragnie, ale nic z tego nie wychodziło, dopóki mnie nie uderzył. Sam się przyznał, że potrafi posiąść kobietę tylko wtedy, gdy widzi jej ból i cierpienie. To dlatego tak źle traktował Abigail. A ze mną...

- Przestań! - poprosił, bo ujrzał to wszystko w swej wyobraźni.

- Nie dał rady mnie wziąć siłą! - oświadczyła z wyraźną satysfakcją, bo przecież zwyciężyła w tym starciu. - Nie był na tyle mężczyzną, żeby zrobić to, co chciał.

Vail zamknął oczy i ujrzał scenę poczęcia jego syna wśród krzaków porzeczek. Pamiętał, jak prężyło się jego ciało i jak cudownie odpowiadał na podniety jej ciała, dotknięcia jej rąk i ust.

Powiedziała, że ten plugawy kupiec nie był na tyle mężczyzną, aby ją osiąść. Drwiła z niego. A to znaczy, że pokonała go ostatecznie.

- Dziękuję ci, że mi o tym powiedziałaś - powiedział Vail, bo co innego mógł rzec?

- Nie złamałam naszych ślubów i nigdy tego nie zrobię. Przyrzekam ci, Nick, że jakiegokolwiek grzechy popełniłabym w przyszłości, to na pewno nie ten. Nawet dla Richarda.

On również traktował ich śluby poważnie, ale nie mógł jej teraz tego powiedzieć. Bo nie miał sił, by przytulić ją... i pokochać.

- Idź spać, Mary - poradził.

- A będziesz mógł zasnąć?

- Lepiej, żebym został sam - wyznał szczerze, ale nawet po jej wyjściu słodki zapach jej ciała wypełnił cały pokoik...

Dni mijały w oczekiwaniu na wieść o miejscu pobytu

kupca. Tymczasem, dzięki troskliwej pielęgnacji Pierce'a i Mary, Vail stopniowo odzyskiwał siły.

Jednak mimo stałej bliskości i zapewnień, że między nią a Traywickiem do niczego nie doszło, Mary czuła, że dystans dzielący ją od Vaila wcale się nie zmniejszył. Wynurzenia Pierce'a skłoniły ją tylko do zastanowienia, czy to, co uważała za dezercję Nicka, nie wynikało z ważnych powodów.

Gdyby dał jej w jakiś sposób do zrozumienia, że chce przywrócić dawne stosunki między nimi, na pewno wyszłaby mu naprzeciw. Przecież to był Nick i upływ lat nie osłabił jej uczuć.

Tymczasem Vail przybrał znowu maskę chłodnego, uprzejmego, ale obcego człowieka, takiego jak ten, który zjawiał się w dniu jej procesu na sali sądowej. Mogła się najwyżej domyślać, że ten nawrót obojętności spowodowany jest zdarzeniem z Traywickiem. Nie miała do niego o to pretensji, bo jej samej robiło się niedobrze na myśl o tym, co zamierzała uczynić.

Tylko od czasu do czasu czuła na sobie spojrzenie Nicka, ale zanim zdążyła coś z niego wyczytać, szybko przybierał swoją zwykłą, obojętną minę.

Któregoś poranka, około dwóch tygodni od ich przybycia do domu kupca, pojawił się kolejny posłaniec. Mary poszła powiadomić o tym Pierce'a, który na czas choroby Vaila objął komendę nad poszukiwaniami. Ordynans właśnie golił swego pana.

- Przyjechał posłaniec - oznajmiła.

- Dokończysz za mnie? - spytał Pierce, idąc do drzwi. Przekazał jej brzytwę i dodał: - Tylko szybko, dopóki mydło nie wyschnie.

- Oczywiście, chętnie - odpowiedziała.

Kiedy odwróciła się do Nicka, ten z dziwnym zainteresowaniem zaczął się przyglądać palcom swoich rąk, splecionych na kolanach.

- Nie przejmuj się tym - odezwał się, jakby czytał w jej myślach. - Pierce dokończy golenia, kiedy wróci.

Z uporem wysunęła podbródek naprzód, zdecydowana nie okazywać po sobie, jak bardzo działała na nią jego bliskość.

- A co mi szkodzi spróbować? - zaproponowała wyzywająco. - Kiedy goli cię Pierce, wydaje się to śmiesznie łatwe, ale chyba tak nie jest.

Podłożyła mu rękę pod brodę, zwracając jego twarz do siebie i do światła.

- Nie bój się, dam słowo, że będę uważać. Nie powinieneś stracić ani kropli krwi więcej.

Kciukiem lewej ręki naciągnęła skórę na kości policzkowej Nicka, tak samo, jak robił to Pierce. Pociągnęła po policzku brzytwą, zdejmując warstwę piany mydlanej, a miała nadzieję, że wraz z nią również złote włoski zarostu.

Przez cały czas czuła miły zapach drzewa sandałowego, jakim pachniało mydło. Nie przytłumiło to jednak charakterystycznego i niepowtarzalnego zapachu skóry Nicka, stanowiącego mieszaninę czystości i męskości. Po-

dobnie kojarzył jej się dotyk jego stwardniałych palców, których zapach także pamiętała.

Przesunęła nieco kciuk i wykonała następne pociągnięcie brzytwą. Wśród złocistych włosów na skroni dostrzegła pierwsze srebrne pasma, których nie zauważyła przedtem, a co dziwnie ją poruszyło.

Wmawiała sobie, że jeszcze najwyżej dwa pociągnięcia i będzie mogła stąd uciec. Tłumaczyłaby się pewnie chęcią usłyszenia najnowszych wiadomości, chociaż Vail wiedział równie dobrze jak ona, że tacy posłańcy przybywali codziennie. Pierce odbierał od nich raporty o postępach poszukiwań, ale nie było widać, aby przynosiły jakiś rezultat.

- No, prawie gotowe - stwierdziła z satysfakcją, wycierając ostrze brzytwy o ręcznik, który Pierce przerzucił przez ramię księcia. Jednak głos jej zabrzmiał cienko i piskliwie, zdradzając emocje, jakie przeżywała.

Spojrzała w oczy Nicka. Tym razem nie próbował unikać jej wzroku. Mimo upływu lat oboje czuli się tak, jakby wrócili na murawę ocienioną krzewami porzeczek i sami, bez świadków, słuchali odgłosów nadchodzącego wieczoru.

Nie wiedziała, kiedy objęła dłońmi jego twarz, obwozując wargi kciukiem i śledząc jego ruchy.

Tak bardzo chciała go dotknąć, że skwapliwie zgodziła się na propozycję Pierce'a. Mogła przecież wymówić się nieumiejętnością czy brakiem wprawy, ale podjęła się golenia, bo pragnęła czuć bliskość Nicka. Liczyła, że tym

sposobem doprowadzi, żeby jego usta znów znalazły się na jej ustach, czyli tam, gdzie powinny być.

- Nick... - wyszeptała, mocniej przyciskając dłonie do jego twarzy, aby przyciągnąć ją bliżej i sprowokować pocałunek. Był w końcu jej mężem, więc bez względu na przeszłość, miała do niego prawo.

Mimo upływu lat wcale się go nie krepowała, bo pewnych rzeczy się nie zapomina. Wiedziała, jak odchylić głowę, żeby jedne wargi przylgnęły do drugich, toteż długo nie potrało, a jego język poszukał jej ust. Jej kobieca natura od razu odpowiedziała na tę podniecie. Nie dało się ukryć, że zawsze go pragnęła, a długie lata rozłąki tylko zaostrzyły tęsknotę.

Nick objął ją i pociągnął na swoje kolana, nie odrywając ust. Namiętny pocałunek trwał wystarczająco długo, aby rozwiać wszelkie wątpliwości. Nic się nie zmieniło, ona była jego żoną, a on jej pożądał.

Od razu powróciły wspomnienia, przesuwane się w jej pamięci jak światło słoneczne między koronami drzew na plantacji porzeczek. Przypomniała sobie pieszczoty jego rąk, obwodzących z wdziękiem i pewnością siebie jej kształty. Jego ciepłe wargi podążające śladem rąk, dochodzące do najbardziej ukrytych, najżywiej reagujących miejsc.

Nie miała wtedy żadnego doświadczenia w sztuce miłosnej, aż wreszcie Nick wprowadził ją w świat zupełnie nowych przeżyć. Czułymi dotknięciami i pocałunkami rozbudzał ją, ukazując jej nieznane światy. Tych lekcji nigdy nie zapomniała.

Jednak kiedy zamknął dłoń na jej piersi, delikatnie ją naciskając, Mary przypomniała sobie grube paluchy Traywicka, który ciągnął ją ku sobie za pierś, tak, aby sprawić jej ból, a nie zmysłową rozkosz.

Miejsce miłych wspomnień zajęły inne, odrażające obrazy: ohydna nagość kupca, jego obwisłe, oślizłe wargi czy ręce brutalnie miętoszające jej ciało. Sińce, które wtedy zostawił, dopiero teraz zbladły i pożółkły, ledwo widoczne na białej skórze jej piersi, poznaczonej błękitnymi żyłkami.

Nagle odrzuciła głowę do tyłu, konwulsyjnie łapiąc powietrze, jakby brakło jej tchu. Oparła ręce na ramionach Nicka i odepchnęła się od nich, schodząc mu z kolan i wyrывая z objęć, choć pamiętała, że to objęcia Nicka, nie Traywicka.

Takie wspomnienia nie powinny wbijać się klinem między nich. Mary chciała wszystko Nickowi wyjaśnić, ale jak mogła mu wyznać, że w jego ramionach odczuwa strach? Przecież to nie miało sensu. Czyżby ponosiła kolejną karę za to, co zrobiła, czy raczej próbowała zrobić? I czy to miało oznaczać, że koszmar Traywicka zawsze będzie powracał, ilekroć Nick zechce ją dotknąć?

- Mary? - zagadnął łagodnie, spoglądając na nią pytającym wzrokiem.

W końcu sama zorientowała się, że stoi obok krzesła, drżąc na całym ciele. Nawet nie próbując niczego tłumaczyć, uciekła z pokoju.

Vail nie zmrużył oka tej nocy, bo sen z powiek spędzało mu to, co dostrzegł w oczach Mary. Doszedł w końcu do wniosku, że był to strach. Albo powróciło wspomnienie bezecnych praktyk Traywicka, albo wciąż nie mogła wybaczyć mu zdrady. Miał przed oczami jej źrenice, tak rozszerzone, że tęczęwki stały się wąskimi, niebieskimi obwódkami. Przedtem jednak te oczy wyglądały zupełnie inaczej. Sama nachyliła się do jego ust, a w pocałunek włożyła całą siebie. Było w nim zaufanie i przebaczenie, pożądanie i miłość. Dopiero potem, kiedy tak nagle cofnęła głowę, w tych błękitnych oczach zobaczył coś, czego nie widział nigdy przedtem.

Pierce z uporem przekonywał go, że tylko jego duma stoi na przeszkodzie pełnemu pojednaniu z Mary. Prawie w to uwierzył, gdy jej usta pochylały się nad nim, jakby znów chciała mu się oddać. Pierce nie rozumiał jednak złożoności ich wzajemnych stosunków, na które nakładały się stare lęki, a także skutki szaleństwa Traywicka.

Jaki sens miałyby próby wyjaśniania tego, co działo się przez kilka koszmarnych miesięcy po bitwie pod Waterloo, jeśli ukochana kobieta nie była w stanie znieść nawet dotknięcia jego ręki? Czy potrafiłaby go jeszcze pragnąć, gdyby jej wyznał, że tylko z tchórzostwa przez tyle lat nie przyznawał się do niej?

Ledwo zaczęło świtać, Vail odrzucił kołdrę, ostrożnie wstał i ubrał się. Nie pierwszy raz w nocy próbował po cichu wstawać z łóżka, w tajemnicy przed Pierce'em, który trząsał się nad nim jak kwoka nad jedynym kurczęciem.

Vail wiedział jednak, iż czas ucieka, tym bardziej że dochodziły go wieści, jakoby ludzie wysłani w pościg za Traywickiem wpadli na jakiś ślad. Bóg jeden wiedział, jak gorliwie się o to modlił, więc chciał już do tego czasu odzyskać siły na tyle, aby móc włączyć się do akcji.

Przyzwyczał się do bólu na tyle, że przestał zwracać na niego uwagę. Bardziej niepokoiło go osłabienie spowodowane gorączką i utratą krwi. Tym bardziej więc, niepomny ostrzeżeń Pierce'a, korzystał z każdej okazji, aby sprawdzać, jak szybkie postępy robi w odzyskiwaniu sprawności. Dotąd nie wypuszczał się jednak poza swoją sypialnię.

Udało mu się zrobić dwa kroki, ale z ulgą przytrzymał się wysokiego oparcia krzesła. Chwyając się mebli, pokonał krótki odcinek drogi, prowadzący z pokoju do holu. Zauważył, że dawny pokój dziecinny stoi otworem. Pewnie spał tam Pierce i nie zamykał drzwi, aby słyszeć, gdyby jego pan krzyczał w nocy. Rozśmieszyła go ta nadmierne troskliwość wiernego sługi, ale wiedział, że u jej źródła leżała miłość.

Od czasu do czasu musiał opierać się o ścianę, ale jakaś tajemnicza siła ciągnęła go do pokoju, który przedtem zamieszkiwał jego syn. Zastłony na wysokim oknie przepuszczały dostatecznie dużo światła, aby mógł zorientować się w spartańskim wystroju tego pomieszczenia. Było w nim biurko z tabliczką łupkową, co świadczyło, że kiedyś ktoś odrabiał przy nim lekcje. Pod ścianą stało wąskie łóżeczko.

Te meble składały się na całe wyposażenie pokoju. Na kołkach wbitych rzędem nisko w ścianę nie wisiały żadne ubranka, a pod nimi nie stały buciki. Nigdzie nie widać było kolekcji niezwykłych dziecięcych skarbów, ani beci-ka, ani zabawek...

Kiedy Vail był w tym samym wieku, jego pokój pękał w szwach od zabawek, ekwipunku jeździeckiego, ptasich gniazdek, kamyków o dziwnych kształtach i kolorowych ptasich piór. Obaj z bratem znosili ze swoich niezliczonych eskapad nawet różnobarwne jesienne liście. Angielska prowincja były przecież prawdziwym rajem dla dzieci, w którym młodzi książęta używali do woli.

Nick jako pięciolatek przechowywał przedmiot, który według niego miał być zębem tygrysa. Dopiero Charles, z pobłażliwą wyższością typową dla starszych braci, nazwał go głuptasem i wytłumaczył, że w Anglii nie żyją tygrysy. Nick dobrze pamiętał rumieniec wstydu, jaki go ogarnął, kiedy zdemaskowana została jego niewiedza. Pamiętał jednak równie dobrze małe radości wieku chłopięcego.

Ale w tym pokoju nie było żadnych przedmiotów przynoszących dzieciom radość, pamiątek z wycieczek czy przygód. Pokój jego syna przypominał raczej celę więzienną. Zresztą podobny chłód i martwota panowały w całym domu, jak w wygasłym palenisku kominka.

Nick zaczął już zbierać się do wyjścia, żeby nie zbudzić Pierce'a i nie wysłuchiwać kolejnej reprymendy, kiedy promień wschodzącego słońca przebił się przez szczelinę

między zasłonami i odbił się od czegoś, co w palenisku kominka zabłysło jak złoto.

Lewą ręką przytrzymał się kominka i spróbował się schylić, żeby zobaczyć, co to takiego. Od razu jednak zagryzł wargi, gdyż odezwał się ból w niezagojonej ranie piersi i w starej ranie uda. Musiał też przy tym jęknąć, bo usłyszał, że człowiek śpiący na łóżku się poruszył. Zgiął się jednak na tyle, że mógł czubkami palców sięgnąć po to, co przyciągnęło jego uwagę.

Był to kawałek drewna, opalony i oblaźły z farby. Jednak ogień oszczędził niewielką powierzchnię pomalowaną na niebiesko i złoto, dzięki czemu można było rozpoznać fragment nogi drewnianego żołnierzyka. Nick starł kciukiem warstewkę sadzy, spod której wyrzał podwójny złoty lampas, błyszczący w pierwszych promieniach słońca.

Od razu przypomniał sobie słowa Mary, opisujące tego żołnierzyka. Był wtedy jeszcze w szoku, ale głos żony przebił się przez mrok i dotarł do jego przymglonej świadomości. Pamiętał, że była to jedyna zabawka chłopca.

Została po niej teraz tylko ta niedopalona resztką. Vail nie rozumiał, w jakim celu zniszczono tę zabawkę, ale wiedział już, ile zła i nienawiści tkwiło we właścicielu tego domu, więc mimo woli zląkł się o los swego syna. Nigdy nie widział chłopca, ale odkąd dowiedział się o jego istnieniu, celowo tłumził w sobie ojcowski instynkt. Dopiero widok pustego pokoju wstrząsnął nim do głębi, bo uświadomił mu, co stracił.

- Kto tam? - dobiegł spod ściany głos Mary. - A ty co tu robisz?

To nie Pierce, lecz Mary zajmowała ten pokój. To ona zostawiała otwarte drzwi, aby nasłuchiwać, czy czegoś mu nie trzeba.

Nie przypuszczał nawet, że będzie miało to dla niego taką wagę. To dlatego Pierce wytknął mu: „Ona pielegnowała pana jak dziecko”. Czyżby mimo wszystko zależało jej na nim? Zacisnął palce wokół swego znaleziska i chwytając drugą ręką za gzyms, podciągnął się do góry.

- Nie wiedziałem, że tu śpisz - wyznał szczerze. - Przyszedłem tu, bo chciałem zobaczyć... - Urwał, uświadomiwszy sobie, że to przez jego dumę chłopiec został pozbawiony takiego dzieciństwa, jakie miał on sam. Gdyby nie decyzja, jaką podjął siedem lat temu, miałby wpływ na życie swojego syna.

- Żeby zobaczyć, gdzie mieszkał, prawda? - dokończyła za niego Mary. Odgadła bezbłędnie, bo Nick ani na jotę się nie zmienił.

- Nic tu nie ma, Mary! Żadnych dziecięcych skarbów, liści, kamyków, piórek... Ja w tym wieku miałem nawet ząb tygrysa! - szepnął.

- Traywick zabraniał mu przynoszenia takich rzeczy do domu - wyjaśniła. - Myślę, że on nie lubił niczego związanego z naturą.

Było to tłumaczenie wymijające. W rzeczywistości Traywick zabraniał jej nawet zabierać Richarda na dwór. Próbowwała więc znaleźć inne sposoby wypełnienia chło-

pcu czasu wolnego od nauki. Opowiadała mu bajki lub czytała na głos, uczyła prostych, dziecięcych piosenek, nawet z podwieczorku potrafiła uczynić miły rytuał. Abigail pomagała jej w uprzyjemnianiu życia dziecku nękanemu rozlicznymi ograniczeniami. Nick miał rację, że ich syn był pozbawiony takiego beztroskiego dzieciństwa na wsi, jakie mieli i on, i Mary.

- Naprawdę nie było mu aż tak źle - próbowała się usprawiedliwiać, ale nie patrzyła mu w oczy, tylko na kape, którą po tylekroć czule otulała Richarda. - Robiłam, co mogłam, żeby miał swoje przyjemności. Na przykład bardzo lubił tego drewnianego żołnierzyka. Zawsze, kiedy nim się bawił, myślałam o tobie. Tak chciałam, żeby mógł poznać swego ojca!

W uszach zadźwięczały mu słowa Traywicka: „Dobry ojciec zawczasu myśli o przyszłości syna, nie tak jak ci, którzy bezmyślnie płodzą dzieci na prawo i lewo”. Rzeczywiście, bezmyślnie!

- Ja też pragnąłbym... - zaczął Nick i urwał. - Mary, kochanie, tyle rzeczy mogliśmy zrobić inaczej!

- Gdyby pragnienia były końmi... - przerwała mu z uśmiechem. Tak samo uśmiechała się do Richarda, kiedy musiała mu tłumaczyć, dlaczego nie dostanie tego, czego chciał.

Nick zauważył, że po jej policzku stoczyła się pojedyncza łza, a potem całe oczy wypełniły się nimi.

„... .to każdy żebrak byłby jeźdźcem”, tak brzmiała dalsza część tego przysłowia. Rzeczywiście, Nick w tym mo-

mencie czuł się żebrakiem. Na to mu przyszło, choć posiadał ogromny majątek. A jednak nie różnił się od żebraka, bo rozpaczliwie pragnął czegoś tak cennego, że nawet on nigdy dotychczas tego nie miał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Agenci Pierce'a szukali Traywicka po całej Anglii, ale dotąd nie natknęli się nawet na najmniejszy ślad. Jakby kupiec rozpułynał się w powietrzu. Mijał już kolejny tydzień, gdy wreszcie nadeszły wiadomości, na które wszyscy czekali.

Vail stał akurat w oknie salonu, wychodzącym na ogród od frontu, gdy nadjechał posłaniec. Najpierw przekazał swoje informacje Pierce'owi, więc Nick i Mary czekali ze strachem, ale i z niecierpliwością, aż wreszcie ordynans przybiegł do nich.

- Są nowiny! - obwieścił Pierce, stając w progu. W jego głosie pobrzmiwało podniecenie, więc księżę domyślił się, że ma do przekazania coś ważnego.

- Co takiego? - spytał, kątem oka patrząc na Mary, która odłożyła robótkę na kolana, próbując zachować spokój.

- W poniedziałek jakiś człowiek odebrał w londyńskim banku paczkę przeznaczoną dla Traywicka - zameldował Pierce. - Nasz informator zapamiętał, że miał tylko jedną rękę, a sądząc po stroju, był wieśniakiem.

- Bob Smithers! - krzyknęła Mary. - A Richarda z nim nie było? Czy ktoś w ogóle go widział?

- Nie było z nim żadnego chłopca. Ani wtedy, ani potem.
- Potem? - powtórzyła, licząc, że to może być jakiś ślad.
- Wczoraj widziano Smithersa także tutaj, na wsi.
- Ale nawet nie próbował wejść do tego domu! - zauważyła Mary, starając się coś z tego wszystkiego zrozumieć. - Jeśli wypełniał polecenie Traywicka, to chyba powinien zdać mu z tego sprawę?
 - Tak, ale na pewno po wsi już się rozniosło, że zajęliśmy dom kupca, a on sam uciekł.
 - Wiesz, co było w paczce, którą Smithers odebrał w Londynie? - zadała kolejne pytanie.
 - Co do tego nie mamy dokładnych informacji - przyznał Pierce.
 - Jak to, bankierzy z pewnością... - zaczęła, ale Pierce nie dał jej dokończyć.
 - Bankierzy mają obowiązek zapewnić swoim klientom dyskrecję. Jednak udało nam się przekupić jednego z kasjerów. Uważa, że Traywick wysłał Smithersa po odbiór pieniędzy zarobionych na transakcjach, które zlecił bankowi kilka tygodni temu.
 - Pewnie zawczasu zlikwidował nieobciążone aktywa, gdyż zagroziłem, że przejmę jego długi - domyślił się Vail.
 - Tak, to brzmi prawdopodobnie - zgodził się Pierce.
 - Dobrze, ale czy to pomoże nam w odnalezieniu Richarda? - dopytywała Mary.
 - Smithers pewnie znikł, gdy tylko usłyszał, co gadają we wsi. - Pierce kontynuował dramatyczny wątek, a Vail nie przerywał mu, gdyż wiedział, że prędzej czy później

musi dojść do sedna sprawy. Pozwalał Pierce'owi przeżywać chwile triumfu, gdyż zasłużył na to, więc ordynans z namaszczeniem celebrował każde słowo: - Skierował się na wschód, w stronę wybrzeża. Wysłałem już za nim konnych zwiadowców, choć na pewno będzie się starał unikać głównych traktów...

- Dlaczego na wybrzeże? - chciała wiedzieć Mary.

- Na pewno ma się tam spotkać z Traywickiem, który chce uciec za granicę! - tłumaczył łagodnie Vail, który zrozumiał plan przeciwnika. - A jeśli ten drań opuści terytorium Anglii...

Urwał, bo w oczach żony ujrzał panikę. Nagle zapanaowała cisza, którą przerwał głos Mary:

- Poczekajcie, bo to wcale nie musi być tak. Istnieje jeszcze jedna możliwość. Traywick ma dom nad morzem, gdzieś na południe od Deal.

- Moi informatorzy nie wspominali o żadnych nadmorskich posiadłościach Traywicka - zdziwił się Vail.

- Wiem, bo często wysyłał tam Smithersa - upierała się Mary. - Nieraz słyszałam, jakie dawał mu polecenia. Nie wiem, czy ten dom jest jego własnością, w każdym razie używał go od dawna i używa nadal.

- Jeśli to prawda, to pewnie czeka tam teraz na Smithersa! - podsumował Pierce. - Nic dziwnego, że nikt go nie widział. Siedzi sobie jak u Pana Boga za piecem i czeka, aż pieniądze same mu wpadną w ręce.

- Może znasz więcej szczegółów, Mary? - zapytał Nick.

- Wiem tylko, że ten dom leży nad morzem. Ale zaraz, on ma taką dziwną nazwę... Już wiem! „Labirynt Puszczyków” !

- „Labirynt Puszczyków”? - powtórzył Pierce. - Jak ktoś mógł...

- Zaraz, zaraz... Puszczyki? - Vail próbował coś sobie przypomnieć. - Na naszym wybrzeżu nazywają przemytników puszczykami, ponieważ porozumiewają się, używając krzyku sowy. Nic dziwnego, że ta posiadłość nie została ujęta w spisie nieruchomości należących do Traywicka.

- Pan pułkownik myśli, że nasz kupiec trudni się przemytem?

- Możliwe, ale teraz najważniejsze...

- To dostać się tam! - dokończył Pierce. - Nie powinniśmy mieć kłopotów z odnalezieniem tego domu. Taką dziwną nazwę musi znać więcej ludzi.

Wybiegł z pokoju, aby czym prędzej rozpocząć przygotowania do podróży. Nick gorzko sobie wyrzucał, że nie udusił Traywicka, kiedy trzymał go już za gardło. Teraz zaś wydawało się całkiem prawdopodobne, że z chwilą, kiedy Smithers przywiezie pieniądze, ten łajdak zniknie na kontynencie europejskim.

Wolał nie myśleć o takiej ewentualności, nie chciał też zdradzić się przed Mary ze swymi obawami. Nie mógł też składać jej kolejnej pustej obietnicy, że odnajdzie chłopca. Sam bowiem nie był już tego tak pewien, gdy dowiedział się, że Traywick przyczaił się gdzieś

nad brzegiem kanału La Manche i tylko czeka na stosowny moment.

Vail uparł się, że weźmie udział w wyprawie, choć nie doszedł jeszcze do siebie, a pogoda wkrótce miała się pogorszyć. Nawet nie brał pod uwagę, że mógłby zostać w domu.

- Nie ma żadnej dyskusji! - zapowiedział Pierce'owi, przeszywając go spojrzeniem.

Mimo to Pierce próbował wyperswadować mu wyjazd, dopóki Mary nie położyła mu ręki na ramieniu.

- Daj spokój, i tak nic nie zwojujesz - poradziła. - Lepiej pomóż mu się ubrać. Wiesz przecież, że on nigdy nie zrezygnuje.

Jej oczy napotkały spojrzenie ordynansa, w którym odczytała zawód i strach. Wiedziała jednak, że sama też za nic nie pozostałaby z dala od tych wydarzeń. Determinacja Vaila dawała jej pewną pociechę, gdyż nie myliła się przynajmniej co do tego, że on nie mniej niż ona sama pragnie odnaleźć swojego syna.

Wszyscy wiedzieli, że trzeba się spieszyć, ale ze względu na zdrowie księcia Pierce zaplanował podróż etapami. Jednak Vail i tak odwołał większość wydanych przez niego dyspozycji, między innymi zrezygnował z eskorty zbrojnych jeźdźców. Mieli jechać tylko we trójkę, jak najszybciej i z zachowaniem jak największej dyskrecji, aby zaskoczyć Traywicka.

Wynajętym powozem zaprzężonym w czwórkę koni

tlukli się najpierw po drogach głównych, dobrze utrzymanych, dopóki deszcze nie przemieniły ich w grzęzawisko. Na każdej stacji pocztowej zmieniano konie, ale warunki jazdy pogarszały się, opóźniając tempo jazdy. Zdążyło się ściemnić, zanim dotarli nad morze.

Nick wydał dokładne rozkazy, toteż mimo zmierzchu woźnica wciąż poganiał konie, zatrzymując się tylko na tak długo, ile czasu trzeba było służbie stajennej dla zmiany zaprzęgu. Nie troszczył się o wygodę pasażerów.

Jednak Mary, obserwując zaciśnięte wargi Nicka i jego wysiłki, aby bez zwracania na siebie uwagi przybierać wygodną pozycję, domyśliła się, jak bardzo cierpi. Chętnie zaproponowałaby mu, aby oparł się o nią, ale nie była pewna, czy przyjąłby taką propozycję.

Po długich godzinach bliskości w pojeździe Mary była zanadto zmęczona, aby panować nad swoimi uczuciami. Zarówno nad instynktownym pragnieniem otaczania opieką człowieka, którego kochała, jak i nad strachem, że u celu podróży nie znajdą Traywicka ani Richarda. Potrzebowała Nicka, aby podniósł ją na duchu, a on do tego samego potrzebował jej.

Pierce siedział naprzeciw nich, ale w zapadających ciemnościach jego twarz stała się ledwo widoczna. Mary myślała więc, że i on ich nie widzi, a jeśli nawet, nie dbała o to. Nawet gdyby Nick ją odtrącił, musiała spróbować. Przysunęła się więc do niego, rozsiadając się wygodniej. Nie podnosiła wzroku, ale i tak wyczuła, że zwrócił głowę w jej stronę.

Nick też się przesunął i przez chwilę serce Mary zamarło z lęku, że chce odsunąć się od niej. Tymczasem otoczył ją ramieniem i przycisnął do siebie. Ustami lekko dotknął jej włosów. Nic nie mówił, ale słowa nie miały żadnego znaczenia. Mary nie potrzebowała już wyjaśnień. Liczył się tylko Nick i to, że jest przy niej.

Odważyła się wreszcie wsunąć dłoń w jego dłoń, a on splótł z nią swe palce. Z rozkoszą przymknęła oczy i odchyliła się do tyłu, opierając głowę na jego ramieniu. Ostatni, najcięższy odcinek drogi przebyli więc razem.

Pierce słusznie przewidywał, że odnalezienie domu nie sprawi im żadnych trudności. Staruszek, którego zaczepili na peryferiach Deal, nie miał wątpliwości, gdzie znajduje się posesja o dziwnej nazwie.

- Tak, proszę łaski pana - oświadczył, zdejmując czapkę, gdy Pierce wychylił się do niego z okna powozu. - Wiem, gdzie jest ten „Labirynt Puszczyków”, ale to nie dobre miejsce, zwłaszcza dla obcych. Nie ma się tam po co pchać, jeśli pan dobrze mnie rozumie.

Udzielił jednak wskazówek na tyle dokładnych, że po pół godzinie woźnica osadził czwórkę koni przed wielką budowlą.

Istotnie, potężna bryła majająca na tle wieczornego nieba sprawiała odstręczające wrażenie. Dom wydawał się opuszczony, a wiodąca do niego błotnista, kręta droga nie zachęcała do jazdy.

- Jeśli to ma być tutaj, chyba przyjechaliśmy za późno

- zauważył Pierce. - Dom wygląda na niezamieszkały, i to od dłuższego czasu.

- Może to tylko pozory - podsunął Nick. - Jeśli Traywick się tu ukrywa, zależy mu, żeby nikt niczego nie podejrzewał.

- Módlmy się, żeby on tu był - szepnęła Mary, bo tym właśnie zajmowała się przez długie godziny jazdy. Modliła się, żeby Traywick nie zdążył jeszcze uciec na kontynent, żeby Richard był w tym domu i żeby nic mu nie groziło.

Nick ścisnął ją za rękę. Stał się cud i oddzielające ich niewidzialne bariery, które jeszcze przed kilkoma dniami wydawały się nie do przełamania, wreszcie zaczęły powoli pękać.

- Czy mam zapukać, panie pułkowniku? - spytał Pierce, kiedy stali już przed głównym wejściem. Z bliska dom wydawał się równie opustoszały

- Nie, po co mamy ich ostrzegać, że tu jesteśmy? - sprzeciwił się Vail. - On i tak dowie się o tym szybciej, niż myślimy.

Podniósł z ziemi kamień, zważył go w dłoni i rzucił w grubą szybę staromodnego okna. Szkło stłukło się i poleciało do wewnątrz, ale wśród szumu wiatru i deszczu hałas okazał się mniejszy niż Mary przypuszczała. Przez wybitą dziurę Nick wsadził rękę, namacał okienną klamkę i otworzył okno.

- No, Pierce, pewnie ty będziesz miał zaszczyt wejść

do środka pierwszy! - Uczynił zapraszający gest w stronę swojego ordynansa.

- Wasza wysokość życzy sobie, żebym włąził nocą do cudzego domu jak złodziej? - udał oburzenie Herce, ale po chwili przełożył ręce przez parapet okienny i zręcznie podciągnął się do środka. W ciągu kilku sekund otworzył od we wewnątrz drzwi frontowe, aby Vai! i Mary mogli wejść.

Przywitał ich odór stęchlizny i zepsutych potraw.

- Jak myślicie, znajdziemy tu jakąś lampę? - zagadnął Vail.

Na szczęście, mimo ciemności, Pierce znalazł krzemień. Skrzesał nim ogień i zapalił świece tkwiące w poczerniałych, srebrnych kandelabrach na stole w holu. Jednak nawet w ich świetle domostwo nie przedstawiało się ani trochę korzystniej. Każde mijane pomieszczenie wyglądało tak samo i sprawiało przygnębiające wrażenie. Ze ścian płatami oblażyły pochłapane wodą tapety, a dywany tak pociemniały od brudu i wilgoci, że trudno było rozpoznać wzór. Toporne meble okrywały zapełniałe pokrowce, i nawet najmniejszy ślad nie wskazywał na obecność mieszkańców.

- Nikogo tu nie ma i nie było już od dłuższego czasu!
- stwierdziła z rozpaczą Mary, kiedy doszli do tylnych partii domu.

Szerokie okna wychodziły na zapuszczony ogród, skąd wąska ścieżka prowadziła na skraj klifu, a stamtąd nad samo morze. W świetle księżyca widać było, jak białe grzywy fal rozbijały się o wąski skrawek plaży, najeżony sterzącymi skałkami, mokrymi od deszczu i wody morskiej.

- Może poszukamy na górze? - zaproponował Pierce, spoglądając na Vaila, który ciągle jeszcze wyglądał przez okno.

- Prędzej coś znajdziemy na dole - odpowiedział z uśmiechem.

- Na plaży? - rzucił zaskoczony Pierce.

- Zapomniałeś, jak to się nazywa? „Labirynt Puszczyków"! Idę o zakład, że najbardziej interesująca część budynku mieści się pod nami.

- W piwnicach? - próbowała zgadnąć Mary.

- Tak, a nawet jeszcze niżej. To stara sztuczka przemytników, którzy przebijali tunele prowadzące z odludnego miejsca na wybrzeżu do piwnic budynku, w którym uprawiali swój nieczyny proceder. W kredowych skałkach łatwo wybić takie tunele, więc przechowywali w nich szmuglowany towar.

- Więc na to Traywickowi potrzebny był ten dom! Żeby w nim ukrywać kontrabandę? - domyślił się Pierce.

- Tak, przecież jest kupcem, a w ostatnich piętnastu latach miał szczególnie wysokie dochody, mimo ciężkiej sytuacji gospodarczej po wojnie - przyznał Vail.

- Więc osiągał je nielegalnie! - skonstatowała Mary. Wiadomość ta wcale jej nie zaskoczyła, bo wiedziała, że Traywick nie zawahałby się złamać prawa, jeśli przyniosłoby mu to zysk.

- W tych stronach przemysł dla wielu ludzi stanowił główne źródło dochodów, a przemytników częściej podziwiano niż pogardzano nimi - wyjaśnił Vail. - Dzięki woj-

nie ci, co trudnili się kontrabandą już od lat, wzbogacili się jeszcze bardziej.

- Przecież wzdłuż tego wybrzeża jest pełno garnizonów!
- dziwił się Pierce. - Uważa pan pułkownik, że Traywick działałby pod samym nosem wojska?

- Tutejsze załogi miały za zadanie ochronę wybrzeża przed flotą Napoleona, nie przed przemytnikami. Wojsko tym się nie zajmowało.

- Nawet jeśli masz rację, to jak dostaniemy się do tych tuneli? - spytała Mary.

- Wejście musi znajdować się wewnątrz domu, ale nie myślcie, że łatwo je znajdziemy. Budowniczy tego domu nie był głupi.

Tym, kto znalazł tajemne wejście, był oczywiście Vail. Znajdowało się za płytą boazeryjną w jadalni. Kiedy ją odsunął, drzwi łatwo ustąpiły. Pierce podniósł lichtarz i poświecił w głąb otworu.

Za drzwiami zaczynały się schody wycięte w tej samej skale, na której został zbudowany dom. Prowadziły w dół, dalej niż sięgało światło świec. Nawet w tej odległości od morza na kamiennych ścianach błyszczały krople wody, ale powietrze w korytarzu wydawało się czystsze niż we wnętrzu domu.

- Pójdę tam! - zdecydował Pierce. - A wy tu czekajcie, aż sprawdzę, co jest na dole.

- Nawet o tym nie myśl - wycedził ściszym głosem Vail.

Zanim Pierce zdążył zaprotestować, wyjął mu świecz-

nik z ręki i zaczął schodzić po stromych schodkach, wolną ręką przytrzymując się wilgotnej ściany. U szczytu schodów w ścianie tkwił metalowy uchwyt na pochodnię, ale teraz był pusty.

Pierce musiał więc znów iść za Vailem. Schodząc z pierwszego stopnia, obejrzał się na Mary. Wiedziała, że obaj woleliby, aby poczekała w bezpiecznym miejscu na górze. Nie miała jednak zamiaru zostawać w tyle, bo chciała brać udział w poszukiwaniach od początku do końca. Nie była pewna, co zrobić z drzwiami do tajnego przejścia, ale na wszelki wypadek zostawiła je otwarte i ruszyła w ciemność.

Za którymś zakretem schodów powietrze stało się chłodniejsze. U ich końca znajdowało się pomieszczenie wykute w kredzie. Stał tam stół zastawiony brudnymi naczyniami, a pod ścianą wąska prycza. Po przeciwnej stronie izby piętrzyły się stosy drewnianych skrzyń. Widać było, że nie przechowywano ich tu długo.

Vail chciał dokładnie się im przyjrzeć, więc postawił świecznik na piramidce skrzyń, a leżącym nieopodal łomem odbił wieko w jednej z nich. Światło świec odbiło się zaraz w grubym, zielonym szkle butelek.

- Koniak? - spytał Pierce.
- W każdym razie jakieś mocne trunki.
- Embargo na francuskie alkohole już nie obowiązuje.
- Tak, ale podlegają ocłeniu, można więc zarobić więcej, gdy przywozi się je nielegalnie.
- Chodźcie tu! - syknęła Mary.

- A co ty tam robisz? - zainteresował się Vail, ponieważ Mary wciąż stała przy schodach.

- Patrzcie, co znalazłam! - odpowiedziała, podnosząc w górę pochodnię. Musiała wypaść z uchwytu u szczytu schodów, bo leżała w cieniu rzucanym przez najniższy stopień. Nawet w półmroku dała się zauważyć smuga białego dymu, unoszącego się z czubka pochodni i porywanego przez prąd chłodnego powietrza, który poczuli zaraz po wejściu do groty. Dym snuł się powoli obok Pierce'a i Vaila, znikając poza kręgiem światła świec.

- Ktoś tu był zaledwie na chwilę przed nami - stwierdziła Mary.

Vail podniósł świecznik i ruszył śladem smugi dymu. Doprowadziła go do kamiennej ściany pokrytej wilgocią, która połyskiwała w płomykach świec. Najwyraźniej tu kończyła się wykuta w skale podziemna grota.

Mary nie rozumiała, dlaczego Vail nie zmienił kierunku marszu, tylko podniósł światło wyżej i powoli, z wielką uwagą, obmacywał ścianę. W którymś miejscu płomyki świec zaczęły się chwiać i nachylać do wewnątrz. Świadczyło to o istnieniu szczeliny w skale, która, jak się okazało, biegła pionowo względem korytarza. Vail na tyle dokładnie, na ile było to możliwe przy tak kiepskim świetle, prześledził jej przebieg, a potem oddał świecznik Pierce'owi i zaczął wodzić dłońmi wzdłuż szczeliny. Najwyraźniej szukał czegoś i znalazł to, gdyż jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cały fragment ściany

rozsunął się do wewnątrz. Za otworem ciągnął się wąski tunel, wychodzący prosto w morze.

Vail odwrócił się do swoich towarzyszy, ostrzegawczym gestem kładąc palec na ustach. Potem wziął świecznik od Pierce'a i poprowadził ich w głąb tunelu.

Zejsście tą drogą było trudniejsze niż po schodkach, bowiem tunel co i rusz zaczynał stromo opadać, a kilka razy niespodziewanie się rozwidlił, stawiając Vaila przed wyborem jednej z dwóch identycznych odnóg. Od czasu do czasu na murze pojawiały się jakieś dziwne znaki. Vail przyglądał się im przy świetle świec, ale nie rozpoznał ich znaczenia. Mogły stanowić fragmenty szyfru, ale i tak ich nie rozumiał, więc przestał zwracać na nie uwagę. Doszedł tylko do wniosku, że nazwa „Labirynt Puszczyków” została dobrana wyjątkowo trafnie.

Zastanawiał się, jak daleko od domu odeszli i dokąd sięga fala przyływu, sądząc bowiem po kącie nachylenia podłoża, zdążyli już zejść głęboko do wnętrza klifu, a jeśli wylot tunelu rzeczywiście sięgał w morze, wysoka fala mogła okazać się niebezpieczna.

Wydawało mu się, że wyraźniej słyszy szum morza, a w powietrzu było coraz więcej wilgoci. Odczuwał pieczenie w świeżej ranie na piersi i ból starej rany uda, mogący być wynikiem zarówno wilgotnego powietrza, jak nadwreżenia mięśni na stromiznach tuneli. Wierzył jednak, że tak jak przypuszczała Mary, ktoś przechodził przez ten labirynt zaledwie chwilę przed nimi. Jeżeli nie mylili się sądząc, że tu mieściła się kryjówka Traywicka, mieli szansę nie dopuścić, aby wydostał się z Anglii.

Nick doszedł właśnie do kolejnego rozgałęzienia korytarza i zatrzymał się na chwilę dla złapania oddechu, bezwiednie rozcierając bolący mięsień uda. Nagle ze wszystkich stron rozległ się dziwny, stłumiony odgłos, jakby coś szturmowało ściany od zewnątrz i wprawiało w drżenie skaliste podłoże pod nogami.

Wiedział jednak, że nie był to zwykły szum morza, ale coś, co słyszał już przedtem. Znał ten dźwięk, ale na razie nie kojarzył mu się z niczym konkretnym. Rozpoznał go dopiero wtedy, gdy nagle spod nogi trysnął mu strumyczek wody.

Dźwięk ten przypominał odgłos podnoszonego mostu zwodzonego lub bramy twierdzy, w każdym razie jakiegoś ciężkiego obiektu podciąganego przy użyciu kołowrotu.

- Co to, do diabła, ma znaczyć? - szepnął Pierce.

Vail odwrócił się i światło niesionych przez niego świec odbiło się w kropelkach wody rozsianych we włosach Mary. Zabłyśły jak diamenty, a Nick tylko się modlił, żeby wyraz jego twarzy nie zdradził strachu.

- Ktoś otworzył wrota śluzy - wyjaśnił.

- Po co? - nie zrozumiała Mary.

- Aby woda zalała tunele.

- Z morza? - spytał Pierce.

- Nie, bo podchodzi z przeciwnej strony. To stojąca woda, która podsiąka z bagna albo z rzeki przegrodzonej tamą. Musisz za wszelką cenę wyprowadzić stąd Mary. Bierz świece i wracaj tą samą drogą.

- Panie pułkowniku, ale ja nie pamiętam, jak szliśmy!

- Nieważne, byle z powrotem, żeby wydostać się nad poziom wody. No już, zaczynajcie się wspinać!

- A pan, panie pułkowniku? - spytał Pierce. Vail już wepchnął mu świecznik do ręki, ale po pytaniu ordynansa odebrał mu jedną świecę.

- Nie dam rady wspinać się tak szybko. Postaram się dotrzeć do morza.

Prawda jednak była inna. Vail nadal liczył, iż zatrzyma Traywicka.

- W takim razie idziemy z panem - postanowił Pierce, choć nawet w ciemności widać było jego bladość.

- Jak, skoro nie umiesz pływać? - przypomniał mu Vail.
- Mary zresztą też nie umie. Wy idźcie górą, a ja dołem. Musi być jakaś ścieżka prowadząca z wierzchołka klifu na plażę. Kiedy znajdziecie ją, dołączycie do mnie.

- Chyba nie myślisz, że możesz popłynąć... - zaczęła Mary, ale woda podeszła im już pod nogi.

- Teraz! - rozkazał Vail.

Pierce nieczęsto słyszał taki ton w ustach swego pana, ale zbyt długo służył w wojsku, aby nie posłuchać rozkazu, szczególnie wydanego w ogniu walki. Schwycił Mary za ramię i mimo jej protestów pociągnął ją w górę tunelu, zostawiając Vaila samego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Vail zaczął biec, choć z żalem musiał przyznać, że nie był już tak zwinny jak w młodości. A jednak, mimo niesprawnej nogi i znacznego nachylenia korytarza, posuwał się dość szybko. Modlił się, aby Pierce zdążył wyprowadzić Mary z tunelu, nim poziom wody niebezpiecznie się podniesie. Z drugiej strony modlił się także z ponurą zawziętością, żeby zdążyć dotrzeć do plaży i zatrzymać Marcusa Traywicka.

Woda przybierała szybciej, niż myślał. Wkrótce sięgała mu już powyżej kolan, napierając od tyłu. Raz już upadł, gdyż chora noga ugięła się pod nim. Masy słonawej wody przewaliły się nad nim, jednak szybko podciągnął się do góry.

Jednak najgorsze ze wszystkiego było to, że zgubił świecę. Został uwięziony w tunelu, w którym panowały egipskie ciemności.

Poziom wody wciąż się podnosił, sięgała mu już do pasa. Nick zastanawiał się właśnie, czy starczy mu sił na następny krok, kiedy doszedł do wniosku, że jest piramidalnie głupi! Wystarczyło przecież podciągnąć kolana w górę, aby dać się unieść prądowi. Wysunął ramiona

przed siebie i bystra woda sama poniosła go w dół, w stronę morza.

Wprawdzie jego ramiona przyjęły na siebie impet niespodziewanych zawirowań i nagłych skrętów w rozwidleniach tunelu, których w ciemności nie mógł zawczasu dostrzec, ale zawsze było to lepsze niż borykanie się z masami wody napierającymi od tyłu. Było lepsze, dopóki nie zaczął szorować głową o strop tunelu, co oznaczało, że przejście było już całkowicie zatopione. Obrócił się twarzą na bok, aby nabrać w płuca dużo powietrza i zaczął płynąć resztkami sił, jak najszybciej, choć ramiona wydawały mu się coraz cięższe.

W końcu nadeszła chwila, kiedy Vail poczuł, że musi otworzyć usta i spróbować zaczerpnąć powietrza, choćby to miało oznaczać pewną śmierć. W tym momencie jego ciało podskoczyło na fali jak korek i nagle mógł podnieść głowę, a do jego płuc dostało się chłodne powietrze. To wydało mu się cudem.

Oczy piekły, ale mimo wszystko próbował zobaczyć cokolwiek w otaczających go ciemnościach. Zorientował się, że wpłynął do kolejnej komory wykutej ludzką ręką. Ta jednak nie miała przedniej ściany i wychodziła bezpośrednio na plażę. Prąd wody, który przyniósł Nicka aż tutaj, rozbijał o nadchodzącą falę przyływu. Kiedy po raz drugi podniósł głowę, zobaczył łódź tańczącą po wzburzonym morzu.

Łódź nie miała żagla, a wiosłujący człowiek borykał się z falą przyływu, która zносиła go z powrotem do brze-

gu. Plaża prawie znikła pod wodą, a prąd, który wyniósł Nicka na zewnątrz, prowadził go prosto pod fale. Dobrze, że mógł rozróżniać wystające skałki, gdyż woda rozpryskiwała się wokół nich na białą pianę. Nie udało mu się tylko ominąć jednego głazu, który wyrósł znienacka tuż przed nim. Zdążył tylko obrócić się na bok, wskutek czego otarł się o skałkę plecami.

Rozgarnął rękami wodę, aby dostać się na grzbiet następnej fali. Korzystając z chwil, kiedy mógł podnieść głowę, przyjrzał się dokładnie łodzi. Było to niewielkie czółenko rybackie, z trudnością mieszczące zaledwie dwóch ludzi.

Wpadając w bruzdę między dwiema falami, na chwilę stracił łódkę z oczu, zdążył jednak zarejestrować kilka istotnych szczegółów. Wiosłował tylko jeden pasażer, człowiek obfitej tuszy, zgięty w kabłak z wysiłku. Drugi mężczyzna siedział plecami do łądu i trzymał ster. Jak bowiem miał wiosłować jedną ręką? Jasne, że w łodzi znajdowali się Smithers i Traywick.

To odkrycie wstrząsnęło Vailem i dodało mu sił. Jeszcze przed chwilą ramiona ciążyły mu jak kamienie, a już z nową energią zaczął młócić nimi wodę.

Nie próbował lokalizować łodzi, tylko płynął naprzód, zdając się na Opatrzność, która, miał taką nadzieję, nie na darmo przywiodła go tutaj.

Płynął wytrwale mimo bólu i zmęczenia. Miał nadzieję, że uda mu się zatrzymać łódź, chociaż nie bardzo wiedział, co robi, jeśli mu to się uda. Jasne dla niego było

tylko to, że Traywick ucieka, a wraz z nim wymyka się możliwość odzyskania syna.

Mało brakowało, a w ciemnościach minąłby łódkę, zaalarmował go jednak okrzyk przerażenia, jaki wyrwał się z ust kupca, jak również sylwetka łodzi, która zasłoniła mu widok nieba. Jakimś cudem Nickowi udało się przerzucić rękę przez burzę i zacisnąć na niej palce. Spróbował wtedy dokonać rzeczy pozornie niemożliwej: chciał wyciągnąć całe ciało z wody i przerzucić je do wnętrza łodzi.

- Puszczaj, nędzniku! - wrzasnął Traywick, choć wiatr i deszcz zagłuszały jego słowa.

Nick nie zważał na jego krzyki. Podciągnął się już do połowy, choć boleśnie się przy tym uraził w świeżo zagojoną ranę na piersi. Z kolejną falą spora porcja wody wlała się do wnętrza łodzi przez obciążoną burzę, grożąc jej zatopieniem. Z wisielczym humorem musiał przyznać, że byłoby to lepsze rozwiązanie niż przedostanie się do środka. Gdyby zdołał wepchnąć Traywicka do wody, łatwiej przyholowałby go do brzegu i zmusił do mówienia.

- Puszczaj! - ryknął przerażony Traywick.

Odrzucił jedno z wiosł na dno łódki, a drugim próbował odepchnąć Vaila, ten jednak uczepił się burty jak kleszcz. Łódka zakołysała się jeszcze mocniej, a następna fala wlała do jej wnętrza nową porcją wody.

- Proszę pana, niech pan się nie rusza, bo łódź tonie!
- zawołał Bob Smithers, mocując się z opornym sterem.

- To on chce nas zatopić! - wrzasnął Traywick, a jego

zniekształcona twarz wykrzywiła się złością. - Pomóż mi go się pozbyć!

Były żołnierz, przyzwyczajony do słuchania we wszystkim swojego pana, zostawił ster i zaczął posuwać się do przodu. Spowodowało to gwałtowny przechył łódki dziobem w dół, a wtedy Smithers stracił równowagę i upadł na siedzenie.

- Ty ofermo! - ofuknął go Traywick i wstał, by wiosłem uderzyć księcia w głowę.

- Uważaj pan! - krzyknął Smithers.

Stary wiarus przez tyle lat bez szemrania wykonywał polecenia Traywicka, nie bacząc na ich zgodność z prawem i moralnością, ale nie był przygotowany na współudział w morderstwie. Tym bardziej, że miał to być mord dokonany na bezbronnym człowieku.

Nick w porę spojrział w górę, by dojrzeć spadające pióro wiosła, które wydało mu się monstrualnie wielkie. Od-ruchowo oderwał jedną rękę od burty i osłonił się nią. Wiosło spadło na przedramię, które zdretniało od uderzenia. Wstrząs był tak silny, że palce drugiej ręki rozluźniły swój uchwyt i Vail wpadł do morza.

Równocześnie Smithers rzucił się, aby powstrzymać Traywicka, który zamierzył się wiosłem również na swojego wiernego sługę. Machając w bok jak kosą, trafił go w brzuch i także strącił do wody, tylko po przeciwnej stronie łodzi.

Traywick nie oglądał się i obojętny był mu los ludzi, których wrzucił w chłodną, czarną toń kanału La Manche.

Podniósł drugie wiosło i zaczął wiosłować, próbując przeprowadzić łódkę przez wzburzone morze ku bezpiecznym brzegom Francji.

Pierce i Mary, jak dwie pechowe myszki ścigane przez doświadczonego kota, próbowali czym prędzej wydostać się z labiryntu podziemnych tuneli. Od wspinaczki Mary drżały nogi, ale Pierce nie chciał zatrzymać się nawet na krótki odpoczynek, choć wydostali się już powyżej poziomu wody.

- Pułkownik kazał, żeby iść górą! - dyszał, ciągnąc ją za ramię. - A jak pułkownik każe, tak ma być, bo on wie, co mówi. Może obawiał się, że woda podejdzie nawet na tę wysokość...

Urwał, bo zabrakło mu tchu, ale nie musiał kończyć, bo Mary wiedziała, o co chodzi. Pamiętała, że Vail polecił im najpierw wydostać się na samą górę, a potem zejść na plażę, gdzie mieli się spotkać. Ożywiona tą nadzieją, ostatkiem sił kontynuowała wspinaczkę mimo nieznośnego bólu w łydkach.

Wprawdzie często trafiali w niewłaściwe korytarze, ale w końcu znaleźli ukryte w skalnej ścianie drzwi, które prowadziły do grotty z przemycanym towarem. Dopiero tam Pierce pozwolił na krótki odpoczynek, więc ciężko dysząc, Mary osunęła się na skrzynki. Zaraz jednak dotknął jej ramienia i wskazał, aby szła naprzód po krętych schodach wiodących w górę. Sam tymczasem zostawił w komorze świecznik, a zapalił pochodnię. Początkowo

ledwo się tliła, ale kiedy już wspięli się wyżej po wykutych w skale schodkach, silny prąd powietrza spowodował, że zapłonęła jaśniej.

Zanim Mary dojrzała do ukrytego pod przesuwaną płytą wejścia do jadalni, Pierce wybiegł na dwór przez drzwi od frontu. Słyszała, jak krzyczał coś do woźnicy, który przez cały czas czekał na nich u podnóża góry. Z tej odległości, przy wyjąłym wietrze, nie rozróżniała słów, ale przyzywający gest ręki Pierce'a był jednoznaczny. Mary widziała z okna, jak stangret ściągnął lejce i zaprzęg zaczął mozolnie pokonywać tę samą błotnistą drogę, którą uprzednio we trójkę przebyli piechotą. Pierce nie czekał, aż powóz dojedzie pod górę, tylko przeszedł na drugą stronę domu i zaczął zbiegać po ścieżce wzdłuż krawędzi klifu, od czasu do czasu zatrzymując się, aby popatrzeć w dół. Wreszcie zszedł poniżej krawędzi i zniknął z pola widzenia.

Mary pobiegła za nim, nie zważając na ból nóg i klucie w piersiach. Zanim doszła do miejsca, w którym straciła z oczu Pierce'a, przemoczone spódnice przylepiły się jej do kostek i łydek. Zatrzymała się więc na chwilę u szczytu klifu, aby zebrać nasiąkniętą wodą fałdy, by nie kępowały ruchów.

Z góry widziała, jak Pierce zbiega po stromych stopniach wyciętych w kredzie. Poniżej rozciągała się szarozielona tafla morska, której kolor zamazywał siąpiący bezustannie deszcz. Pośrodku tego bezmiaru wód widać było podskakujący na falach ciemny punkcik łodzi. Od razu uznała, że to Traywick.

Wycierając oczy ze strug deszczu stwierdziła z przera-

żeniem, że w wodzie jest jeszcze jeden człowiek. Czyżby to był Nick? O Boże, tylko nie to! Przecież ściganie uciekającego kupca wpław to czyste szaleństwo. Jednak im uważniej się przyglądała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że szamocząca się w wodzie postać ludzka zmierza nie w kierunku łodzi, tylko plaży.

Na miękkich nogach zaczęła schodzić w dół. Znowu pomyślała o Nicku, ale kiedy zatrzymała się w pół drogi, aby, osłaniając oczy przed deszczem, spojrzeć jeszcze raz na morze, nie zobaczyła tam nic więcej poza łódką, która robiła się coraz mniejsza.

Zanim Pierce doszedł do podnóża klifu, fale wdzierały się już na najniższe stopnie. Kiedy biegł po kamienistej plaży, woda pluskała mu już pod nogami. W pewnej odległości ujrzał, jak dwóch mężczyzn z trudnością wygrabiło się na brzeg, ociekając wodą. Zanim Pierce zrównał się z nimi, jeden z nich potknął się na przybrzeżnej płyciźnie i osunął na kolana.

- Pułkowniku, na Boga, co z panem? - krzyknął Pierce. Od razu rozpoznał drugiego człowieka, gdyż miał on tylko jedną rękę. Pochylony nad swoim towarzyszem, ciężko dyszał, aż wreszcie zaniósł się kaszlem. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, a z ust wytrysnął strumień wody morskiej.

Im bliżej Pierce do nich podchodził, tym bardziej się upewniał, że to Vail klęczy w wodzie. Zaczął biec do niego, ale zanim dotarł, Vail poleciał twarzą w wodę. Wierny

ordynans ukląkł przy nim i podciągnął go do pozycji siedzącej, podtrzymując pod ramiona.

- Co się stało pułkownikowi? - rzucił pytanie w kierunku Boba Smithersa.

- Traywick uderzył go wiosłem - wydyszał inwalida.
- Kiedy chciałem go powstrzymać, wypchnął mnie z łodzi. Jeszcze i mnie rąbnął w brzuch, aż mnie zatkało. Byłbym utonął, gdyby ten pan nie podtrzymał mi głowy nad wodą.

Pierce rzucił okiem na morze, ale łódź, którą Vail chciał zatrzymać, rozplynęła się już w ciemnościach i deszczu. To nic, wyśle się za nią pogoń, która będzie kontynuować poszukiwania także na terenie Francji. Już on tego dopilnuje, byleby miał pewność, że Vailowi nic nie grozi.

- Panie pułkowniku...

- Musimy mieć Traywicka, i to żywego. Goń go, Pierce, żeby się nam nie wymknął!

- Za późno, panie pułkowniku. On już uciekł.

Vailowi te słowa sprawiły wręcz fizyczny ból. A więc znowu zawiódł tak Mary, jak swego syna.

- Da pan radę wstać, jeśli panu pomogę?

- Oczywiście - odpowiedział bez namysłu Vail, ale przy tym odruchowo podparł się prawą ręką o kamyki dna. Wystarczyło, że przeniósł na nią ciężar ciała, a głośno jęknął z bólu i byłby znowu upadł, gdyby go Pierce nie podtrzymał.

- Ten drań mógł złamać mu rękę, kiedy uderzył go

wiosłem - wyjaśnił Smithers, pochylając się, by mu pomóc. Ruszyli w kierunku klifu.

Kiedy Vail podniósł oczy, ujrzał Mary, biegnącą ku nim po płytkiej wodzie. Spódnice podwiązała sobie wokół talii, a mokry materiał halki przylgnał jej do nóg. Włosy powiewały długimi pasmami. Szafirowymi oczyma, rozszerzonymi i pociemniałymi ze strachu, przebiegała po ich twarzach, szukając odpowiedzi na pytanie, co się stało.

Nick podziwiał jej odwagę, nie mniejszą niż u mężczyzn, których prowadził w bój. Przecież przeszła wraz z nimi ten koszmarny labirynt podziemnych tuneli, a teraz po ciemku pokonała wąskie schodki wycięte w ścianie klifu. Chętnie porwałby ją w ramiona i trzymał tak długo, dopóki nie wytłumaczyłby jej, jak bardzo się starał.

Wiedział jednak, że samo staranie to za mało. Próbował ją odszukać dużo wcześniej, mimo swej nierozsądnej dumy i uprzedzeń. Wtedy nic nie wyszło z jego wysiłków, tak samo jak i teraz. Traywick uciekł, a on nie mógł nic na to poradzić. Wyprostował się więc, zdejmując rękę z ramienia Pierce'a.

- Uciekł, Mary - oznajmił ponuro. - Nie zdołałem go zatrzymać.

Mary z trudem opanowała pragnienie, by skoczyć do niego i zarzucić mu ręce na szyję, szczególnie gdy zorientowała się, że odniósł jakieś obrażenia.

- Co ci się stało? - spytała cicho.

- Traywick uderzył go wiosłem w rękę, może nawet

ją złamał - wyjaśnił Smithers. - A to dlatego, że ten pan chciał zatrzymać łódkę.

Mary spojrzała na byłego żołnierza, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności.

- A ty mu pomagałeś, Bob? - spytała z niedowierzaniem.
- Na pewno nie w zabijaniu - wyparł się skwapliwie.
- W życiu nie przyłożyłbym ręki do czegoś takiego!

- Tak mi przykro - wyszeptał Vail, nie spuszczać oczu z poblądłej twarzy Mary.

- Znajdziemy go - zapewniła, siląc się na uśmiech, który miał mu powiedzieć, że doskonale go rozumie. - I Richarda też znajdziemy, przyrzekam!

Zabawne, że żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z komizmu tej sytuacji. Przedtem on składał jej puste obietnice, a teraz role się odwróciły - ona w ten sam sposób próbowała go pocieszyć.

- A do czego pani potrzebny syn pana Traywicka? - spytał podejrzliwie Smithers.

- On nie jest synem Traywicka! - zaprzeczyła z ogniem Mary. W tej chwili nie miało już sensu powtarzanie starych kłamstw. Przeciwnie, jeśli Smithers pomagał Traywickowi, mógł coś wiedzieć na temat miejsca ukrycia chłopca. - Jest synem moim i Vaila.

- Jak... jak to? Przecież wszyscy zawsze mówili, że to syn pana Traywicka! - wyjąkał Smithers. Pamiętał przecież, że pracodawca ostrzegał go przed wrogami dybiącymi na życie chłopca. Domyślał się, że ludzie, których miał przed sobą, byli właśnie nimi.

- On nie jest synem Traywicka - podkreśliła z naciskiem Mary, wspominając piekło, przez które wraz z synem przeszli. - Traywick wychował go jak swojego, bo...
- Wyrzuty sumienia albo instynktowne pragnienie ochrony syna powstrzymało ją przed dokończeniem tych wyznań. Widząc powątpiewanie w twarzy byłego żołnierza i zdając sobie sprawę, że trudno byłoby jej wyjaśnić wszelkie motywy swego postępowania, dodała tylko: - Oddałam go Traywickowi i Abigail zaraz po urodzeniu, ale jest synem Nicka i moim.

- Ależ... - zaczął Smithers, choć w jego umyśle załęgły się wątpliwości. Był pewien, że Traywick niesłusznie posądził Mary o kradzież pieniędzy z domu. Jeśli więc skłamał w jednym przypadku, to dlaczego nie w drugim?

- Spójrz tylko na niego! - chciała mu pomóc Mary.

Smithers zaczął szczegółowo analizować rysy twarzy księcia. Mary czekała z zapartym tchem na jego odpowiedź, pewna, że takie same jasne włosy i szare oczy dostrzegł i u jej syna.

- Gdzieś już pana przedtem widziałem - zdecydował w końcu Smithers. Nie była to odpowiedź, jakiej spodziewała się Mary, więc już chciała podpowiedzieć mu właściwą, kiedy stary wiarus powtórzył z naciskiem: - Mam dobrą pamięć do twarzy, a pana już gdzieś widziałem.

Vail tylko potrząsnął głową, bo nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek spotkał tego człowieka.

- Mówiłeś do niego „pułkownik”, prawda? - zwrócił się do Pierce'a.

- Stanton - dokończył Pierce, wiedząc, że to nazwisko w połączeniu ze stopniem wojskowym zdążyło już przejść do legendy. Weteran kampanii napoleońskiej nie potrzebował dodatkowej rekomendacji, aby wiedzieć, o kogo chodzi. - Walczył pod Wellingtonem w Hiszpanii, no i oczywiście pod Waterloo.

- Stanton... - powtórzył jak urzeczony Smithers. W jego głosie zabrzmiała ta sama nuta, którą Pierce często słyszał u jego własnych żołnierzy, gdy mówili o pułkowniku Stantonie. - Widziałem pana tamtego dnia - kontynuował Smithers. - To było wtedy, jak padł ten mały dobosz. W życiu nie widziałem takiej odwagi, a byłem świadkiem wielu bohaterskich czynów! Przez chwilę myślałem, że pan da radę wynieść tego chłopca na tyły mimo ostrzału, ale kiedy ten pocisk się rozerwał... Chryste, byłem pewien, że pan nie żyje!

- Ja też - zgodził się Nick, bo pamiętał to wydarzenie, jakby miało miejsce dzisiaj. Siłę uderzenia szrapnela i żar wybuchu, ostatnie tchnienie umierającego chłopca, a przede wszystkim krew! Krew jego i dobosza zmieszała się i było jej tyle, że paskudnie poplamiała mu spodnie od munduru... Jeszcze po tylu latach odrzucał od siebie to wspomnienie jako zbyt bolesne. Uśmiechnął się tylko do starego żołnierza jak do towarzysza broni. - Na szczęście obaj byliśmy w błędzie - dokończył.

- Chłopaki gadali, że z pana był dobry oficer - snuł swoje wspomnienia Smithers. - Nie taki, co sam się dekuje, a swoich ludzi wysyła na pierwszą linię. Pan zawsze

pchał się w największy ogień i sam prowadził szarżę, ale i tak nie mogłem uwierzyć, że mógł pan zrobić coś takiego. W życiu nie widziałem, żeby oficer, i to jeszcze dobrze urodzony, narażał życie dla ratowania takiego prostego chłopca, który przecież nie był dla pana...

- To wszystko było dawno temu - przerwał mu Nick. Nie lubił wspomniania swoich wojennych zasług, bo pogardzał żołnierzami-samochwałami. Mimo tylu wspólnych frontowych przeżyć w rozmowach z Pierce'em nigdy do nich nie wracał.

- Pod Waterloo? - wyszeptała Mary.

Smithers powiedział: „Byłem pewien, że pan nie żyje”. Czyżby to znaczyło, że Nick powtórnie został ranny, i to ciężko, a ona o tym nie wiedziała? Mogłoby to tłumaczyć, dlaczego...

Smithers, słysząc jej głos, odwrócił się do niej. Od razu przypomniał sobie, co mu sugerowała i jeszcze raz obejrzał się na księcia.

- To naprawdę pana syn? - upewniał się, gdyż przyjął, że to, co powiedział pułkownik Stanton, musi być prawdą.

- Richard Traywick jest pana synem?

- On się nazywa Richard Stanton - poprawił Nick łagodnie, lecz stanowczo.

Oczy Mary wypełniły się łzami. Dopóki nie wypowiedział na głos tych słów, świadczących, że otwarcie uznał własnego syna, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła je usłyszeć.

- Może masz jakieś informacje na temat miejsca jego pobytu, które pomogłyby nam... - zaczął Nick.

- Mogę zaprowadzić was do niego - wyrąbał prosto z mostu Smithers.

Mary nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę wiesz, gdzie jest Richard? - dopytywała gorączkowo.

- Wiem, bo sam go tam zawiozłem - odpowiedział z uśmiechem. - Oczywiście na rozkaz Traywicka, ale byłem jedynym człowiekiem, który wiedział, gdzie on jest. Przez cały czas miałem go za sobą na koniu, a to był kawał drogi, że ośmielę się zauważyć...

- Kawał drogi dokąd? - wszedł mu w słowo Nick. Po raz pierwszy, odkąd Traywick odepchnął go od burty łodzi, wróciła doń nadzieja.

- Do Szkocji. Zawiozłem go prosto pod drzwi domu jego babci. Myślę, że teraz...

Zawahał się, gdyż musiał to wszystko powtórnie przetrwać. Jeżeli chłopak nie był synem Traywicka, lecz samego pułkownika Stantona, znacznie poprawiało to jego sytuację. Rozumował tak nie wiedząc nawet, jaki jeszcze tytuł odziedziczył podziwiany przez niego dowódca.

- W porządku, mów dalej - zachęcił go Nick.

- Na początku oboje patrzyli na siebie wilkiem. - Smithers zapamiętał, jak szybko malec potrafił zawojuwać serce dostojnej, starej damy. - Ale kiedy odjeżdżałem, już zdążyła go polubić. To taki miły, dorodny chło-

pak, od razu chwyta za serce. Każdy ojciec byłby dumny z takiego syna.

Vail tylko skinął głową, bo przecież nie brał udziału w wychowaniu Richarda, mimo to uznanie w oczach starego wiarusa sprawiło mu przyjemność.

- To zasługa jego matki, bo ja nie miałem kiedy się nim zająć - przyznał szczerze.

- Ale teraz będzie inaczej, prawda? - Smithers bacznie obserwował wyraz jego twarzy.

- Oczywiście, taki właśnie mam zamiar - przytaknął Vail. Odchrząknął, aby zadać najważniejsze pytanie spośród tych, które jeszcze zostały bez odpowiedzi: - Jakie jeszcze polecenia wydał ci Traywick?

Smithers wzruszył ramionami, bo nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- No, kazał mi pomóc małemu spakować rzeczy przed podróżą - zaczął, ale przypomniało mu to nieprzyjemne zadanie, jakie dostał do wykonania. - I wtedy kazał mi też spalić jego zabawkę - dodał ze wstydem, bo posłuchał rozkazu ze strachu.

- Drewnianego żołnierzyka? - upewnił się Vail.

- No właśnie, i widziałem, jak temu dzieciakowi było przykro - wspominał Smithers, bo dobrze zapamiętał pobladłą buzię chłopca i jego szare oczy obrzeżone długimi rzęsami, na których zawisły łzy. - Ale wie pan, że on ze wszystkich sił panował nad sobą, żeby nie płakać? Stał wyprostowany jak żołnierz i starał się nie dać poznać po sobie, jaki ból mu to sprawiło.

Vail tak samo jak tamten prosty żołnierz, nade wszystko cenił w ludziach odwagę i serce, a tu okazało się, że jego syn odziedziczył te przymioty, mimo że ojciec nie mógł sam go wychowywać.

- Traywick kiedyś odpowie mi za to - rzucił tylko, bo miał świadomość, że tego akurat długu może nie mieć okazji uregulować. Zamiast tego wolał się skupić na sprawach bezpośrednio dotyczących jego syna. - A czy dostałeś od niego jakieś polecenia do wykonania w Szkocji?

- Pan pułkownik ma na myśli polecenia na piśmie?

- No, jakiś list do oddania czy wiadomość dla kogoś? - podsunął Vail, bo był ciekaw, na ile groźby Traywicka miały realne podłoże. Czy rzeczywiście dziecku groziło niebezpieczeństwo?

- Żadnych innych rozkazów nie dostałem - wzruszył ramionami Smithers. - Miałem tylko odwieźć chłopca pod wskazany adres i odebrać paczkę w Londynie.

- A czy kiedykolwiek uprzedzał cię, że na jego wyraźny rozkaz będziesz musiał zrobić chłopcu krzywdę?

- Krzywdę chłopcu? - powtórzył z niedowierzaniem Smithers, a potem oświadczył z godnością: - Chyba on sam wiedział najlepiej, że nigdy nie podniosłbym ręki na dziecko. Jak w ogóle można zrobić dziecku krzywdę? To jakieś... nienormalne!

- Masz rację - przyznał Vail. - A czy wiesz o kimś innym, kto by pracował dla Traywicka?

- A kto by z nim wytrzymał? Tylko ja nie miałem wy-

boru. - Wymownie wskazał na swój pusty rękaw. - Kto przyjąłby do pracy człowieka z jedną ręką?

- Czasem wystarczy jedna, za to silna i użyta w dobrej sprawie - pocieszył go Vail. - Czy chciałbyś przyjąć teraz służbę u mnie?

- Oczywiście, panie pułkowniku. Służba pod pana rozkazami to dla mnie zaszczyt.

- Mam nadzieję, że to zobowiązanie na dłużej - uśmiechnął się Vail.

- Dopóki mi życia starczy, panie pułkowniku! - zarzekł się Smithers. Wstydził się, że łzy cisnęły mu się do oczu, podobnie jak uwielbianemu przezeń dzieciakowi. Liczył tylko, że deszcz zmyje tę niemęską wilgoć, a ciemności ją ukryją. - A co pan zrobi, jeśli Traywick będzie domagał się praw do syna?

- Damy sobie radę. Jeśli będzie trzeba, spotkamy się w sądzie. Chce walki, będzie ją miał, ale zdaje mi się, że dziś widzieliśmy Marcusa Traywicka po raz ostatni - podsumował Vail, spoglądając na horyzont, za którym już znikła łódka. - Chyba nigdy nie odważy się wrócić do Anglii.

- Kiedy to taki dziwny człowiek, panie pułkowniku. - przestrzegł Smithers. - Proszę mi wybaczyć, ale źle jest mieć go za wroga.

- On na pewno więcej się tu nie pokaże - zaręczył Pierce. - Po co miałby wracać? Żeby stanąć przed sądem za usiłowanie zabójstwa i przemyt?

- Wszystko jedno... - Smithers bez przekonania potrząsał głową.

- Dobrze więc, wskażesz nam dom, do którego zawiozłeś chłopca? - zmienił temat Vail. Stary żołnierz popatrzył w jego szare oczy, takie same jak te, które widział u małego Richarda, i potakująco kiwnął głową.

- Chętnie jaśnie państwa tam zabiorę, bo też mam swoje rachunki do wyrównania z Traywickiem - oświadczył. - Możemy jechać, jak tylko państwo będą gotowi do drogi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pierce przekonywał, że już za późno, aby przedsiębrać dalszą podróż. Tłumaczył, że po wyczerpującej wspinaczce na klif wszyscy są zmęczeni, nawet konie, a zresztą trzeba posłać po lekarza, aby obejrzał rękę księcia. Szybciej dotrą do Szkocji, jeśli dziś przenocują, a jutro poczynią niezbędne przygotowania.

Rozumiał, że Vail musi teraz stoczyć walkę sam z sobą, bo głos serca przeciwstawiał się u niego głosowi rozsądku. Zresztą również on sam, jako dobry dowódca, wiedział, że jego ludzie dali z siebie wszystko, ale zanim podjął ostateczną decyzję, chciał najpierw zasięgnąć opinii Mary.

- Pierce ma rację - powiedział otwarcie - ale w tej sprawie decyzja powinna należeć do ciebie.

Ona zaś wiedziała, że gdyby wyraziła takie życzenie, Nick natychmiast kazałby wsiadać do powozu i ruszać w dalszą drogę. Nie ufała jednak jego zapewnieniom, że ręka nie jest złamana, tylko, tak jak Pierce, wołała zasięgnąć opinii lekarza. Widziała także ślady niedawnego cierpienia na jego twarzy i cienie pod oczami.

- Pierce ma rację - postanowiła wbrew głosowi włas-

nego serca. - Potrzeba nam czasu, aby dobrze przygotować się do drogi. Wystarczy, jeśli wyruszymy jutro, to szybciej dotrzemy na miejsce.

Nick przez chwilę patrzył na nią i potakująco kiwnął głową.

Na przedmieściach Deal znaleźli gospodę, więc Pierce przystąpił do działania. Oberżystka nie była zachwycona, że wyciągnięto ją o tej porze z łóżka, ale jej niechęć stopniała, gdy Pierce położył przed nią na kontuarze stosik złotych monet.

Na początku oświadczyła, że w gospodzie brakuje wolnych miejsc. Pierce jednak zażądał trzech najlepszych pokoi, dobrze ogrzanych i ze świeżą pościelą. Jeszcze bardziej zaszokował właścicielkę, zażądawszy wanien z gorącą wodą do każdego pokoju. Potem zaczął precyzować swoje życzenia w zakresie stajni dla koni i noclegu dla woźnicy, z każdym kolejnym żądaniem dokładając następną złotą monetę. Od tego momentu gospodyni już nie protestowała, tylko potakująco kiwała głową, a oczy jej robiły się wielkie jak spodki, w miarę jak migoczące płomyczki świec odbijały się w kolejnych monetach.

Zaraz obudziła męża i oboje zaczęli wyciągać z łóżek swoich pracowników. Pierce tymczasem wprowadził współtowarzyszy do reprezentacyjnej sali gospody, gdzie w okamgnieniu zaspana służąca podała zimną kolację i dzban grzanego wina.

- Nadzwyczajne! - pochwaliła Mary, kiedy, jakby na

zakłęcie „Stoliczku, nakryj się!”, na stole pojawiła się obfitość jedzenia.

- Za pieniądze można dostać wszystko - stwierdził obojętnie Pierce. - Żeby zmęczone wojsko mogło dalej walczyć, potrzebny jest dobry biwak.

Gestem wskazał Vaila, który z zamkniętymi oczami i odchyloną do tyłu głową wpół siedział, wpół leżał w fotelu przy kominku. Lewą ręką podtrzymywał łokieć prawej, podczas gdy jego zmoczona odzież parowała w ciepłe ognia, który Smithers wciąż podsyczał.

- Czy nic mu nie jest? - dopytywała szeptem Mary.

- On pozostanie zawsze żołnierzem, Mary, bez względu na te jego różne tytuły - uspokoił ją Pierce. - Potrzeba mu tylko odpoczynku, tak samo jak nam wszystkim.

- Dzięki tobie będziemy mogli przespać się w dobrych warunkach - uśmiechnęła się do niego. - Dziękuję ci za wszystko, Pierce. Wiem, że to, co zrobiłeś dla nas, robiłeś głównie ze względu na Vaila, ale mimo to chciałabym wyrazić ci moją wdzięczność. Wygląda na to, że w końcu odnajdziemy Richarda.

- A kiedy go już odnajdziemy, to co potem? - Starał się mówić cicho, aby nie słyszał go jego pan.

- Myślę, że to już zależy od niego - po chwili milczenia odparła wymijająco.

- On szukał cię przez całe lata - zapewnił ordynans. - Oczywiście nie wiedział o chłopcu, ale nie ustawał w staraniach, żeby cię odnaleźć.

- Jeżeli naprawdę chciał, to dlaczego tak długo czekał?

- dała upust swoim żalom. - Przez niego musiałam iść na służbę do Traywicka! Dlaczego od razu nie przyszedł do mojego ojca, kiedy wrócił z Europy?

Poprzednio Pierce podpowiedział jej: „Nakłoń go, żeby powiedział ci prawdę”. Teraz zaś skojarzyła sobie, że w czasie, gdy rozpaczliwie szukała schronienia dla nie-narodzonego jeszcze dziecka, z Nickiem musiało się dzieć coś strasznego.

- Wyobrażam sobie, że po śmierci ojca i brata... - zaczęła, jakby próbując szukać usprawiedliwienia dla niewytłumaczalnego zachowania Vaila. Wiedziała już, że nie miało ono nic wspólnego z bezduszną przypisywaną arystokratom, a charakter Nicka też się nie zmienił. A zatem jego pozorna zdrada musiała mieć szczególnie ważną przyczynę.

Pierce pokręcił głową.

- To nie o to chodzi, że rozpaczał za nimi - przerwał jej. - Spotkało go coś znacznie gorszego i nawet nie wierzyłem, że to zniesie. Szczególnie, że...

Urwał, bo z wyrazu jej oczu wywnioskował, że nie pamięta szczegółów opowieści Smithersa o bohaterskim czynie Vaila na polu bitwy. Pewnie wyrzuciła je z pamięci, bo przesłoniły je rewelacje na temat jej syna.

- Kiedy oni zginęli, wydawało mu się, że został kompletnie sam na świecie - tłumaczył dalej Pierce. - To ja przywiozłem go do Londynu, ale dla niego byłem przecież obcym człowiekiem. Wróciliśmy razem do pustego domu, gdzie tylko my dwaj znaleźliśmy...

- Co znaliście? - nalegała, gdy nagle urwał.
- Prawdę - odpowiedział lakonicznie. - Namów go, żeby ci ją powiedział. Wtedy może go zrozumiesz i potrafisz przebaczyć, przynajmniej ze względu na dziecko.

Po tych słowach zapanowała cisza, ale nie na długo, bo przybył cyrulik, po którego Pierce kazał posłać. Kiedy oglądał rękę Nicka, Mary, zgodnie z sugestią Pierce'a, wycofała się do przygotowanego dla niej pokoju na piętrze.

Zauważyła, że ktoś już wniósł tam jej rzeczy. Oczywiście ten nieoceniony Pierce pomyślał o wszystkim! Rozwiesiła swoje ubranie przy ogniu, aby wyschło, a sama z rozkoszą zanurzyła się w wannie z gorącą wodą, o której także ktoś pomyślał. Przez cały czas w uszach dźwięczała jej rada Pierce'a: „Nakłoń go, aby powiedział ci prawdę”.

Zrobiło się już bardzo późno i obsługa oberży, wyrwana ze snu przez niespodziewanych gości, poszła znowu spać. Mary nie mogła jednak zasnąć mimo zmęczenia, usiadła więc przy ogniu buzującym na kominku, próbując wysuszyć i rozczesać mokre włosy. Powoli rozplątywała pojedyncze pasma potargane przez wiatr i deszcz, a przy tym zajęciu miała okazję jeszcze raz wszystko przemyśleć.

Rzeczywiście, już najwyższy czas, aby dowiedziała się prawdy. Jutro wyruszą do Szkocji, a u celu Nick odnajdzie swego syna. Tymczasem między nimi ciągle pozostało zbyt wiele niedomówień i pytań. Odpowiedź na nie znał tylko jeden człowiek. Pierce powiedział jej tyle, ile chciał,

a reszta musiała wyjść od mężczyzny, który spał w pokoju za ścianą. Rano może być na to za późno, bo nie będą już sami ani przez chwilę, nawet w powozie.

Aby pozbyć się resztek nieufności, musiała dowiedzieć się, dlaczego siedem lat temu Nick nie wrócił do niej. Zanim odda mu syna, musiała poznać przyczyny tego postępu. Dawno wybiła północ, gdy Mary otworzyła drzwi rozdzielające jej pokój od pokoju męża.

Vail też nie mógł spać. Zbyt dużo wysiłku kosztowała go nienormalna sytuacja, w którą wplątał go przyparty do muru Traywick. Tak długo trzymał na wodzy swe uczucia, że nadszedł czas, aby coś z tym zrobić. Mary spała w sąsiednim pokoju, a Pierce dawno mu radził, aby zebrać się na odwagę i otworzyć dzielące ich drzwi. Nie tylko te między pokojami, ale i te niewidzialne, które sam zamknął, a strzegł ich tylko jego strach.

Siedział więc przy kominku, obserwując tańczące płomienie, w których ciepłe ożywały wspomnienia. Poza paleniskiem w pokoju nie było innego źródła światła. W nocnej ciszy dał się słyszeć jakiś słaby dźwięk, ale gdy Nick obrócił głowę w jego kierunku, ze zdziwieniem ujrzał powoli otwierające się drzwi do pokoju Mary. Stłumione światło lampy, pozostawionej przez nią na stole, podświetlało od tyłu jej smukłą sylwetkę.

- Mary? - wyszeptał tylko.

Weszła do jego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, na chwilę niknąc w cieniu, gdzie nie docierało światło komin-

ka. Potem znów się wyłoniła z ciemności, podchodząc bliżej do niego.

Miała na sobie tylko cienką, nocną koszulę zmarszczoną pod piersiami. Rozpuszczone ciemne włosy lśniły jak atłasowe wstążki, kontrastując z alabastrową bielą skóry, niewiele różniącą się od batystu koszuli, która więcej ukazywała, niż ukrywała.

Na ten widok zaschło mu w gardle. Uświadomił sobie, że przez cały czas ją kochał, a kiedy uknęła u jego stóp, poczuł się kompletnie oszołomiony. Nie odezwała się ani słowem, tylko położyła rękę na jego kolanie.

Mary podniosła oczy, napotkała jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Jej twarz, oświetlona ciepłym blaskiem ognia na kominku, wydała mu się tak samo piękna jak wtedy, kiedy się w niej zakochał. Nie zmienił jej upływ lat.

- Proszę cię, wyjaśnij mi wreszcie wszystko - wyszeptała błagalnym głosem. - Może źle robię, ale chcę wiedzieć... chcę zrozumieć, dlaczego wtedy nie wróciłeś po mnie.

Wytrzymał jej spojrzenie tylko przez chwilę. Potem, zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, wsunął rękę pod kaskadę ciemnych włosów. Przesuwał między nimi swe długie palce, a igrające w nich światło płomieni przypomniało mu słońce przeświecające przez gałęzie na plantacji porzeczek.

Powoli opuścił usta do jej ust, dając jej czas, aby mogła jeszcze się odwrócić. Jednak w jej błękitnych, szeroko otwartych oczach widział tylko ufność, a kiedy dotknął

ustami jej miękkich warg, zatrzepotała rzęsami. Na chwilę odchylił głowę, aby przyjrzeć się drżącym wargom, które przed chwilą pocałował, a kiedy przeniósł wzrok wyżej, w szafirowym błękicie jej oczu dojrzał to samo pożądanie co przed siedmiu laty.

Nabrała w płuca tyle powietrza, że wprawilo to całe jej delikatne ciało w drzenie. Przesuwał więc łakome spojrzenie po jej twarzy, napawając się pięknem drobnych rysów, długich, ciemnych rzęs kontrastujących z bielą skóry i karminem zmysłowych ust, jakby stworzonych, by drżały z rozkoszy pod jego pocałunkami. Nie zauważał drobnych, lecz wymownych różnic, wyrzeźbionych działaniem czasu. W jego oczach była dalej tą samą dziewczyną, którą kiedyś kochał... i na zawsze miała taką pozostać.

Uśmiechała się do niego drżącymi wargami i oczyma błyszczącymi od łez. Potem podniosła rękę i położyła mu dłoń na policzku. W tym momencie zdała sobie sprawę, że nie była jej aż tak potrzebna odpowiedź, po którą tu przyszła. Bez względu na to, dlaczego przed laty postąpił tak, jak postąpił, to jedno jej wystarczyło. Wychodziła naprzeciw jego pragnieniom z takim samym entuzjazmem jak wtedy, kiedy po raz pierwszy mu się oddała.

Przesuwała palce po jego szorstkiej skórze, najpierw po szyi prostej jak dorycka kolumna, potem niżej, aż natrafiła na bliznę, która pozostała po usuwaniu kuli przez chirurga. Miała świadomość, że to przez jej błąd odniósł tę ranę, kiedy przybył po nią do domu Traywicka.

Powiodła palcem wzdłuż tej blizny. Gdy spojrzała

w górę, zorientowała się, że Nick przez cały czas śledzi ruchy jej palców.

Doszła wreszcie do wąskiego pasa owłosienia, które schodziło poniżej pasa. Kiedy próbowała przesunąć dłoń bardziej w dół, mocno przytrzymał ją za rękę. Ze strachem podniosła na niego wzrok.

- O co chodzi? - spytała. - Czy coś jest nie tak?

Przez dłuższy czas nie odpowiadał, tylko ścisnął jej palce w swojej stwardniałej od wodzy dłoni, której szorstkość zawsze ją podniecała. Nie zapomniała jeszcze, jak te ciepłe, silne palce wędrowały po całym jej ciele. Chętnie przeżyłaby to jeszcze raz.

Tymczasem Nick gwałtownie wstał, więc Mary zlekła się, że ma zamiar odejść. Czyżby to miała być jego odpowiedź na pytanie, które mu zadała? Może to oznaczało, że nie chce już z nią być?

Nick jednak podciągnął ją tylko, by wstała. Najpierw drżała ze strachu przed odrzuceniem, a teraz z rozkosznego oczekiwania, bo prowadził ją do łóżka!

Usadowił ją na brzegu materaca, który zdawał się nie mieć końca. Sam jednak nie usiadł obok, lecz dalej stał przy łóżku, jakby był zupełnie obcym człowiekiem. Na jej oczach zmienił mu się wyraz twarzy, rysy jakby stężały.

Teraz puścił jej palce, by sięgnąć po pasek u spodni. Śledziła jego ruchy jak zahipnotyzowana, szczególnie kiedy zaczął pomagać sobie prawą ręką, z nadgarstkiem obandażowanym przez cyrulika.

Spodnie zsunęły się ze szczupłych bioder i muskularnych ud Nicka. Po chwili był zupełnie nagi.

Nawet w słabym świetle dogasającego ognia widok, jaki ujrzała, musiał szokować. Ciało Nicka od pasa w dół pokrywała sieć blizn, znacznie starszych niż ta na jego piersi, ale rany, po których pozostały, były nie mniej poważne. Najbardziej przerażająco wyglądała głęboka, poszarpana bruzda przecinająca prawe udo, ale wiele innych widniało na jego nogach, lędźwiach, a nawet...

Kiedy podniosła oczy, stwierdziła, że obserwuje ją w napięciu.

- Och, Nick... - wyszeptała głosem pełnym współczucia, tyle było bólu w jego spojrzeniu. Przecież ostatnim razem, kiedy widziała go nagiego na plantacji porzeczek, miał ciało młode i bez blizn, w pełni męskiej sprawności. Wynikało z tego, że tych obrażeń nie odniósł w Hiszpanii, tylko pod Waterloo. To właśnie miał na myśli Smithers, kiedy opowiadał, jak dzielny pułkownik Stanton padł rażony szrapnelem, kiedy ratował małego dobosza. Wtedy odniósł tak ciężkie rany.

- Nie wiedziałam o tym... - wyszeptała. - Ojciec nigdy nie wspominał, że byłeś ranny. Czemu nikt mi o tym nie powiedział?

- Bo nikt nie wiedział. Ze względu na rodzaj tych ran wołałem, żeby nikt się nawet nie domyślał.

- Ale jak...

- Lekarze powiedzieli Wellingtonowi, że nie są w stanie zrobić nic więcej. Nie wiem, co on przekazał mojej rodzinie,

ale musiało to być coś takiego, że ojciec i Charles zdecydowali się na podróż mimo szalejącego sztormu. No i statek wywrócił się na wodach kanału.

- Nick, tak mi przykro... - wyjąkała, choć wiedziała, że to dla niego żadna pociecha.

- Mój ojciec mógł mieć wtedy przy sobie ten pierścień, który mu oddałaś. Nie napisał mi jednak ani słowa na ten temat. Przysięgam, że o niczym nie wiedziałem. Może czekał, aż... - Urwał, bo nagle przypomniał sobie to wszystko, o czym przez tyle lat próbował zapomnieć.

Początkowo lekarze nie ręczyli za jego życie, a kiedy już upewnili się co do tego, nie chcieli autorytatywnie wypowiadać się w kwestii, czy kiedykolwiek odzyska pełną sprawność jako mężczyzna. W tych pierwszych, najcięższych dniach jego myśli zaprzętała wyłącznie Mary. Myślał o niej z goryczą i poczuciem winy, bo zdawał sobie sprawę, że przywiązał ją do siebie, a teraz nie będzie mógł spełniać obowiązków małżeńskich. Sen z powiek spędzały mu pieszczoty, jakimi darzyła go niedoświadczona dziewczyna.

- Wszystko przez to! - mówił dalej, spoglądając na zniekształcone partie swojego ciała. - Obawiałem się, że nigdy więcej nie będę mógł kochać się z tobą ani spłodzić dziecka. Oczywiście nie brałem pod uwagę, że to już się stało. Skoro nie skontaktowałaś się z moim ojcem, a przy najmniej ja o tym nie wiedziałem, sądziłem, że minęło już wystarczająco dużo czasu... - Znów przerwał, potrząsając głową.

- Prawda jest taka, że nigdy nie wybiegałem myślą aż tak daleko. Miałem nadzieję, że zapomnisz o mnie, a o naszym wpisie do rejestru ślubów i tak nikt nie wiedział. Byłaś taka młoda i piękna... Chciałem, żebyś ułożyła sobie życie z mężczyzną, który byłby cię wart.

- Jakże to, przecież na pewno wiedziałeś, że w moim życiu nie było nikogo innego. Nick, musiałeś przecież wiedzieć!

- Widzisz, jak by ci to powiedzieć, byłem tak... pochłonięty tym, co się stało, że nie miałem już głowy do niczego innego. Wiem, że to podłe myśleć tylko o sobie, ale byłem za młody i po prostu się bałem.

- I nikt więcej nie wiedział o tym?

- Tylko Pierce. - Nick przypomniał sobie troskliwość sierżanta. - Przywieźli go do tego samego szpitala co mnie, ale tylko z jakąś lekką raną. Sanitariuszy wtedy brakowało, a lekarze i bez tego mieli za dużo pracy, więc Pierce podjął się opieki nade mną. Podśluchał, jak Wellington przywiózł wieści o śmierci mojego ojca i brata, a resztę sam widział, bo przecież mnie pielęgnował...

Na jego twarzy odbiło się wspomnienie upokorzeń, jakie przeżywał w tamtych dniach. Jednak zmusił się do dalszych wynurzeń:

- Och, Mary, gdyby Pierce'a nie było wtedy przy mnie... - zaczął, ale weszła mu w słowo.

- Na pewno zajęłabym się tobą i dobrze o tym wiesz. Musiałeś o tym wiedzieć nawet wtedy.

Poszukał wzrokiem jej twarzy, ale wiedział, że mówi

prawdę. Zostałaby przy nim i otoczyła go opieką, ale nie była to przyszłość, jakiej pragnął dla niej.

- Widzisz, tego właśnie bałem się najbardziej. Nie mógłbym znieść myśli, że już nigdy cię nie dotknę, że byłbym kimś takim jak Traywick...

- Nick, kochany, nie mów tak! - zaprotestowała.

Dopiero wtedy zrozumiała to, co przedtem wydawało się jej nielogiczne. A więc jednak słusznie wierzyła w jego miłość! Wprawdzie była młoda i niedoświadczona, ale nie myliła się co do siły jego uczuć.

- Nawet kiedy byłem już w stanie znieść podróż i Pierce przywiózł mnie do domu, nie chciałem, aby ktokolwiek dowiedział się, co mi jest. Zasięgałem porady najlepszych londyńskich lekarzy, ale nie powiedzieli mi nic bardziej krzepiącego niż chirurdzy w polowym lazarecie. Pocieszali mnie, że czas pokaże, czy będę jeszcze do czegoś zdatny. Teraz już wiem, że czas był właśnie tym, czego ci brakowało najbardziej.

- No, ale w końcu... - próbowała mu pomóc.

- Tak, w końcu - przytaknął i wyraz jego twarzy łagodniał, w miarę jak jej policzki zaczęły nabierać kolorów. Szybko więc zmienił temat. - No proszę, chyba pierwszy raz widzę, że się rumienisz! Zawsze tak potrafiłaś panować nad sobą.

- Aż do tamtego dnia na plantacji - przypomniała z uśmiechem.

Wyciągnął do niej rękę, a Mary ufnie położyła na niej swoją dłoń, wokół której zaraz zacisnął palce.

- Wiesz, o czym najpierw pomyślałem, kiedy dowiedziałem się o istnieniu Richarda? - zagadnął, spoglądając na ich złączone dłonie.

- No, o czym? - dopytywała, podnosząc na niego oczy. Wtedy odwzajemnił jej uśmiech.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że to mój jedyny syn, a ja pomyślałem, że on może być w ogóle naszym jedynym dzieckiem. Nie wiem, czy potrafię jeszcze zostać ojcem, więc może to i lepiej, że kochaliśmy się wtedy w tych porzeczkach? Pomyśl, że gdybyśmy tego nie zrobili, moglibyśmy nigdy nie mieć dzieci!

- Poczuliśmy go w grzechu - wyszeptała, mając w pamięci lata, podczas których dręczyły ją wyrzuty sumienia. To swojemu grzechowi przypisywała śmierć ojca, niespełnione modlitwy o powrót Nicka i wybór, jakiego dokonała, aby zabezpieczyć przyszłość Richarda.

- Tak, ale nie ma złego... - zaczął.

- ... co by na dobre nie wyszło - dokończyła cichym szeptem.

- Dobrze, że mamy przynajmniej Richarda, bo może nie będę mógł obdarzyć cię innymi dziećmi.

- Ależ... - Pytanie, które właściwie nie było pytaniem, zamarło jej na ustach. Nie zdając sobie z tego sprawy spuściła oczy, jakby chcąc się upewnić, że jego obawy są płonne. I rzeczywiście, na pierwszy rzut oka było widać, że mimo blizn Nick jak najbardziej pozostał prawdziwym mężczyzną.

- Czy mógłbym kochać się z tobą? - dokończył za

nią, nie spuszczać oczu z jej twarzy. - Chciałbym przynajmniej spróbować, jeśli oczywiście nadal, tak jak kiedyś, mnie pragniesz.

- Nawet przez te wszystkie lata, kiedy sądziłam, że mnie opuściłeś, ani przez chwilę nie przestałam cię pragnąć! - zapewniła szczerze. - Ciekawam, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak strasznie byłam wtedy samotna?

Nie odpowiedział, bo przecież wyznał już jej całą prawdę o swoich samotnych nocach i trapiących go koszmarach. Zamiast tego oświadczył:

- Ale tej nocy nie musisz już być sama. Ani teraz, ani nigdy więcej. Oczywiście decyzja należy do ciebie, Mary.

Nie wahala się ani chwili. Zamiast odpowiedzi rozwiązała drżącymi palcami atłasową wstążeczkę, ściągającą dekolt jej koszuli. Dopiero kiedy cienki materiał zsunął się z ramion, uświadomiła sobie, że Nick przez cały czas ją obserwuje. Przytrzymała więc koszulę jedną ręką, osłaniając piersi.

- Ależ wszystko jest w porządku! - uspokoił ją, choć nie wiedziała, skąd przyszło mu do głowy, że może potrzebować takiego zapewnienia. Przecież już przedtem widział ją w stroju Ewy. Wtedy z dumą demonstrowała swoje nagie ciało, podsuwając mu pod oczy młode, jędrne piersi, świadoma swojej urody.

Teraz jednak miesiące karmienia syna mlekiem pozostawiły na jej piersiach cienkie, srebrzyste linie. Takie same ślady widniały na skórze brzucha, rozciągniętej wsku-

tek ciąży. Przedtem tego wszystkiego nie było, jednak Mary zdała sobie sprawę, że Nick miał teraz ciało znacznie bardziej zniekształcone, a jej to nie przeszkadzało. Z tą myślą rozluźniła uchwyt palców i koszula osunęła się na podłogę.

Żar z kominka oświetlił teraz jej nagość, uwydatniając wszystkie krągłości, a pozostawiając w cieniu dyskretne miejsca znane tylko Nickowi. Zachwycił się jej dojrzałą urodą, cudowną przemianą z dziewczyny w kobietę. Wiedział, że bez reszty należy do niego i nic nie stanie mu na przeszkodzie, bo to smukłe ciało nosiło już pod sercem jego dziecko.

Przeniósł wzrok na niewielką wypukłość jej brzucha i przyjrzał się dokładniej rozstępom pozostałym po ciąży. Poczul nieprzepartą ochotę, aby czule dotknąć jej smukłej talii i wyobrazić sobie, jak wyglądała ta aksamitna skóra, kiedy musiała rozciągać się pod naporem rosnącego dziecka.

Mary wodziła oczami za ruchem jego ręki, zastanawiając się, o czym też on myśli. Nie zapomniała jeszcze delikatnego dotyku jego palców, rozbudzającego w niej zmysły. Zupełnie inaczej niż... Nie, to wspomnienie szybko odrzuciła i zamknęła oczy, aby skoncentrować się wyłącznie na tym, co czuła obecnie. Była to bowiem chwila szczególna, jakby początek nowego życia.

Im niżej wędrowały jego palce, tym większy żar rozlewał się w jej żyłach. Pochylała się coraz bardziej ku Nickowi, nie ukrywając już swego pożądania. Czuła, jak wil-

gotnieją jej wrażliwe miejsca, gotowe na jego przyjęcie. Od tak dawna czekała na ten moment!

- Szkoda, że cię wtedy nie widziałem - wyszeptał.

Zrozumiała, co miał na myśli. Żałował, że nie widział jej, kiedy nosiła pod sercem jego syna.

- Trzymałbym cię za rękę, kiedy go rodziłaś - dokończył niedopowiedzianą myśl.

Zamknęła oczy, bo w jej głowie kotłowały się przeróżne wspomnienia. Kiedyś jej pierś obejmowały usteczka niemowlęcia, a teraz Nick ogrzewał brodawkę swoim oddechem. Na zmianę to chwycił wargami, to puszczał twardej, różowy pączek, kreśląc wokół niego kółka językiem. Odpowiedziała jękiem rozkoszy.

Ręka Nicka przesunęła się jeszcze niżej, a ją ogarnęła słodka niemoc pod wpływem tej pieszczoty.

Wciąż zataczał kręgi językiem, wolno, tam i z powrotem, a po wszystkich zakamarkach ciała Mary rozlał się żar. Nick musiał to wyczuć, więc wstrzymał na moment ruchy swoich palców. Teraz nie miał już wątpliwości, że Mary go oczekuje.

Ugiął kolana i podsunął pod nią ramiona, aby położyć ją na łóżku. Jednak gdy niecierpliwie otworzyła oczy, Nick wciąż stał.

W jego pociemniałym wzroku odbijała się przeszłość. Ciało znaczyły teraz liczne blizny, ale twarz pozostała niezmienną, tak samo piękna jak przedtem. Przeżyty ból, strata najbliższych i długie lata samotności naznaczyły jego rysy piętnem siły i spokoju. Mary uśmiechnęła się więc

do niego, co miało oznaczać nie tylko przyzwolenie, ale i przebaczenie. Przyjęła go w siebie, otwierając tym samym ostatnie, niewidzialne, lecz do tej pory zapieczętowane drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pierwsze promienie słońca wdarły się do najlepszej sypialni w gospodzie, nie budząc pary śpiącej na podwójnym łożu z baldachimem. Ciemne loki Mary Winters rozsypały się po poduszce, policzek przycisnęła do ramienia męża, a palce zanurzyła w złotych kędziorach porastających jego pierś. Przez sen przełożyła nogę przez uda Nicka, mimowiednie zakrywając najgorsze blizny, które pokazał jej tej nocy.

Zdażyła już zapomnieć, że tak długo ukrywał to przed nią. Tak samo zapomniała o przeraźliwej pustce długich lat samotności i w ogóle o wszystkim, co było i minęło.

Pieszczoty dłoni, warg i całego ciała Nicka sprawiły, iż w tej chwili myślała tylko o jednym: że on należy do niej, a ona do niego. W jej życiu tylko to się liczyło, oczywiście oprócz syna.

Kochali się prawie całą noc. Na początku rzucili się na siebie niecierpliwie, aby siłą swojego pożądania przepłoszyć upiory przeszłości, które mogły jeszcze ich straszyć. Potem przyszedł czas na bardziej wyrafinowane pieszczoty, aby najpierw rozbudzić burzę zmysłów, a następnie stopniowo, fala za falą, zmierzać do upragnionego brzegu.

Przed wschodem słońca nic nie rozświetlało mroku, więc Mary rozróżniała w ciemności tylko profil Nicka, jak wycięty w kamei ręką artysty. Nie zamykał oczu, aby obserwować jej reakcję, kiedy rozpoczął ofensywę, ale jako doświadczony żołnierz dobrze wiedział, że w tej kampanii zwyciężyć może tylko serce.

Wytrzymała jego spojrzenie, dopóki doznania nie sięgnęły granicy bólu. Ale przyszła chwila, że zaczęła coraz szybciej oddychać - rozchyliła wargi i zapomniała o panowaniu nad sobą. Opuściła tylko powieki, skrywając pod nimi odczucia zbyt osobiste nawet dla małżonka.

Czuła, kiedy i on razem z nią znalazł się na najwyższym szczycie uniesień, bo w jej łono wlał się gorący strumień nasienia. Jednak nawet w momencie pełnego zespolenia ciał znalazła jeszcze czas na przelotną myśl, że z tej wspólnej radości może się począć następne dziecko.

Po chwili jednak zapomniała także i o tym, tak przemożna siła miłosnych uniesień to przejmowała ją żarem, to wstrząsała dreszczem. Nick uniósł się nieco na łokciach i znów zaczął mierzyć ją badawczym spojrzeniem.

- Kocham cię, Mary - wyszeptał czule. - Zawsze cię kochałem.

- Wiem - odpowiedziała śmiało, bo nie pozostało w niej ani cienia wątpliwości. Znała już przyczyny wszystkich wcześniejszych lęków.

- Przeze mnie się nie wyspałaś! - żartobliwie się uśmiechnął, ale równocześnie zbliżył swoje usta do jej zachęcająco rozchylonych warg. Po skończonym pocałunku nie prze-

stał patrzeć w jej oczy, więc nie zauważył, że kilka pasm jej włosów przyłgnęło mu do policzka. Mary wyciągnęła rękę, by je odczepić, a że zaczynało już świtać, wpatrywała się w niego przez chwilę.

- Lepiej się prześpij! - poradził. - Przed nami długa podróż.

- Nie dłuższa od tej, którą właśnie odbyliśmy. - Wiedziała, że Nick zrozumie aluzję.

- Ale musieliśmy ją przerwać.

- Za to u celu będzie na ciebie czekać twój syn.

- Richard... - wyszeptał to imię jak słowa modlitwy.

Rano Pierce jak zwykle wszedł do sypialni księcia, aby go obudzić i poinformować o poczynionych przygotowaniach do podróży. Przyniósł ze sobą tacę z przyborami do golenia i dzbanek z gorącą wodą. Pogwizdując przez zęby, postawił ten sprzęt na stoliku przy łóżku i chciał odsunąć zasłony, gdy zorientował się, że po raz pierwszy, odkąd u niego służył, księżę nie spędził nocy sam.

Odwrócił się, chcąc ukryć swoje zażenowanie tym, co widział, ale wciąż nie przyjmował faktu do świadomości. Tymczasem Vail obserwował go spod oka i z rozbawieniem zauważył, że jego wierny ordynans wyraźnie się zarumienił.

- Wyjdź, Pierce - polecił ściszym głosem.

- Tak jest, wasza wysokość - wyszeptał. Choć rzadko tytułował tak swego pana, teraz uznał tę formę za odpowiednią do okoliczności.

- Aleś spiekł raka! - zauważył Vail, a uśmiech powoli

rozpromieniał całą jego twarz od oczu po kąciki ust. - Kto by pomyślał, zaczerwieniłeś się jak nauczycielka z pensji dla panienek. Albo jak stara panna - dodał po namyśle.

- Dopraszam się łaski waszej wysokości... - wyrecytował Pierce, wycofując się tyłem w stronę drzwi. Akurat Mary otworzyła oczy, więc szybko poprawił się: - Waszych wysokości.

Przyglądała mu się zaspanymi oczami, niepewna, kto z nich dwojga jest bardziej nie na miejscu w sypialni Vaila.

- Czy już czas wstawać?

Spojrzała pytającym wzrokiem na męża, ale odpowiedział jej Pierce, odzyskując zwykłą pewność siebie:

- Najwyższy czas - stwierdził - jeśli chcecie zdążyć gdziekolwiek za dnia.

- Dziękuję ci, Pierce - oznajmił Vail tonem jednoznacznie mówiącym, żeby sobie poszedł.

- Ale ja przyniosłem panu pułkownikowi brzytwę i gorącą wodę do golenia.

- Później.

- Później to ona nie będzie już gorąca.

- Trudno, jakoś sobie poradzimy zimną. Dziękuję ci, Pierce.

Ordynans uniósł brwi ze zdziwienia, ale z głosu księcia wynikało, że szkoda czasu na dyskusję. Czym prędzej więc zrobił w tył zwrot i wycofał się z pokoju.

- Czemu go odesłałeś? - spytała Mary, siadając w łóż-

ku. Jedną ręką przytrzymała prześcieradło nad piersiami, jakby nagle, mimo całonocnych igraszek miłosnych, zawstydziała się swojej nagości.

- Ze względów strategicznych - wyjaśnił Nick.
- Jak to strategicznych?

Obserwowała, jak Nick, odrzuciwszy wszelkie przykrycia, stanął obok łóżka. Widok jego nagiego ciała był już jej znajomy, a jej oczu nie raziły blizny, chociaż przy dziennym świetle było je widać lepiej niż przy blasku kominka. Vail tylko czekał cierpliwie, aż jej oczy znów napotkają jego spojrzenie.

- Musiałem opracować specjalną strategię, aby prze rzucić cię stąd - wskazał na zmiętoszoną pościel łóżka, które dzielili tej nocy - tam. - Spojrzał wymownie na drzwi prowadzące do jej sypialni i dodał: - Tak, żeby nie było widać tego.

Wyciągnął rękę i szarpnął palcem prześcieradło, którym Mary się zakrywała.

Oboje roześmiali się, ale śmiech szybko zniknął z jego twarzy.

- Potrzebne nam będą lepsze konie - zmienił temat.
 - Że co? - nie zrozumiała, bo równocześnie ściągnął ją z łóżka.

- Pierce będzie musiał wynająć naprawdę szybkie konie, żebyśmy zdążyli na czas.

Mimo wysokiej jakości rozstawnych koni, wynajmowanych przez Pierce'a na stacjach pocztowych, droga do

Szkocji zajęła prawie dwa dni. Mary nie zgodziła się na kolejny nocleg w gospodzie, bo wiedziała, że gdyby Vail podróżował sam, nie przerywałby jazdy także nocą. Nie chciała opóźniać tempa, zwłaszcza że to jej najbardziej ze wszystkich spieszo było do spotkania z Richardem.

Dwór, do którego zaprowadził ich Smithers, okazał się potężną budowlą, przynajmniej według londyńskich standardów, przypominającą bardziej prymitywną fortecę niż budynek mieszkalny. Posadowiono go na równie niedostępnym wzgórzu, biorąc pod uwagę raczej względy obronne niż estetyczne. Otaczały go za to malownicze krajobrazy pogranicza Anglii i Szkocji, a Mary wyobrażała sobie, jak piękny widok musi roztaczać się z wąskich okienek. Przypatrywała się dworzyszczu z okien powozu, gdy odpoczywali przed podjęciem wspinaczki skalną serpentyną wiodącą na szczyt wzgórza.

- Abigail nigdy nie wspominała, że ma jakąś rodzinę. Przynajmniej nie wtedy, kiedy mieszkałam w ich domu - zastanawiała się Mary, gdy tymczasem konie forsowały karkołomny podjazd. - Sądziłam, że nie ma komu się za nią ująć, kiedy Traywick tak ją maltretował. Okazuje się jednak, że miała krewnych, i to dobrze urodzonych.

- Podobno zerwali z nią wszelkie stosunki, kiedy wyszła za Traywicka. - Nick powtórzył rewelacje zasłyszane od Smithersa.

- Dlaczego więc wysłał Richarda właśnie do nich? Gdzie tu logika?

- Może chciał się w ten sposób zemścić równocześnie

na nich i na nas? Im podzucić obce dziecko, zarazem skutecznie ukrywając je przede mną? Pomyśl, Mary, gdyby nie Smithers, nigdy byśmy go nie znaleźli.

- Na szczęście był akurat razem z Traywickiem, kiedy trafiliśmy na jego ślad.

- Na szczęście? - powtórzył Nick, gdyż nie był pewien, kto tu miał większe szczęście. Smithersa już poinformował o swoich podejrzeniach, ale, na razie, nie chciał dzielić się nimi z Mary. Przynajmniej dopóki nie odnajdą chłopca.

- Jak to, przecież tylko on znał plany Traywicka, a my mieliśmy szczęście, że na niego trafiliśmy - tłumaczyła Mary. - Czy to dlatego Traywick chciał zabrać Smithersa ze sobą, bo tylko on o tym wiedział? Czy też liczył na to, że na kontynencie będzie potrzebował jego pomocy?

- Podejrzewam, że Smithers nigdy nie postawiłby nogi na kontynencie. - Vail zdecydował się na szczeróść.

- To znaczy... myślisz, że Traywick chciał go,.. zabić?

- A jak ci się wydaje? Jeśli dwóch ludzi płynie w jednej łodzi, a pierwszy nie przeczuwa zamiarów drugiego, to pod osłoną nocy łatwo się go pozbyć.

- Rzeczywiście, nikt nie wiedziałby, co się z nim stało, ani co się stało z Richardem.

Książę tylko pokiwał głową.

- Myślisz, że on jeszcze tu kiedyś wróci?

- Musiałby być głupi, żeby wracać, a kim jak kim, ale głupcem Traywick na pewno nie jest. Wykupiłem wszystkie jego weksle i zastawy, a bylebyśmy tylko odebrali Ri-

charda, zrobię to, czym mu groziłem, to znaczy puszcę go z torbami. Nie, w Anglii Traywick nie będzie miał już do czego wracać.

Mary zadrżała, gdyż przypomniała sobie, że raz już padły słowa: „Traywick jest szalony, ale nie jest głupi”. Nie wyraziła jednak głośno swych wątpliwości, gdyż powóz akurat się zatrzymał. Wmawiała sobie tylko, że Nick na pewno ma rację. Kiedy odbiorą Richarda, Traywick nie będzie w stanie nic im zrobić.

Salon, do którego ich wprowadzono, był chłodny i ponury mimo buzującego w ogromnym kominku ognia i mnóstwa świec porozstawianych na stołach. Ich płomyki nie były w stanie rozjaśnić cieni rzucanych przez kamienne ściany. Mary słusznie oceniła, że pierwotnie był to zamek, co na tle ociekającej krwią historii tego regionu miało pełne uzasadnienie.

Sędziwa dama, wtulona w wysokie oparcie fotela, wyglądała na skurczoną ze starości, ale spojrzenie jej czarnych oczu było równie ostre i przenikliwe jak hulające po sali przeciągi. Nie spuszczała z nich wzroku, kiedy szli do niej przez całe przestronne pomieszczenie.

Mary wyobrażała sobie, jakie musieli zrobić na niej wrażenie: czworo zdrożonych podróżnych w zniszczonej odzieży, jak włóczędzy. Najkorzystniej prezentował się Nick, co wynikało z jego arystokratycznego pochodzenia i wychowania. Dawało mu to zarówno pewność siebie, jak i umiejętność znalezienia się w każdych okolicznościach.

A im bliżej podchodzili do starszej damy, tym bardziej oczywista stawała się niezręczność tej sytuacji.

W opinii Mary Nick był najbardziej uprawnionym do przemawiania w ich imieniu. W końcu jego pozycja społeczna wiązała się zarówno z przywilejami, jak i z obowiązkami, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało. Tym bardziej że czarne paciorki oczu gospodyni utkwione były w twarzy Nicka. Najwidoczniej ona też widziała w nim przywódcę tej grupy i oczekiwała od niego wyjaśnień, co robią w jej domu i dlaczego tak uporczywie domagali się rozmowy z nią.

- Przepraszamy za najście, lady Keith - zaczął Vail - ale przyjechaliśmy z daleka, żeby omówić z panią bardzo ważną sprawę...

- A ty, chłopcze, to kto? - Staruszka szorstko przerwała mu tę uprzejmą przemowę.

Mary zauważyła, że Nick z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Nazywam się Vail.

- Ach, Vail - powtórzyła. - Księżę Vail, prawda? Znałam twojego dziadka. Niezły łajdak był z niego! - Te ostatnie słowa zabrzmiały wyzywająco.

- Jednak przyznasz, pani, że czarujący łajdak! - uśmiechnął się Nick. Wiedział doskonale, jaką opinię miał jego dziadek, który przy tym cieszył się nadzwyczajnym powodzeniem u kobiet.

Roześmiała się zgrzytliwie, potem zakasłała, a kiedy znów mogła przemówić normalnym głosem - nie poruszała już tematu dostojnych przodków Vaila.

- Zdaje się, młodzieńcze, że zaniedbałeś coś, co do ciebie należało? - zagadnęła, prześlizgując się wzrokiem po jego rysach i powtórnie spoglądając mu w oczy.

- Tak, to było karygodne zaniedbanie - potwierdził natychmiast.

- Przypuszczałam, że ten szubrawiec Traywick musiał mieć z tym coś wspólnego - wyrębała bez ogródek. Pochodziła bowiem z pokolenia, w którym kobietom było wolno znacznie więcej niż ich wnuczkom, skrepowanym konwenansami.

- Jesteś, pani, równie przenikliwa jak piękna - rzucił zdawkowy komplement z wyrazem obojętnej uprzejmości. Ku jego najgłębszemu zdziwieniu pani domu obdarzyła go afektowanym uśmiechem, więc kontynuował swoją przemowę: - Niepokoiłem się już, jak zdołam wyjaśnić pani cel naszego przybycia. Okazuje się jednak, że mój niepokój był bezpodstawny.

- Od początku wiedziałam, że to nie mogło być dziecko Abigail, choćby Traywick nie wiadomo jak zapewniał. Nigdy nie widziałam drugiej takiej niezaradnej idiotki jak Abby. Raz tylko odważyła się postawić na swoim, kiedy uciekła z tym oślizłym kupczykiem! Wydawało się jej, że jest w nim zakochana, czy raczej on jest zakochany w niej. Wyjątkowo odrażający jegomość. Czyś ty go przypadkiem nie zatłukł gdzieś po drodze? - zapytała z wyraźnym zainteresowaniem.

- Niestety... - Vail wołał nie kończyć zdania.

- A szkoda! Chłopak jest podobny do ciebie jak dwie

krople wody. Do twojego dziadka zresztą też. Nie wiem, dlaczego od razu tego nie zauważyłam. Nie mogłam się domyślić, czyje to może być dziecko, ale byłam pewna, że nie Traywicka ani nie Abby. Zachodziłam w głowę, po co ten szubrawiec przysłał je do mnie.

- Ale jest bezpieczny, prawda? - nie wytrzymała Mary.

Przenikliwe czarne oczy starszej damy poddały ją równie skrupulatnym oględzinom jak przedtem Nicka.

- A ty, panienko, to kto? - zapytała obcesowo.

- Proszę o wybaczenie, lady Keith - odpowiedział za nią Nick - że nie przedstawiłem pani dotychczas mojej małżonki, księżnej Vail.

- Mary - dodała ta ostatnia, wciąż nieprzyzwyczajona do arystokratycznego tytułu.

- Jesteś jego matką? - spytała wprost lady Keith.

- Tak.

- No więc dlaczego...

- To długa historia - wtrącił się znów Nick. - A dla nas szczególnie bolesna.

- Więc ty mi ją opowiesz, mała, jeśli on nie chce. Mamy mnóstwo czasu, żeby wysłuchać nawet najdłuższej historii, a im bardziej sensacyjnej, tym lepiej. Za moich czasów, kiedy bywałam na londyńskich salonach, uwielbiałyśmy słuchać o skandalach towarzyskich. A czy to bardzo skandalizująca historia, kochanie?

- Wystarczająco, aby zmarnować życie tego dziecka, gdyby ktokolwiek inny ją usłyszał - odpowiedziała szczerze

Mary, gdyż zważywszy okoliczności, które przywiodły ich w to pustkowie, zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- Nie mam przed sobą więcej niż pół roku życia! - oświadczyła dama z takim błyskiem w oku, jakby opowiedziała świetny dowcip. - Moi lekarze są co do tego zgodni, a jest to jedyna rzecz, o której mówią wspólnym głosem. Poza tym i tak nie mam tu do kogo gęby otworzyć, więc nie miałabym przed kim wygadać się z twoich tajemnic. Wyszłam za hrabiego Keitha, ponieważ był takim samym czarującym łobuzem jak twój mąż, ale dopiero gdy mnie w sobie rozkochał, przyznał się, że nie ma zamiaru opuszczać ukochanej Szkocji. Dlatego nigdy nie wróciłam już do Londynu i na koniec tutaj umrę.

- Ale nie żałuje pani, że stała się szkocką lady? - podsunął dyskretnie Vail. W jej głosie wciąż dało się wyczuć wielką miłość do zmarłego męża.

- Rzeczywiście jesteś czarującym łobuzem! - uśmiechnęła się do niego i zwróciła się znów do Mary: - Można mi powierzyć każdą tajemnicę tak samo bezpiecznie jak twoje dziecko. Należy mi się chyba szczerza opowieść za tyle tygodni sprawowania opieki nad nim. Myślę, że to uczciwa transakcja.

Mary, widząc, że nie ma wyboru, w końcu skinęła głową.

Lady Keith wyprawiła mężczyzn do jadalni na posiłek, a Mary wskazała miejsce naprzeciw siebie. Ta, acz niechętnie, usłuchała i choć czasem załamywał jej się głos, udało jej się przeżyć wszystko od nowa, nie przepuszcza-

jąc żadnego szczegółu ani własnych potknięć. Czarne, paciorkowate oczy nie przestawały obserwować jej twarzy.

- ... no i dziś dotarliśmy tutaj, a resztę już pani wie - zakończyła.

- A chciałabyś go zobaczyć? - podsunęła pani domu.

Myślami Mary jeszcze wciąż przebywała w sypialni gospody. Nie od razu więc dotarło do niej, co proponuje jej gospodyni.

- Richarda? - spytała na wszelki wypadek.

- O tej porze mały oczywiście śpi, ale to niedaleko stąd. Mogę cię tam zaprowadzić, jeśli chcesz.

- O, tak! - wyszeptała Mary.

- Czy mam także posłać po tego czarującego łobuza, twojego męża?

Wprawdzie Mary uważała, że sprawiedliwie byłoby, gdyby i Nick mógł zobaczyć syna, ale z jakichś przyczyn zwlekała z odpowiedzią. Starsza pani zdecydowała więc za nią.

- Masz rację, niech to zostanie między nami kobietami. Nie będziemy go budzić, a do rana przemyślisz sobie, jak przedstawić go ojcu, czyli tatuńciowi, jak u nas mówią. Dziwni ludzie z tych Szkotów - mówiła dalej. - Za to urodzeni żołnierze i dobrzy kochankowie.

W jej głosie pobrzmiwała nostalgia. Na zakończenie zaśmiała się suchym, szeleszczącym śmiechem, więc i Mary uśmiechała się.

Zdażyła już zapomnieć, jaki jest jeszcze mały. Spał na boku, z piastką podłożoną pod bródkę, różową i okrągłą

jak u niemowlaka. W świetle świecy, którą starsza pani trzymała wysoko w górze, widać było jego złote loczki i gładką, prawie przezroczystą skórę. Mary, walcząc ze łzami, powtarzała sobie raz po raz, że nareszcie jej syn będzie bezpieczny i żaden Marcus Traywick nie podniesie na niego ręki. Nick już tego dopilnuje.

- To naprawdę uroczy chłopiec, Mary - rozpływała się stara hrabina, spoglądając na śpiące dziecko. - Z takiego syna można być dumnym. Żałuję, że to nie mój rodzony wnuk.

- Jestem pani wdzięczna za opiekę nad nim - szepnęła Mary, czule dotykając złotych loków rozrzuconych na poduszce. - Doprawdy nie wiem, jak pani dziękować, bo przecież miała pani przeczucie, że to nie jest dziecko Abigail. Dobrze przynajmniej, że ona kochała go, jakby był jej rodzonym synem. Kiedy tylko ją poznałam, od razu wyczułam w niej pokrewną duszę. Pewnie dlatego zgodziłam się oddać jej chłopca.

- Głupia smarkula! - parsknęła lady Keith z pozorną szorstkością, ale to, co zaraz dopowiedziała, popsuło zamierzony efekt: - Biedna idiotka! Czy ten kupiec był przynajmniej dobry dla niej, Mary? Byłoby mi lżej, gdybym chociaż tego mogła być pewna.

Mary zbyt dobrze pamiętała ciemne sińce pokrywające wyniszczone ciało Abigail Traywick, aby móc skłamać bez zająknięcia. Pomyślała jednak, że prawda nie przyniosłaby teraz nikomu korzyści, więc wyszeptała nieśmiało:

- Oczywiście, że był dla niej dobrym mężem.

Spojrzenia czarnych i niebieskich oczu nagle skrzyżowały się.

- Nie umiesz tak dobrze kłamać jak twój przystojny małżonek, ale dziękuję ci, że próbowałaś.

Lady Kiith zabrała świecę i pierwsza zawróciła tam, skąd przyszła. Mary zdążyła jeszcze po omacku musnąć wargami miękkie, złote loczki synka. Kiedy już wychodziła, dotarły do niej słowa dziedziczki, odbijające się od kamiennych ścian, po których pełgało światło świecy:

- Biedna mała...

Życząc dobrej nocy lady Keith, Mary poszła za służącą do wyznaczonej dla niej sypialni, sąsiadującej z pokojem męża i połączonej z nią wspólnymi drzwiami. Odesłała pokojówkę, zapewniając ją, że potrafi rozebrać się sama. Mimo protestów dziewczyny zamknęła jej drzwi przed nosem i zaraz poczuła rozkoszny dreszczyk oczekiwania.

- Widziałaś go? - spytał Nick, który czekał na nią przy dogasającym kominku. Zdążył się już rozebrać.

- Tak - odpowiedziała, idąc ku niemu przez pokój.

- I co?

- Nie chciałam go budzić.

- Zdecydowałaś już, co mu powiesz?

- Jeszcze nie, bo nie wiem, co byłoby dla niego najlepsze. Może na początku tylko tyle, że przyjechaliśmy po niego i chcemy go zabrać do siebie, bo Traywick gdzieś wyjechał?

- A co z resztą? - dopytywał Nick, mając na myśli prawdę o pochodzeniu chłopca.

- To jeszcze małe dziecko. Niedawno stracił matkę, czy raczej osobę, którą uważał za matkę. Potem widział Traywicka z głową w kominku, a mnie stracił z oczu, gdyż zamknięto mnie w więzieniu i oskarżono o usiłowanie morderstwa. Następnie ten, kogo uważał za ojca, wysłał go do obcych ludzi, a teraz my chcemy przewrócić jego życie do góry nogami. Nie wiem, czy mamy prawo wymagać od niego, aby pogodził się z tym, że błędy dorosłych tyle zepsuły w jego życiu.

- Więc nie chcesz powiedzieć mu prawdy? - spytał beznamiętnym tonem.

- Ależ oczywiście, że chcę! Tylko jeszcze nie teraz. Wszystko w swoim czasie, żeby zdążył przyzwycząić się do nas i do pałacu w Vail. Wydaje mi się, że byłoby nie w porządku wobec niego przedstawić mu całe jego dotychczasowe życie jako jedno wielkie kłamstwo, tym bardziej że nie był niczemu winien.

Nick pomyślał z goryczą, że to kolejna kara, jaką musi odcierpieć za swój postępek, ale wiedział, że Mary ma rację. Ze względu na Richarda musiał jeszcze trochę poczeekać, zanim uświadomi chłopca, kto jest jego ojcem. W Vail przynajmniej nic nie będzie mu zagrażać, a kiedy przestanie traktować go jak obcego, lepiej przyjmie prawdę.

- Chodź do mnie. - Zachęcającym gestem ręki wskazał na łóżko. - Na szczęście nie musimy dziś rozwiązywać tych wszystkich kwestii. Mamy całe życie przed sobą, żeby je uporządkować.

Wyciągnęła do niego rękę, a on podniósł ją do ust.

- Będziesz musiał pomóc mi się rozebrać - oznajmiła.
- Dobrze, że odesłałam pokojówkę lady Keith, bo byłbyś ją zaszokował. Nawet bardzo! - dodała, prowokacyjnie kierując wzrok w stronę obnażonych partii jego ciała. Podobnie jak przedtem w gospodzie, na jej policzkach zakwitł rumieniec.

- Nie przypuszczałem, że można tak dosłownie rozumieć zwrot „zapłoniona narzeczona” - roześmiał się Vail. Położył jej ręce na ramionach, obrócił ją tyłem do siebie i z niespodziewaną biegłością zabrał się do rozpinania małych guziczków na plecach jej sukni.

- Może i zapłoniona, ale przecież nigdy nie byłam twoją narzeczoną! - zaprotestowała.

- To prawda, od razu uczyniłem cię moją żoną - zgodził się, zsuwając suknię z jej ramion. Nie omieszkął przy tym wycisnąć pocałunku na ciemnych puklach opadających na jej szyję. - Nie mieliśmy czasu na narzeczeństwo, a teraz już chyba za późno, aby naprawić to zaniedbanie. Zważywszy, że sąd uznał legalność naszego ślubu, powtarzanie ceremonii byłoby zbyt ryzykowne, a przede wszystkim podważałoby prawa Richarda do...

- Przecież ja wcale nie narzekam - zapewniła skwapliwie, obracając się do niego twarzą. Zdjęła suknię do końca i rozłożyła na krześle przy kominku, a potem ujęła jego rękę. - Wolę być twoją żoną niż kimkolwiek innym. Nawet jeśli nasze małżeństwo nie zaczęło się tak jak trzeba, to przecież możemy dołożyć starań, żeby było coraz le-

psze. W głębi serca zawsze czułam się twoją żoną i nic tego nie zmieni.

Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, a potem wolną ręką zaczął rozwiązywać wstążeczkę ściągającą dekolt jej koszuli. W końcu stanęła przed nim okryta tylko odbłaskiem migających płomieni kominka.

Zniżył głowę, aby ucałować zagłębienie u nasady jej szyi. Wystarczyło dotknięcie jego warg, aby od razu przysły wszelkie troski, przez tę krótką chwilę przestała nawet myśleć o małym chłopcu, śpiącym bezpiecznie w murach kamiennej fortecy. Nie liczył się dla niej nikt ani nic poza odkrytym na nowo, a jednocześnie tak dobrze znanym pożądanym, przedtem tłumionym przez żal i rozczarowanie.

Dopiero teraz ręce Nicka sprawiły, że miejsce przykrych wspomnień zajęły nowe przeżycia. Nick zaniósł ją do łóżka, jak zrobił to ubiegłej nocy i przy dogasającym ogniu w kominku cierpliwie i z czułością objaśniał jej tajniki bycia żoną.

W ciemnościach przed świtem rozległo się cichutkie pukanie. Usłyszała je Mary, której matczyna troska nakazywała spać czujnie. Na palcach przebiegła do drzwi, za którymi stał Pierce.

- Lady Keith prosiła, żebyście z panem pułkownikiem zeszli do niej - przekazał.

- Zejść do niej? Po co? - nie zrozumiała Mary.

- Musicie się ubrać - podsunął Pierce.

- Ale...

- I pospieszcie się - dodał.
- Boże, czy coś z Richardem?
- Nie, z chłopcem jest wszystko w porządku. Słowo honoru, że to nie ma z nim nic wspólnego, ale ta starsza pani była dla nas taka dobra... - Pierce nie musiał przypominać jej, co zawdzięczają babce Abigail.

- Oczywiście - zgodziła się szybko.

Po kilku minutach oboje szli za Pierce'em przez ciche korytarze przygranicznej fortecy.

Zaprowadził ich do małej, domowej kaplicy, która w latach wojen religijnych została ogołocoona z wszystkiego, a jako jedyna ozdoba pozostało małe, witrażowe okno nad kamiennym ołtarzem. W półmroku oczekiwała ich hrabina Keith w towarzystwie swego powiernika, sędziwego pastora o włosach białych jak mleko i życzliwej twarzy, podobnej do ojca Mary.

Starsza dama podeszła do nich, ale patrzyła tylko na Mary.

- Gdybyście nie mieli nic przeciwko temu... - zaczęła, wyciągając ku nim rękę. - To nie jest duchowny anglikański, bo nawet ja nie potrafiłam tego załatwić. Inaczej nie dałoby się utrzymać tego ślubu w tajemnicy. Najważniejsze, że to prawdziwie Boży człowiek o wielkim sercu. Spieraliśmy się przez całe lata na temat różnic religijnych, ale w końcu doszliśmy do wspólnego wniosku, że Bóg nie dba o doktryny, tylko o naszą pobożność i miłość bliźniego.

- I nasze intencje - dodała szeptem Mary, wznosząc

oczy ku pierwszym promieniom wschodzącego słońca, przeświecającym przez witrażowe okno.

I tak, w obecności świadków, którymi byli sierżant John Pierce i hrabina Keith, małżeństwo między księciem i księżną Vail zostało powagą Kościoła uznane za zawarte. W gruncie rzeczy jednak odnowione zostały tylko śluby, które dawno przed sobą złożyli i przez lata zachowywali.

- Możesz już otworzyć oczy - zezwoliła lady Keith.

Chłopiec, którego trzymała za rękę, posłusznie uniósł złociste rzęsy, które odsłoniły szare oczy, rozszerzone niecierpliwością. W swoim krótkim życiu nie doznał zbyt wielu miłych niespodzianek, ale z dziecinnym zapałem przyjął słowa prababci, która zapewniała, że w salonie na dole czeka na niego wspaniała niespodzianka.

Przez chwilę pomyślał o drewnianym żołnierzyku, którego pan Smithers musiał spalić, ale zaraz odrzucił to marzenie jako zbyt wygórowane. Skąd bowiem prababcia miałyby wiedzieć, jak bardzo chciałby dostać takiego samego?

- Mary! - zawołał, wyrywając się starszej pani. Popędził co sił w nogach na drugi koniec wielkiej sali i rzucił się na szyję swojej byłej guwernantce. Nie zwracał przy tym uwagi na wysokiego, nieznajomego mężczyznę, który stał obok niej.

- Och, Mary! - szeptał z buzią przyciśniętą do jej ramienia, podczas gdy ona przyklękła, mocno obejmując ramionami jego małe, lecz krzepkie ciało. - Tak za tobą tęskniłem!

- A ja za tobą - odpowiedziała, z trudem hamując łzy. Zbyt długo odmawiała sobie prawa do płaczu.

Richard odchylił się do tyłu, aby spojrzeć jej w twarz i małym paluszkiem starł pojedynczą łzę, która kapnęła jej na policzek.

- Czy to mój ojciec po mnie przysłał? - spytał z niepokojem. Pytające spojrzenie kierował to na lady Keith, to znów na Mary. - Kazał wam przywieźć mnie z powrotem do domu?

- Twój ojciec... musiał wyjechać na jakiś czas - skłamała Mary, nie chcąc na razie wdawać się w wyjaśnienia. Wiedziała bowiem, że im mniej mu powie, tym rzadziej będzie musiała kłamać. Wystarczająco długo żyła w nieprawdzie, wmawiając własnemu synowi, że jest jego guwernantką. Wtedy jednak uważała to kłamstwo za konieczne dla dobra Richarda.

- Wyjechał? Do Londynu? - zgadywał chłopiec.

- Tym razem nie - uśmiechnęła się, machinalnie odgarniając mu opadające na czoło loki. - Obawiam się, że twój ojciec nie wróci do domu, przynajmniej przez dłuższy czas. Uzgodniliśmy więc z lady Keith, że mógłbyś zamieszkać ze mną.

- W domu mojego ojca? - zapytał z powątpiewaniem. Mary zastanawiała się nieraz, jak Traywick wytłumaczył chłopcu scenę, której był świadkiem, kiedy kupiec próbował ją zgwałcić. Cokolwiek jednak mu nagadał, nie zniszczyło to miłości, jaką Richard zawsze ją darzył. Najlepszym dowodem tego było, jak ją przywitał.

- Nie - odpowiedziała, po raz pierwszy w tym dniu oglądając się na Vaila. Chłopiec wodził oczami za nią, ale gdy ponownie zwróciła się do niego, ich spojrzenia skrzyżowały się tak jak przedtem. - Teraz mieszkam gdzie indziej, z moim mężem, ale oboje chętnie weźmiemy cię do siebie.

- Dopóki mój ojciec nie wróci?

Mary nie chciała dodawać kolejnego kłamstwa do tych, które już padły, więc tylko enigmatycznie skinęła głową.

- A co będzie z prababcia? - przypomniał sobie Richard, odwracając się w stronę lady Keith, która przyglądała się całej scenie, oparta na lasce.

- Prababcia uważa, że to świetny pomysł - odpowiedziała z rozbawieniem starsza dama. - Towarzystwo takiej starej kobiety nie jest odpowiednie dla chłopca.

- Ale... - W przejrzystych oczach Richarda odbiło się zakłopotanie.

- Chłopcy są przeważnie hałaśliwi i zuchwali, nic, tylko uganiają się z psami albo szaleją na kucach - dodała, nie dopuszczając go do głosu.

- Ale ja nie jestem hałaśliwy ani zuchwały - zaprotestował nieśmiało mały, rumieniąc się z powodu niesprawiedliwej przygany. - Nie mam nawet swojego kucyka...

- I w tym cały kłopot! - podsumowała prababka tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Powinieneś być tata jak inne dzieci w twoim wieku i robić to samo, co wszyscy chłopcy, zamiast siedzieć tu w towarzystwie zgrzybiałych

służących i jednej starej kobiety, która żyje już tylko przeszłością.

- Ale ja lubię mieszkać z prababcią! - nadal upierał się Richard.

- Dziecko drogie! - westchnęła lady Keith. - To naprawdę nie jest miejsce dla małego chłopca. Pojedziesz do domu Mary i twojego... - urwała nagle, więc Richard zwrócił oczy na wysokiego mężczyznę, który stał obok, ale dotychczas nie brał udziału w rozmowie. - No, tego czarującego łobuza, jej męża. Idę o zakład, że ma już dla ciebie w stajni kucyka, albo i dwa. A może i pieska, prawda, wasza wysokość? - podsunęła, nie spuszczając oczu z chłopca.

- Jednego albo i dwa - potwierdził Vail.

- Dwa kucyki? - powtórzył malec z niedowierzaniem, spoglądając na księcia szarymi oczami wielkimi jak spodki.

Jego wysokość księżę Vail lekko się uśmiechnął na widok nabożnej czci w oczach chłopca. Miał jednak okazję wypróbować swoje legendarne opanowanie, więc tylko spojrzął w szare oczy, tak łudzaco podobne do jego własnych.

- I psy - dodał.

- A ja mógłbym... - Richard nie był pewien, jak sformułować pytanie, które samo się narzucało. Mógł przecież źle zrozumieć jego wysokość. Może ten kucyk, o którym wspominał, był już przeznaczony dla innego chłopca? Przykro byłoby pomylić się w tak ważnej kwestii. Poszukiwał wzrokiem oczu Mary i dopiero na jej ośmielające skinięcie głową odważył się dokończyć pytanie: - Mógłbym dostać któregoś z nich?

- Jeśli tylko będziesz dbał o niego jak należy – odpowiedział całkiem poważnie Vail, powstrzymując wzruszenie na widok rozradowanej dziecięcej buzi. - Konie służą nam wiernie, ale w zamian wymagają serdecznej i odpowiedzialnej opieki.

Takie nauki odbierał Vail od swojego ojca, któremu z kolei to samo powtarzał jego ojciec. Stary książę wpajał Nickowi i jego bratu, że przywilejom powinno towarzyszyć poczucie obowiązku, a komu więcej dano, od tego więcej się wymaga. W całym swoim życiu Nick kierował się tą maksymą. Odstąpił od niej tylko raz, czego dowodem było stojące przed nim dziecko.

- Ale ja nie wiem, jak trzeba dbać o kucyki - wyznał Richard, czując, że obiecana przyjemność wymyka mu się, zanim jeszcze jej spróbował,

- Pierce nauczy cię wszystkiego - zapewnił go Vail, oczekując od ordynansa potwierdzenia swoich słów.

Pierce był jednak równie zakłopotany tą propozycją jak przedtem Richard. Podejrzewał bowiem, że książę zechce scedować na niego obowiązki, które tradycja przypisywała ojcu. Kiedy jednak ujrzał w oczach chłopca przeblask nadziei, skwapliwie przytaknął.

- Pewnie, paniczu, chętnie nauczę cię wszystkiego, co trzeba. Ale najpierw musisz poprosić księcia pana, żeby sam wybrał dla ciebie odpowiedniego kucyka. Drugiego takiego znawcy koni nie ma w całym kraju.

- Dziękuję, Pierce - odpowiedział Vail, dając do zrozumienia, że przejrzał intencje ordynansa.

- Czy książkę pan zrobiłby taką rzecz? - Richard odważył się zapytać Vaila wprost. - Wybrałby dla mnie kucyka?

Vail przez chwilę wpatrywał się w dziecięcą buzię, zadartą do góry w radosnym napięciu. A więc tak wygląda jego syn! Jasne, że Nick cieszył się z sukcesu poszukiwań, ale czuł, jak odgradza go od Richarda niewidzialna ściana. Wierzył, że Mary słusznie zwleka z obarczeniem dziecka prawdą, która nawet dla dorosłego byłaby zbyt bolesna i ciężka do zniesienia, ale utrzymywanie sztucznego dystansu okazało się dużo trudniejsze, niż myślał.

Niczego w tej chwili nie pragnął tak bardzo, jak porwać w ramiona swego syna, którego sam opuścił i pozbawił przywilejów wynikających z urodzenia. Widocznie jednak nie zasłużył jeszcze na tę nagrodę, ponieważ zbyt długo uchylał się od odpowiedzialności. Musiał więc, tak samo jak wtedy, kiedy dowiedział się o istnieniu swojego dziecka, trzymać uczucia na wodzy.

- Nick! - Mary przypomniała mu, że nie odpowiedział na pytanie chłopca.

- Myślę, że w naszych stajniach znajdziemy coś odpowiedniego. Mamy w Vail dużo różnych koni.

- Ale... - wyszeptał chłopiec, pełen obawy, że gdy wyzna prawdę, ten wysoki mężczyzna uzna go za niegodnego posiadania kucyka. - Widzi pan, ja... nie umiem jeździć...

„Pierwszy koń chłopca wyrobi w nim odwagę, szczerść i wielkie serce” - powiedział przedtem Pierce. Vail

doszedł jednak do przekonania, że jego syn posiadał już te przymioty.

- Chętnie cię tego nauczę, bylebyś tylko chciał - obiecał.

- Bardzo tego chcę! - rozpromienił się chłopczyk. - Książę pan naprawdę mógłby?

Vail nie dał rady do końca zachować powagi.

- Oczywiście, że mógłbym - zapewnił, za co chłopiec podziękował wstydliwym uśmiechem, w którym jeszcze bardziej uwidocznilo się podobieństwo do ojca.

- A tu jest pokój dziecinny - obwieściła Mary, w tym miejscu celowo tu kończąc wycieczkę po majątku Vail. Wrócili ze Szkocji dopiero późnym wieczorem poprzedniego dnia, po długiej i wyczerpującej podróży. Położyła wtedy chłopca do swojego łóżka, bo był tak zmęczony, że zasnął, jeszcze zanim dotknął poduszki. Posiedziała trochę przy nim, a potem, zostawiając uchylone drzwi, wymknęła się do przyległej sypialni, gdzie czekał na nią Nick.

Zgodnie z tradycją panującą w rodzinie książąt Vail, ten właśnie pokój przeznaczano dla pierworodnych synów. Nick tymczasem posłał po swoją dawną guwernantkę, do której był bardzo przywiązany. Mimo wieku chętnie zgodziła się zająć chłopcem, dopóki nie zostanie rozwiązany problem jego dalszej edukacji. Wprawdzie Richard osiągnął już wiek, kiedy można by wysłać go do szkoły, ale Vail widział, że Mary niechętnie powierzyłaby, go obcym ludziom. Sam zresztą uważał, że nie należy tego ro-

bić, dopóki Traywick nie przestanie stanowić zagrożenia dla chłopca.

Nick nie poszedł razem z nimi do pokoju dzieciennego, gdyż nie chciał narzucać się synowi, dopóki ten nie poczuje się pewniej w nowym otoczeniu. Z następującymi mu na pięty spanielami zaczął już schodzić po schodach, by nie spóźnić się na spotkanie z zarządcą majątku, gdy nagle coś sobie przypomniał.

Właściwie nie wiedział, dlaczego stale nosił przy sobie resztki drewnianego żołnierzyka, którego Traywick kazał Smithersowi spalić. Odkąd znalazł go w wygasłym paleniku, traktował go jak talizman, stwarzający więź między nim a dzieckiem, którego szukali. Teraz zaś miał przypominać, że nigdy już nie wolno mu pozwolić, aby ktokolwiek zniszczył to, co było dla tego dziecka drogie.

W ostatniej chwili książkę zawrócił na piętro, chociaż przykro mu było, że każe czekać zarządcy. Uprzejmość wobec pracowników należała do obowiązków, które wpał mu ojciec, ale w tej chwili miał ważniejsze sprawy.

Drzwi pokoju dzieciennego były otwarte i Nick stanął przed nimi akurat w momencie, kiedy jego syn z zachwytem brał do rąk skarby zgromadzone w latach chłopięcych przez niego i jego brata Charlesa. Były wśród nich barwne kamyczki, muszle przyniesione znad morza i ptasie gniazdko z trzema błękitnymi jajeczkami w środku, zachowane w tak samo dobrym stanie jak prawie trzydzieści lat temu. Małe paluszki skrupulatnie badały gładką powierzchnię kamyczków.

Richard odwrócił się właśnie, aby uśmiechnąć się do Mary. Na widok Nicka odłożył kamyk na półkę i założył ręce za plecy, jakby przyłapano go na czymś wielce niestosownym.

- Czy to wszystko należy do waszej wysokości? - spytał.

Mary dopiero wtedy obejrzała się na drzwi i zachęcającym uśmiechem zaprosiła Nicka do środka. Za nim ruszyły psy, a widząc nieznanome dziecko, stłoczyły się wokół nóg swego pana. Richard miał oczy jak spodki, kiedy zaczęły przyjaźnie obwąchiwać go chłodnymi nosami. Ostrożnie pogłaskał któregoś po jedwabistym uchu i zdażył już zapomnieć, o co pytał księcia, bo na dźwięk jego głosu spojrzął wystraszony w górę.

- Albo do mnie, albo do mojego brata Charlesa. Z wyjątkiem muszli, znaleźliśmy to wszystko na naszych ziemiach. Teraz ty będziesz mógł chodzić, gdzie zechcesz i wzbogacać tę kolekcję. Nasze tereny są rozległe i dobrze strzeżone. - Tę ostatnią część zdania dodał, widząc niepokój w oczach Mary. - Psy będą ci chętnie towarzyszyć.

- Mogę wyprowadzać je na dwór? - Chłopczyk nie wierzył własnym uszom, oczarowany perspektywą zajmowania się tak uroczymi stworzeniami.

- Nazywają się Romulus i Remus. Będziesz mógł wszędzie z nimi chodzić - zezwolił Vail, opierając się o framugę. - Nie wiem tylko, kto tu kogo będzie wyprowadzał.

- Dziękuję, wasza wysokość - odpowiedział grzecznie chłopiec, delikatnie głaszcząc po głowie jednego spa-

niela, podczas gdy drugi podsuwał mu nos pod rękę, domagając się pieśczot.

- Tu jest teraz twój dom, Richardzie. Możesz czuć się tu zupełnie swobodnie. Daję ci słowo, Mary, że nic mu nie grozi - dodał, uprzedzając jej ewentualny protest. - A teraz chciałbym ci coś pokazać. Na pewno ci się to spodoba.

Kulejąc, przeszedł w drugi koniec pokoju i otworzył jedną z licznych szafek w ścianie. Mieściły się tam inne pamiątki z dzieciństwa, pozostawione w takim samym uroczym nieładzie, jakby on i Charles bawili się nimi dopiero wczoraj.

Nick wyciągnął stamtąd drewnianą skrzynkę o wieczku pokrytym warstwą kurzu. Opanował pokusę, by ją otworzyć, co niewątpliwie uczyniłby, będąc w wieku swego syna. Ten zaś, zamiast rzucić się z ciekawością na skrzynkę, siedział cierpliwie na swoim miejscu i tylko rozszerzone oczy zdradzały podniecenie.

Vailowi wydało się nienaturalne, aby chłopiec w tym wieku zachowywał się tak powściągliwie. Oczywiście kładł to na karb bolesnych przeżyć dziecka w ostatnich miesiącach. Miał nadzieję, że z czasem skrepowanie ustąpi i Richard zacznie tak samo cieszyć się urokami życia na wsi jak kiedyś on sam i jego brat. Liczył też, że niedługo mały poczuje się swobodniej w jego towarzystwie.

Postawił skrzynkę na stole, odsunął zameczek i podniósł wieczko. Oczywiście w skrzynce znajdowało się to samo, co kiedyś tam włożył: dwie armie ołowianych żołnierzyków w mundurach, których barwy tylko trochę wy-

blakły. Kawalerzysci dosiadali roztańczonych koni, jakby rwących się do szarży. Nawet armatka wyglądała, jakby lada chwila miała zacząć ziać ogniem i grzmieć wystrzałami.

Po jednej wykladał na stół figurki „swoich” i „wrogów”. Zawsze miał aż za wiele zabawek, ale tymi żołnierzami najbardziej lubił się bawić, staczając niezliczone bitwy, w których zawsze zwyciężał.

Chłopiec zbliżył się do rozstawionych żołnierzyków z wyraźnym zachwytem, ale ręce trzymał ciasno splecione za plecami, jakby się bał, że nieumyślnie czegoś dotknie i narobi szkody. Tymczasem Nick wyjął ostatnią figurkę i zamknął skrzynkę. Dopiero wtedy spojrział w szare oczy Richarda, które śledziły każdy jego ruch.

- Wiem, że one nie zastąpią ci tego żołnierzyka, którego dostałeś od Mary, ale chciałbym, żebyś je zatrzymał. Zawsze lubiłem się nimi bawić.

We wzroku chłopca było coś, czego Nick nie potrafił rozszyfrować. Najwyraźniej te oczy za dużo w życiu widziały i przedwcześnie dojrzały.

- Czy pan chciał zostać żołnierzem, kiedy jeszcze był chłopcem? - odważył się spytać.

- Vail dowodził pułkiem - powiedziała Mary. - Służył pod rozkazami księcia Wellington.

- Pan Smithers walczył pod Waterloo - poinformował Richard. Traywick zabraniał mu rozmawiać z byłym żołnierzem o jego przygodach wojennych, ale nie osłabiło to

jego zainteresowania tym tematem. - Czy pan też...? - przerwał, bo przypomniał sobie zakaz kupca.

- I tam, i w Hiszpanii - odpowiedział Nick, najwyraźniej nie widząc w tej tematyce nic niestosownego. Ośmielił tym sposobem Richarda do dalszych pytań.

- To dlatego pan utyka? Był pan ranny? Pan Smithers pod Waterloo stracił rękę. Czy pan był także bohaterem, jak pan Smithers?

Oczywiście tak mały chłopak nie mógł wiedzieć, że o takie rzeczy nie wypada pytać żołnierzy. Vail rozumiał jednak doskonale, że dla Richarda jego rany i przeżycia wojenne stanowiły po prostu jeszcze jedną fascynującą przygodę.

- Owszem, zostałem ranny pod Waterloo - potwierdził. W ciągu jednego dnia i tak nie dałby rady wyjaśnić synowi wszystkiego, zresztą nie była to odpowiednia ku temu pora. - Mam nadzieję, że podobają ci się żołnierzyki - zmienił temat.

Oznaczało to koniec rozmowy, co chłopiec w lot zrozumiał.

- Dziękuję waszej wysokości - odpowiedział grzecznie, ale dopiero gdy księżę wreszcie odszedł, ośmielił się dotknąć czerwono-złotego munduru dowódcy brytyjskiej armii.

- Którego chciałbyś zatrzymać? - zapytał Nick kilka dni później, kiedy razem oglądali kucyki. W stajni stały ich cztery, wybrane spośród najłagodniejszych i najlepiej

ujeżdżonych z tych, jakie w tak krótkim czasie zdołano ściągnąć z całego okręgu.

Wzrok dziecka przesunął się wzdłuż rzędu kształtnych łbów, wychylających się z nad niskich drzwi boksów. Na oczach księcia i Pierce'a Richard delikatnie dotykał miękkich chrap i spoglądał w każdą parę dużych, brązowych oczu. Vail znów nie potrafił rozgryźć, o czym chłopak w tej chwili myśli. Przypuszczał, że jest skrepowany w jego obecności, ale i tak nie widział jeszcze tak powściągliwego dziecka.

- Pierce powiedział, że księżę pan sam najlepiej wybrałby dla mnie kucyka - zaryzykował wreszcie, spoglądając nieśmiało na Vaila.

- Kiedy one wszystkie są dobre. Wybierz tego, który ci się najbardziej podoba, albo czujesz, że już go polubiłeś. Dobry kucyk stanie się nie tylko twoim wierzchowcem, ale przyjacielem i towarzyszem.

Oczy chłopca znów powędrowały od jednego boksu do drugiego.

- A co się stanie z tymi, których nie wybiorę? - zapytał cichym głosem.

Księżę zrobił zdziwioną minę, a między brwiami uformowała mu się zmarszczka.

- Odeślę je tam, skąd przybyły - wyjaśnił zwięźle.

- I jacyś inni chłopcy będą na nich jeździć? - wypytywał Richard, nie spuszczając oczu z boksów.

- Nie wiem, może tak. Na pewno nie stanie się im krzywda, jeśli cię to martwi. Popatrz, jakie są zadbane i odkarmione!

Nick nie rozumiał, co niepokoi chłopca. Na jego miejscu, dawno wybrałby jednego z kuców.

- Myśli pan, że one wiedzą?

- Co mają wiedzieć?

- To znaczy, jeśli wybiorę któregoś, czy inne będą o tym wiedziały? - odważył się w końcu podnieść oczy.

- Czy nie będzie im przykro, że zostaną odesłane do domu, bo jeden podobał mi się bardziej?

- Nie przypuszczam, żeby rozumiały aż tyle - uspokoił go Nick. Machinalnie poczochnął ręką jasne włoski dziecka ruchem prawie pieszczotliwym. - Czy poczujesz się lepiej, jeśli wybiorę za ciebie?

- Tak, ale... kiedy pan już wybierze, czy będę mógł pożegnać się z tamtymi?

Vail powiódł oczami po długim korytarzu stajennym. W jego licznej stadninie cztery kuce mniej czy więcej nie stanowiły różnicy.

- Zostaw wszystkie - polecił krótko Pierce'owi, a widząc w jego oczach najpierw zdumienie, a potem coś na kształt rozbawienia, dodał sarkastycznie: - Chyba starczy nam miejsca w stajni?

- Wasza wysokość zrobi jak zechce - odrzekł Pierce z kamiennym spokojem. - W końcu to pański majątek. - I pański syn, dodał w duchu.

Z uśmiechem położył rękę na dziecięcej główce w tym samym miejscu, gdzie przedtem spoczęła ręka Vaila.

- Którego osiodłamy najpierw? - zwrócił się do chłopca.

- Będę miał je wszystkie? - spytał z niedowierzaniem Richard. - To przecież za dużo. Nie myślałem...

Między jego szarymi oczami pojawiła się zmarszczka.

- Po tylu latach służby u księcia - pouczył go Pierce - przekonałem się, że najlepiej robić to, co on każe. Oszczędzasz wtedy mnóstwo czasu i nerwów.

Udzieliwszy chłopcu takiej samej rady jak kiedyś Mary, serdecznie poklepał go po łopatkach i lekko popchnął w stronę boksów.

- Księżę pan powiedział, że miejsca starczy dla wszystkich - dodał jeszcze, ale chłopiec przeżywał tak wielką radość, że nie zauważył uśmiechu zadowolenia na twarzy starego sługi.

- No i jak wam poszło z kucykami? - spytała Mary wieczorem.

Po raz pierwszy tego dnia mieli sposobność zostać sam na sam, bo Vail spędził całe popołudnie w gabinecie ze swoim doradcą finansowym, który przyjechał z Londynu. Nie powtórzył tego Mary, ale rozmowa dotyczyła głównie wykupu i likwidacji inwestycji należących do Traywicka. Księżę podzielił się ze swoim agentem podejrzeniami, że Traywick współpracował z przemytnikami na wybrzeżu Kent. Wystarczyło teraz szepnąć słówko gdzie trzeba, aby kupiec miał raz na zawsze zamkniętą drogę powrotu do Anglii. Władze nie mogły przecież tolerować przemytu, choćby dostarczał on dodatkowych dochodów mieszkańcom tych okolic.

- Bał się dokonać wyboru. - Vail przypomniał sobie zatroskaną buzię malca.

- Jak to się bał?

- Obawiał się, że zrani uczucia tych kucyków, które trzeba będzie odesłać, kiedy któregoś już wybierze! W życiu nie widziałem czegoś takiego, on jest równie wrażliwy jak ty. Ja w jego wieku nie martwiłem się, co czuje kucyk, który zostanie odrzucony.

- Może dlatego, że ciebie nikt nigdy nie odrzucił? - podsunęła Mary.

Nick chwilę zastanawiał się nad jej słowami, aż wreszcie odpowiedział pytaniem:

- A z nim jak było?

- Traywick niezbyt go lubił, chociaż Richard uważał go za ojca - odrzekła wymijająco. - Przekonał się, że nie uda mu się ukształtować go po swojemu.

Mary mogła przytoczyć dziesiątki przykładów niechęci kupca do przybranego syna, ale uważała, że i bez tego wystarczająco gnębią Vaila wyrzuty sumienia. Nie chciała zwiększać jego poczucia winy bardziej, niż było to potrzebne, aby zrozumiał zachowania chłopca.

- A ja myślałem, że bardzo chciał mieć syna - zdziwił się Nick.

- Chciał, ale nie takiego jak Richard, który przejrzał go na wylot, a Traywick był wystarczająco bystry, aby się tego domyślić. Podejrzewam, że mały wiedział, jak jego rzekomy ojciec traktował Abigail, chociaż starałam się jak mogłam, aby to przed nim ukryć. Czy takiego ojca mógł

szanować, chociaż rozpaczliwie pragnął jego miłości? Czasami nie dało się ukryć, że Traywick wiedział, co chłopak o nim myśli.

- Czasami? - powtórzył Nick, starając się opanować gniew, ale Mary i tak wyczuła zmianę w jego głosie. - Mówiłaś mi kiedyś, że on lubił zadawać ból. Może bił Richarda?

To mogłoby tłumaczyć, dlaczego chłopczyk podchodził do niego z taką rezerwą. Jeżeli jeden mężczyzna go skrzywdził, mógł bać się także innych.

- No... oczywiście karał go. Myślę, że nie surowiej niż ojcowie karzą innych chłopców, przynajmniej próbowałam to sobie wmówić. Wszelkie protesty, czy to moje, czy Abigail, tylko pogarszały sprawę, więc nauczyłam się trzymać język za zębami.

- Powinienem był go zabić! - wycedził Vail. - Przecież już trzymałem go za gardło. Chłopcu i tak nie byłby w stanie nic zrobić, a ja zląkłem się jego pogroźek.

- Gdybyś go wtedy zabił, nigdy nie wpadlibyśmy na ślad Richarda - przypomniała. - Co było, to minęło i wszystko jest do naprawienia. Może potrwa to dłużej, niż myśleliśmy, ale w końcu Richard zrozumie, że my go kochamy i potrzebujemy.

- I ty wierzysz, że to mu wynagrodzi wszystko inne? - spytał z goryczą.

- Miłość potrafi wiele - oświadczyła, wytrzymując jego spojrzenie. - Sami jesteśmy tego najlepszym przykładem. Tyle razy zbłądziliśmy, a jednak...

- ... znów jesteśmy razem - dokończył, przemierzając sypialnię.

- Dzieci potrafią wybaczać dużo łatwiej niż dorośli - zapewniła, biorąc go za rękę. - Dla nich liczy się bardziej przyszłość niż przeszłość. Przyszłość jest wspólna dla nas trojga i Richard na pewno to zrozumie, tylko trzeba czasu i cierpliwości, której tobie, jak widzę, nie brak.

- Cierpliwości? - powtórzył.

- I czasu. - Mary pociągnęła Nicka na szerokie, małżeńskie łóżko. - Mamy przed sobą całe życie, żeby ułożyć je jak należy.

Lato mijало spokojnie. W Londynie, który stąd wydawał się bardzo bardzo daleki, adwokaci księcia Vaila wszczęli postępowanie prowadzące do uznania legalności urodzenia jego pierworodnego syna. Dowodzili, że skoro małżeństwo księcia z Mary Winters zostało uznane za prawowite, pozostało jeszcze tylko potwierdzenie praw do pierworództwa syna, którego książę uznał.

Fakt, że chłopca ochrzczono pod nazwiskiem Richarda Traywicka, zakwalifikowano jako zwykłą pomyłkę. Adwokaci tłumaczyli ją chorobą młodej matki po porodzie i ciężkimi ranami odniesionymi na wojnie przez księcia, co spowodowało omyłkowe uznanie go za poległego.

Oczywiście w wyższych sferach roило się od plotek na ten temat, ale w majątku Mary i Richard byli dostatecznie zabezpieczeni przed ciekawskimi. Wszystko wskazywało, że sprawa weźmie korzystny obrót, gdyż Marcus Tray-

wiek, jako nieobecny w kraju, nie mógł wnieść protestu. Zresztą, zważywszy na doniesienia dotyczące jego działalności, potwierdzone przez oficjalne śledztwo, byłby głupi, gdyby powrócił do Anglii i usiłował odzyskać syna.

Nick mógł tylko życzyć sobie, żeby stosunki w rodzinie układały się dla niego równie korzystnie jak postępowanie sądowe. Z Mary wprawdzie przeżywał pełnię szczęścia, ale drażniła go nienormalna, jego zdaniem, powściągliwość Richarda w jego obecności. Istotnie, chłopiec podchodził do Vaila z taką rezerwą, że Mary wciąż nie miała odwagi poruszyć tematu jego ojcostwa.

- Jeszcze trochę cierpliwości! - przekonywała, kiedy Nick miał do niej z tego powodu pretensję. - Tyle w życiu przecierpiał, że potrzebuje czasu, aby oswoić się z tą sytuacją.

W szarych oczach księcia odbiło się rozczarowanie, ale nie komentował dalej tej sprawy. Wobec chłopca wykazywał wciąż tyle samo cierpliwości i życzliwości. Czasem tylko przykro mu było, gdy widział coraz większą zażyłość między Richardem a Pierce'em.

Rzecz jasna księżę nie wiedział, że nierozłączni przyjaciele rozmawiali przeważnie o jego bojowych przewagach. Od guwernantki, panny Hawkins, Richard dowiadywał się szczegółów o dzieciństwie księcia. Skarby w pokoju dziecinnym nabierały dla chłopca szczególnej wartości, gdyż kojarzyły mu się z tym wysokim mężczyzną o szarych oczach, o którym Herce, Smithers i panna Hawkins wyrażali się wyłącznie w superlatywach.

Minęło lato i nadeszła jesień, a Vail wciąż nie zdawał sobie sprawy, że chłopiec wodzi za nim oczami z takim samym zachwytem jak jego dwa spaniele. Z tym tylko, że Richard umiał ukrywać swe uczucia nawet przed Mary. Najwidoczniej uważał je za zbyt osobiste, a nadzieję z nimi związaną za zbyt nierealną, aby zwierzać się z nich komukolwiek, nawet tak kochanej osobie.

Pewnej ciemnej, październikowej nocy cała służba księcia spała spokojnie po trudach dnia. Masztalerz, który wszczął alarm, nie umiałby nawet powiedzieć, co go obudziło. Jednak gdy tylko trochę oprzytomniał, natychmiast poczuł zapach dymu.

Gdy wypadł za drzwi, od razu się zorientował, że sam nie da rady opanować pożaru. Nie minęła sekunda, a uderzył w dzwon na dziedzińcu. Każdy hodowca koni wiedział, co oznacza ten dźwięk, więc prawie natychmiast podwórze wypełniło się niekompletnie ubranymi masztalerzami i chłopcami stajennymi. Ogarnięci paniką, próbowali ugasić ogień, który w ciemnościach był z daleka widoczny. Ich bieganinie towarzyszyło kwiczenie przerażonych koni.

Na początku nikomu nie przyszło na myśl, aby zbudzić księcia. Służba pokojowa dopomagała w akcji ratowniczej, ale kamerdyner Thompson nie chciał zakłócać snu jego wysokości, dopóki nie upewnił się, że sytuacja jest naprawdę poważna.

Właściwie to Richard obudził ojca. Skrzydło pałacu,

w którym mieścił się pokój dziecinny, wychodziło na wybiegi dla koni, więc dzwon obudził go. Podbiegł do okna. Przerazający widok skłonił go do szukania pomocy u człowieka, o którym sądził, że potrafi wszystko.

Tak nagle obudzony Nick szybciej pojął przyczynę strachu dziecka niż Mary. Zdażył ubrać się i wciągnąć buty, zanim ona zrozumiała, o co chłopiec ze łzami prosi.

- Nie wypuszczaj go z pokoju - polecił jej Nick, sadzając Richarda przemocą na łóżku obok matki. – Cokolwiek by się działo, zatrzymaj go przy sobie.

Przytaknęła, przytulając do siebie drżące ciało dziecka.

- Moje kucyki! - wymówił Richard głosem przechodzącym w łkanie. - Panie, proszę, ratuj kucyki!

Vail, rzecz jasna, nie mógł przyrzec, że to zrobi. Nie zorientował się jeszcze, jaki jest zasięg pożaru i wiedział, że w pierwszej kolejności pracownicy będą się starali ratować cenne konie zarodowe, a dopiero potem cztery kucyki, których wartość finansowa była znikoma.

Jednak kiedy biegł, wołając po drodze Pierce'a, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy jego syn prosił go o cokolwiek. Nie wiedział jednak, czy zdoła zadośćuczynić tej nieśmiałej, lecz obficie oblanej łzami prośbie.

W sypialni Mary trzymała w objęciach drżącego chłopca, kołysząc go jak niemowlę, jednak myślami była z Nickiem i jego ludźmi, którzy ze wszystkich sił próbowali ocalić zwierzęta.

- Czy on da radę wyprowadzić stamtąd kucyki? - wyszeptał w końcu Richard.

Mary wiedziała, że oczekuje od niej pociechy, ale jej wrodzona uczciwość nie pozwalała składać pustych obietnic, których Vail nie mógłby dotrzymać, choćby nawet bardzo chciał.

- Jeśli tylko będzie mógł - uspokajała chłopca, gładząc go po włosach. Uświadomiła sobie jednak, że Nick na pewno nie będzie ryzykował ludzkiego życia dla ratowania kuców. - Jeśli tylko da się to zrobić bez narażania niczyjego życia - poprawiła się. - Tylko musisz pamiętać, że pożar w stajni bywa bardzo groźny. Konie wpadają w panikę i czasem nie dają się wyprowadzić z ognia, chociaż masztalerze próbują. Ale nawet jeśli im się nie uda, bądź pewien, że robili, co mogli. Wiesz przecież, że ani Nick, ani Pierce, nigdy nie dopuściliby, żeby koniom stała się krzywda, jeśli tylko mogliby temu zapobiec.

- Nie myślałem o ludziach - przyznał Richard. - Rzeczywiście, nie pomyślałem...

Urwał i poszukał wzrokiem jej oczu.

- Nie szkodzi, już Nick się tym zajmie - uspokajała go, jak mogła, ślepo wierząc w możliwości męża. Gładziła synka po zmierzwionych włosach, ale chłopiec oczyma wyobraźni widział te same płomienie, które tak dobrze było widać z okna jego pokoju, a wśród nich wysokiego mężczyznę o szarych oczach, który podarował mu kucyki, ołowianych żołnierzy i wszystko, co posiadał. Przejął go nagły strach, ale już nie o te cztery małe stworzonka, które

przychodziły na jego wołanie i jadły kostki cukru z jego ręki.

- Z mojego okna lepiej widać stajnie - stwierdził proszącym głosem.

- I co to pomoże, jeśli będziemy patrzeć na ogień? Ludzie zrobią wszystko, co w ich mocy, zapewniam cię.

Richard wiedział jednak, że to on obudził księcia i to jego prośby naraziły Vaila na niebezpieczeństwo. Porażający strach wstrząsnął jego drobną figurką.

- To zejźmy przynajmniej na dół! - nalegał.

Mary sądziła, że dziecko troszczy się tylko o los kucyków, ale tę prośbę mogła spełnić. Vail nakazał, aby nie opuszczali domu, ale co szkodziło zejść na dół? Przygotuje dla małego kubek ciepłego mleka i razem poczekają na wiadomości.

- Dobrze, pójdziemy do kuchni i zaparzemy gorącej herbaty dla księcia i Pierce'a, bo po wszystkim na pewno zechcą się napić. Co ty na to? - zagadnęła z uśmiechem.

Chłopiec miał wciąż oczy rozszerzone strachem, ale skwapliwie przytaknął. Mary narzuciła więc szal, wzięła Richarda za rękę i razem wyszli z sypialni.

Już w korytarzu odniosła wrażenie, że są sami w całym domu, choć wmawiała sobie, że tylko tak jej się wydaje. Wprawdzie Thompson i lokaje na pewno pomagali w gaszeniu pożaru, ale pokojówki i podkuchenne, których pokoje mieściły się pod schodami, mogły nie usłyszeć dzwonu na trwogę. Może niektóre wybiegły na dwór przyglądać się, jak ratują konie, ale przecież nie wszystkie?

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że we dwoje z sy-

nem nie mogli pozostać w domu sami, ale schodząc po schodach czuła się niepewnie. W wielkim holu na parterze panowała podejrzana cisza, a ciemność rozjaśniało tylko światło księżyca, wpadające przez wysokie okna. W porównaniu z trzaskającymi płomieniami, ludzką krzątaną i bijącym na alarm dzwonem, ta upiorna cisza wydawała się czymś nienaturalnym.

U podnóża schodów zawahała się chwilę, zanim przeszła na marmurową posadzkę holu, ułożoną z płyt tworzących szachownicę. Długie cienie pod ścianami wydawały się jej dziwnie groźne, jakby oddzielały ją wraz z dzieckiem od innych żywych istot.

Próbowała sobie wmówić, że chociaż wszyscy mężczyźni są przy gaszeniu, nie oznacza to wcale, by jej lub dziecku miało coś zagrażać. Mimo to nie zaskoczył jej znajomy głos, dobiegający z najciemniejszego kąta holu.

- Ach, to ty, Mary? - wycedził Marcus Traywick z udaną słodyczą. - Jak to się świetnie złożyło, że właśnie ty odpowiedziałaś na moje wezwanie! Wprawdzie spodziewałem się twojego arystokratycznego kochasia, ale wy razem sprawicie mi nawet większą satysfakcję!

- Na jakie wezwanie? - zdziwiła się, próbując przećmóc strach.

- No, przecież dzwon zadzwonił na trwogę! Zdaje się, że coś niedobrego dzieje się w waszych stajniach...

- Pan podłożył ogień! - szepnęła. - Ale dlaczego? Co pan chciał przez to osiągnąć?

- To jedno, co mi jeszcze pozostało. Taką małą, słodką zemstę.

- Chciał pan zemścić się na księciu? - spytała. Zorientowała się, że Traywick podpalił stajnię, a do domu wszedł dopiero wtedy, kiedy służba rzuciła się gasić pożar. Czekał tu w ciemnościach na Nicka, ale ten wybiegł na zewnątrz inną, krótszą drogą. Oznaczało to, że kupiec jeszcze nie domyślił się nieobecności pana domu ani tego, że poza jedną lub dwiema zaspanymi służącymi byli zupełnie sami. Mary modliła się, aby taki stan rzeczy trwał jak najdłużej.

- Zabrał mi... czy raczej oboje zabraliście mi wszystko, co miałem.

- Ja panu niczego nie zabrałam! - zaprotestowała Mary.

- Jak to nie? Moje pieniądze, interesy, dobre imię, a nawet mój wygląd... Na wszystkim położyliście rękę, a teraz jeszcze przez niego musiałem uciekać z własnego kraju! Ja dotrzymałem umowy, lecz tyś mnie oszukała.

- Vail zaproponował ci zapłatę za... - Urwała, bo musiała uważać, żeby Richard nie dowiedział się prawdy w formie, która mogłaby go zaszokować lub zranić. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że czekała z tym za długo. Naiwnie myślała, że ochroni Richarda przed najgorszym, które właśnie nadeszło.

- ... za swego bękarta! - dokończył zjadliwie Traywick. - Za pomiot swojej kochanicy!

- On jeszcze i teraz może panu zapłacić, ile pan zechce

- wyszeptała Mary. Bała się nawet spojrzeć na drżącego chłopca. Mogła tylko liczyć, że w swej dziecięcej niewinności nie zrozumie znaczenia jadowitych słów kupca.

- Ciekawe, czy może mi zwrócić całe moje zmarnowane życie? Jak taki Vail będzie w stanie mi wynagrodzić to, co przez niego straciłem?

- Zapłaci wystarczająco dużo, żeby mógł pan zacząć wszystko od początku. We Francji czy gdziekolwiek. Da panu, cokolwiek pan zechce - przekonywała.

- Cokolwiek zechcę! - powtórzył kpiąco Traywick. - Raz mi już proponowałaś taką transakcję, która okazała się podstępem. Sama do mnie przyszałaś, ofiarowałaś mi swoje ciało, a wszystko po to, aby Vail mógł przyłapać nas razem.

- Nieprawda, wcale nie chciałam, żeby się o tym dowiedział! - zaprzeczyła. - Nigdy nie narażałabym go na niebezpieczeństwo.

- Myślałem, że go wtedy zabiłem. Cieszyłem się z tego, chociaż musiałem opuścić Anglię. To miało być dla ciebie wystarczającą karą, bo nie przypuszczałem, że odnajdziesz chłopca. Tymczasem...

Nienawistny głos na chwilę zamilkł, a Mary układała sobie plan dalszej gry na zwłokę. Wiedziała, że im bardziej opóźni to, co kupiec zamierzał, tym większa jest szansa, że ktoś do tej pory wróci do domu.

- Tymczasem wcale na tym nie ucierpiałaś. Zniszczyłaś moje życie, a sama dostałaś to, czego pragnęłaś. To nie sprawiedliwe, żebyś ty miała wszystko, a ja nic! Masz mę-

za, syna i to całe bogactwo... - Zatoczył ręką wokół siebie.

Przy tym ruchu coś błysnęło mu w ręku. Mary rozpoznała mały, kieszonkowy pistolet, pewnie ten sam, z którego strzelał do Vaila.

- Co pan chce zrobić? - spytała, chociaż wiedziała doskonale, do czego ten człowiek jest zdolny.

- A co mogłoby sprawić ci największy ból, droga Mary? Rozmyślałem nad tym przez długie miesiące, kiedy we Francji powoli przejadałem te nędzne resztki, które udało mi się wyrwać z paluchów twego kochanka. Jak myślisz, co najbardziej na całym świecie...

Mary szybkim ruchem przesunęła się tak, aby zasłonić dziecko. Stojąc między nim a uzbrojonym szaleńcem usłyszała w ciemnościach jego przerażający, obłąkany śmiech.

- Nic się nie zmieniłaś, Mary. Zawsze tak samo wrażliwa, czuła na cierpienie innych... Tylko widzisz, moja droga, ja nawet nie wiedziałem, że go odnalazłaś. Myślałem, że dobrze go ukryłem u tej wiedźmy w Szkocji. Nigdy nie wpadlibyście na jego ślad, gdyby nie ten nie wdzięcznik Smithers! Miałem nadzieję, że utopił się razem z twoim księciem. Dopiero kiedy spróbowałem skontaktować się z moimi bankierami, dowiedziałem się, że Vail żyje i dalej mi szkodzi. Ale już niedługo! Ciebie nie muszę nawet ruszać palcem, wystarczająco cię dotknę, jeżeli uczynię cię odpowiedzialną za śmierć osoby, którą kochasz. Miał to być książę, ale widzę, że

się pomyliłem. Dla moich celów chłopiec nada się dużo lepiej.

- Nie! - krzyknęła, trzymając ręce za plecami, aby Richard nie wysunął się zza osłony jej ciała.

- Jego śmierć powinna także porządnie potrząsnąć Vailem, jeśli żywi ojcowskie uczucia dla tego bezczelnego bękarta. Bo ja jakoś nie mogłem zdobyć się na nic takiego. Miał w oczach coś, co za bardzo przypominało jego dostojnego tatuśka...

- Vail cię zabije! - syknęła, dyskretnie popychając Richarda. Czowała, że cofnął się o stopień wyżej, więc i sama się cofnęła, potem jeszcze o jeden stopień i tak dalej. Dobrze, że chłopiec bez słów pojął, co chciała mu przekazać, bo nie mieli innej drogi odwrotu. Każdy inny kierunek przybliżałby ich tylko pod lufę Traywicka, podczas gdy cofając się, Mary przez cały czas znajdowała się między muszką pistoletu a swoim synem.

Zrobili tak już trzy kroki do tyłu, a teraz czwarty...

- Nie, Mary! - ostrzegł cichym głosem kupiec. Wiedziała jednak, że może oddać tylko jeden strzał. Jeśli kula trafiłaby ją, to zanim przeładowałby broń...

- Richardzie, gdyby wystrzelił, uciekaj. Bez względu na to, co się ze mną stanie, uciekaj na górę, ukryj się i czekaj na księcia. Rozumiesz? - szeptała gorączkowo. Nie mogła oczywiście sprawdzić, czy wystraszone dziecko zrozumiało jej słowa. Trudno było przewidzieć, jak się zachowa w sytuacji, która miała lada chwila nastąpić.

- Chyba, Traywick, nie będziesz walczył z nimi? -

odezwał się znajomy głos po jej prawej stronie, tak wyczekiwany, ale całkiem niespodziewany. Vail! Mary odwróciła się, ale w ciemnościach widać było tylko jego białą koszulę. - To ja cię zrujnowałem. Przyszedłeś tu po mnie.

- Przyszedłem po zemstę - przyznał Traywick, ale nie wycelował pistoletu w jego kierunku. - A to jest najlepszy sposób, aby tego dopiąć.

- Proponowałem ci wcześniej majątek, ale ty odmówiłeś. Sam się wpędziłeś w nieszczęście, a Mary i chłopiec nie mają z tym nic wspólnego.

- Ona ma, i to dużo! - sprzeciwił się Traywick. - To ona złamała naszą umowę, chociaż ja przez wszystkie lata chroniłem, karmiłem i odziewałem ją i tego bachora!

- Próbowalesz mnie zgwałcić! - zaprotestowała Mary, wycofując się jeszcze o krok dalej. - Moje ciało nie należało do żadnej umowy. A kiedy się broniłam, wniosłeś przeciwko mnie oskarżenie!

- To ja jestem tym, kogo potrzebujesz - nalegał Vail, posuwając się o krok do przodu. Traywick obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

- A jak inaczej mógłbym zaszkodzić potężnemu księciu? Masz władzę, pieniądze i pozycję, które przypadły ci z tytułu samego urodzenia, a ja do wszystkiego doszedłem własną krwawicą. A teraz to straciłem przez taką dziewczkę, która wabi mężczyzn jak rozgrzana suka. To ona zasługuje na karę! - stwierdził stanowczo.

- Potrafisz walczyć tylko z kobietami i dziećmi? -

prychnął z pogardą Vail. - Może byś tak dla odmiany zmierzył się z kimś równym ci siłą?

Szydząc z kupca, zbliżył się jeszcze o krok do jego pistoletu. Jednak Traywick tylko się zaśmiał.

- Nie, wasza wysokość, nie mnie brać na takie plewy! Nie jestem jednym z tych perfumowanych fircyków i nie wyzwiesz mnie, bratku, na udeptaną ziemię. Nie walczę według waszych zasad, bo mam własne i radziłbym o tym pamiętać.

Przy ostatnim słowie nacisnął spust i w pustym holu rozległ się strzał. Równocześnie Vail rzucił się na kupca i mężczyźni zwarli się w walce wręcz. Mary mogła odróżnić Vaila tylko po białej koszuli, ale przyglądając się samotnie odnosiła nieodparte wrażenie, że ogląda sztukę w teatrze. Nie słyszała tylko tekstów ról, gdyż zagłuszyło je nagłe dzwonięcie w uszach.

Powoli usiadła na schodach, choć nie czuła bólu, tylko jakąś dziwną słabość. Przycisnęła rękę do boku, gdyż skóra w tym miejscu ją paliła, a kiedy oderwała dłoń, nawet w świetle księżyca dostrzegła czerwoną smugę.

- Richardzie... - próbowała uspokoić synka, wiedząc, że na pewno się przestraszył. I rzeczywiście, miał źrenice rozszerzone lękiem, więc wytarła dłoń o swój biały szal. Jednak plama, która została na jasnej tkaninie, wyglądała jeszcze gorzej, bo ostro odcinała się od tła.

Chciała się zastanowić, co robić dalej, ale nie mogła zebrać myśli. Zdawała sobie sprawę, że Nick bił się z Traywickiem, słyszała nawet odgłosy walki, ale docho-

dziły do niej jakby z daleka i nie potrafiła się na nich skupić. Mogła tylko szepnąć Richardowi:

- Uciekaj!

Chłopiec ukląkł przy niej na schodach. Na jej polecenie wstał, ale nie pobiegł w górę po schodach, jak chciała. Przeciwnie, zbiegł w dół te same cztery lub pięć stopni, o które przedtem zdołał się oddalić od Traywicka i jego pistoletu.

- Nie! - próbowała krzyknąć Mary, ale z gardła jej dobył się tylko szep, bo palący ból w boku nie pozwalał jej oddychać.

Podciągnęła się na schodku, ale więcej nie była w stanie zrobić. Obserwowała tylko, jak Traywick podniósł w górę rękę z pistoletem i opuścił ją na swojego przeciwnika, raz i drugi. Jednak nie usłyszała odgłosu uderzeń. Widziała tylko białą koszulę Vaila, gdy zatoczył się na ścianę.

Tymczasem Traywick zadziałał błyskawicznie jak na człowieka o tak okazałej tuszy. Zanim Richard zdążył dobiec do leżącego, schwycił go, podniósł w górę i z wierzgającym chłopcem pod pachą znikł w tych samych ciemnościach, z których wynurzył się Vail.

Mary leżała oparta o schodek, nie mogąc dać sobie rady z własną słabością. Ogarniała ją rozpacz, że jej syn znowu znalazł się w rękach szaleńca, a ona nic nie mogła zrobić.

- Mary! - przemówił do niej Vail.

Gdy otworzyła oczy, klęczał już przy niej, a ona nie mogła pojąć, skąd się tu wziął.

- Richard... - szepnęła, próbując dotknąć twarzy męża. - Traywick go porwał!

Mimo to Vail nie ruszał się z miejsca. Trzymał ją mocno za rękę, a jego palce drżały tak samo jak przedtem jej na widok krwi. Wtedy dopiero zrozumiała i uśmiechnęła się do niego.

- Ze mną wszystko dobrze, naprawdę, Nick. Biegnij za nim, nie pozwól, aby znów odebrał mi Richarda! - Chciała jakoś zmusić go do działania, choć wiedziała, że gdyby ona była na jego miejscu, nie ruszyłaby się ani na krok. - Jeśli pozwolisz mu zabrać Richarda, nigdy ci tego nie wybaczę - szepnęła. - Przysięgam ci, Nick, nie daruję ci do samej śmierci!

Wytrzymał jej spojrzenie i przez chwilę walczył ze sobą. W końcu ścisnął ją za rękę i znikł w otaczających ciemnościach. Wtedy Mary z ulgą oparła głowę o stopień, bo wiedziała, że mogła już tylko zaufać Nickowi.

Nick przemierzył hol w ciągu zaledwie kilku sekund. Musiał doścignąć Traywicka, bo Mary nie wybaczyłaby mu, gdyby znowu ją zawiódł. Nie tym razem!

To, co zobaczył na zewnątrz w przesyconym zapachem dymu powietrzu nocnym, od razu napełniło go optymizmem. Ten głupi kupczyk próbował dosiąść jego wierzchołka! Księżę sam przejechał na nim na oklep krótki dystans dzielący wybieg od stajni, kiedy zorientował się, że pożar został już ugaszony. Wcześniej zarzucił zwierzęciu derkę na głowę, aby wyprowadzić go z płonącego bu-

dynku, bo tylko głos jego pana, z którym przeszedł cały szlak bojowy, był w stanie pomóc koniowi przewyciężyć strach. Na jego błyszczącej, kasztanowatej sierści widniały ślady oparzeń, ale mimo bólu dał się Yailowi okiełznać i dosiąść.

Vailowi tak, ale nie Traywickowi, człowiekowi obcemu, który w dodatku trzymał pod pachą wyrywające się dziecko. Kupiec usiłował za wszelką cenę doprowadzić konia do schodka przeznaczonego do wsiadania, ale ból oparzeń, przeżyty świeżo strach i ręce obcego człowieka szarpiące wodzami przepęłniły miarę cierpliwości kawalerskiego rumaka.

Gwałtownie się opierał i stawał dęba. Vail wykorzystał chwilę, kiedy kupiec próbował opanować konia. Działając przez zaskoczenie, wyrwał chłopca. Błyskawicznie przebiegł do domu, wepchnął go w otwarte drzwi i dopiero wtedy zawrócił, gotów stawić czoło przeciwnikowi.

Tymczasem koń nadal wyrywał się i wspinał, próbując pozbyć się intruza, jednak Traywick kurczowo uczepił się wodzy. Najwidoczniej kiepsko znał się na koniach, jeśli nie zdawał sobie sprawy, że nie zdoła opanować ogarniętego paniką zwierzęcia.

Vail nie pokonał nawet połowy dystansu dzielącego go od konia, gdy ten znowu stanął dęba. Na tle nieba rysowała się pełna gracji sylwetka dobrze utrzymanego, lecz teraz oszalałego ze strachu konia, który przednimi nogami młócił przesycone dymem powietrze. Na oczach księcia

uderzył kopytem w czoło Traywicka, który od razu padł na wznak jak zwalone drzewo.

Wspiał się ponownie, ale mimo strachu pojął, że leżący przed nim nieruchomy przedmiot jest człowiekiem. Opuścił więc szybko kopyta, starając się precyzyjnie ominąć rozciągnięte na ziemi ciało. Zaczął nawet się cofać, w czym Nick przezornie mu nie przeszkadzał. Zamiast tego ukląkł przy nieprzytomnym kupcu.

Na skroni Traywicka odcisnął się siniejący ślad podkowy, który już zaczynał podbiegać krwią. Nick widział na froncie dostatecznie dużo ran, aby wiedzieć, że ta musi zakończyć się śmiercią wskutek obrzęku mózgu lub krwotoku wewnątrzczaszkowego.

Jeżeli kiedykolwiek człowiek zasłużył na śmierć, to właśnie ten, pomyślał Vail, patrząc na konającego Marcusa Traywicka.

Ogarnięty wielkim niepokojem o Mary, popędził z powrotem do domu. Richard stał spokojnie tam, gdzie go Vail zostawił. Był więc świadkiem tragicznej śmierci człowieka, którego uważał za ojca. Vail zwolnił kroku, próbując odgadnąć spojrzenie chłopca, który zwrócił ku niemu szare oczy o rozszerzonych źrenicach i ledwo widocznych tęczówkach.

Nick zdążył tylko schylić się i podnieść drobne ciało syna, który od razu rzucił się mu w ramiona. Trzymał go mocno, aż za mocno, ale nie mógł się oprzeć potrzebie upewnienia się, że Richardowi nic nie grozi. Dawno już nie czuł na swojej szyi mięciutkich, dziecięcych ramionek

i mokrej od łez buzi... Nie chciał postawić chłopca na ziemi, chociaż spieszył się do Mary.

Wezwany lekarz był dobrej myśli. Mary bowiem, jeszcze zanim wniesiono ją do sypialni, by mógł dokładniej ją zbadać, potrafiła odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Nie straciła zatem przytomności.

- Miejmy nadzieję, że to tylko powierzchowna rana - uspokajał księcia, który osobiście doglądał przenosin żony. - Kula przebiła bok, co spowodowało ból, wstrząs i dużą utratę krwi, ale nie sędzę, aby jakiś ważny organ został uszkodzony. Wkrótce księżna pani będzie zdrowa, tak mi się przynajmniej wydaje.

Doktor wysłał pobladłą Claire do kuchni po gorącą wodę, a sam zamknął księciu przed nosem drzwi sypialni. Do tej pory Vail nie zdawał sobie sprawy, że przez cały czas trzymał na ręku syna, ale ten słodki ciężar dodawał mu otuchy. Przebiegająca obok pokojówka uspokajająco poklepała małego, jak pewnie nieraz pocieszała swoich małych braciszków. Richard uśmiechnął się do Claire z wyżyn wzrostu księcia.

- Może pan już mnie puścić - podsunął delikatnie.

Oznaczało to, że znów zaczął się zachowywać tak samo jak w ciągu ostatnich miesięcy. Vail i Mary starali się przekonać go, że jego życie będzie już zawsze upływać w beztroskiej atmosferze, ale chyba ta noc przekreśliła ich wysiłki.

Nick postawił chłopca, patrząc z góry na jego złote lo-

ki. Teraz malec wbił swoje szare oczy w ziemię, nie patrzył już na księcia z odwagą i szczerością, którą ten tak cenił.

- On powiedział... - zaczął Richard, ale zawahał się, czy mówić dalej.

Vail nie słyszał wprawdzie całej rozmowy między Traywickiem i Mary, ale domyślał się, jakie słowa wtedy padły. Po to oboje próbowali ochronić chłopca przed zbyt gwałtownym zetknięciem się z szokującą prawdą o jego pochodzeniu, żeby teraz...

Ze strachem myślał, co też ten łajdak mógł nagadać. Jasne, że i oni nie mówili chłopcu, co powinni, ale robili tak w dobrej wierze i z miłości. Kto jednak mógł przewidzieć, jakie szkody może wyrządzić wrażliwemu dziecku ta sama prawda w wersji zniekształconej przez występny umysł Marcusa Traywicka?

- Co on powiedział, Richardzie? - wydusił z siebie Nick, kiedy nieprzyjemne milczenie trwało już za długo.

- Powiedział, że ja... jestem pana synem!

Szare oczy napotkały spojrzenie Vaila, który znalazł w nich wcale nie to, czego się obawiał. Na dziecięcej buzi rysowała się nadzieja, entuzjazm nie mniejszy od tego, z jakim przyjął wiadomość, że może mieć kucyka, i taki sam zachwyt, z jakim głaskał jedwabiste łebki spanieli, swoich najmilszych towarzyszy.

Nick poczuł ucisk w gardle. Przez chwilę nie mógł przemówić. Z wielkim trudem opanował cisnące się do oczu łzy.

- Tak, jesteś moim synem. Moim i Mary - wyjaśnił ła godnie. - I oboje kochamy cię bardziej, niż sobie wyobrażasz. Zrozumiesz to dopiero wtedy, kiedy sam się do czekasz własnego syna.

Dodał tę naukę słyszana nieraz od swojego ojca, ale dopiero teraz pojął jej właściwy sens.

- Już zawsze będę twoim synem, a nie jego - szepnął chłopiec.

- Pewnie, już nic nas nie rozłączy - obiecał Nick.

Jego ojciec spotkał śmierć w drodze do niego, kiedy chciał uzdrowić go swoją miłością. Teraz Nick był pewien, że gdyby ojciec wiedział, co nastąpi potem, i tak spieszyłby się do syna, choćby na koniec świata. To samo on zrobiłby dla własnego dziecka.

Otworzyły się drzwi od sypialni i wyszedł z nich doktor, zdejmując po drodze fartuch. Zaskoczony spojrział na dwie twarze tak podobne do siebie, że nie pozostawiały wątpliwości, czyim synem mógł być ten chłopiec. Doktor zdziwił się nawet, czemu księżę nie zabrał chłopca do sądu, żeby wszyscy go sobie dobrze obejrzel. Wiadomo jednak, że arystokraci zawsze mieli swoje dziwactwa, a w końcu Vail znał się na tych sprawach lepiej.

- Co z Mary? - zapytał z niepokojem księżę.

Lekarz spodziewał się tego. Wiadomo, małżeństwo z miłości! Przynajmniej w tym plotki okazały się prawdą.

- Tak jak przypuszczałem - odpowiedział. - Oczywiście-

ście jest w szoku, ale biorąc pod uwagę stan księżnej pani... - Przez grzeczność nie skończył zdania.

- Stan? - powtórzył Vail.

- Zapewniam waszą wysokość, że dziecku nic nie grozi. Nie mamy powodów oczekiwać niczego innego niż pomyślnego rozwiązania... oczywiście w swoim czasie! - dodał szybko, widząc zmieszanie księcia.

- Dziecku? Chce pan powiedzieć, że... - Nick nie marzył nawet, że kiedykolwiek usłyszy od lekarza taki komunikat.

- Na wiosnę będzie księżę pan miał drugiego syna albo córkę. Dokładniejszy termin będziemy w stanie wyznaczyć później. A co, księżę pan nie wiedział?

- Nie wiedziałem - przyznał Vail.

- Może pan teraz zobaczyć jej wysokość. Oczywiście tylko na krótko, bo ona potrzebuje odpoczynku. - Wyjął z kieszeni małą, szklaną buteleczkę. - Jedna albo dwie krople na szklankę wody i księżna pani będzie mogła spokojnie spać.

Wyciągnął do księcia rękę z buteleczką, ale ten jej nie przyjął.

- Nie - odpowiedział krótko.

- Jeśli księżę pan woli, mogę pouczyć służącą, jak odmierzać dawkę, to bardzo proste. Dzięki temu środkowi jej wysokość będzie spokojniejsza, bo to uśmierza ból. Księżę pan wie na pewno, jakie są kobiety...

- Widzę, że pan nie zna Mary - oświadczył Nick, biorąc syna za rączkę i zmierzając z nim prosto do sypialni.

Lekarz został sam, ściskając w ręku buteleczkę z opium, aż w końcu ze zdziwioną miną wrzucił ją z powrotem do torby i zaczął schodzić ze schodów.

Mary leżała oparta na wysoko spiętrzonych poduszkach. Twarz miała bladą, ale Nickowi i tak wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek. Po ramionach spływały jej luźno rozpuszczone, ciemne loki, w których odbijało się światło świec.

Jest lepiej, niż można było przypuszczać, pomyślał Nick, zbliżając się do łóżka z ręką na ramieniu syna, który miał wniebowzięty wyraz twarzy.

- Powiedział ci, prawda? - stwierdziła.

- Tak - przyznał chłopiec. - Nie przypuszczałem... że zasłużyłem na takie szczęście. Aż się boję... - Ledwo dobywał słowa przez ściśnięte gardło.

Wyciągnęła do niego rękę, którą szybko schwycił.

- Strach nie będzie miał więcej wstępu do tego domu - oświadczyła i patrząc na twarzyczkę synka, dodała szepem: - Tylko miłość.

Uśmiechnęła się do Richarda z jeszcze większą czułością, świadoma nowego życia rosnącego pod jej sercem.

- Będę miał braciszka! - oznajmił z dumą Richard.

Mary błyskawicznie wymieniła spojrzenia z Nickiem, ale on odpowiedział jej tylko uśmiechem. Oznaczało to, że bez względu na to, co zostało powiedziane między nimi, zaczyna się dla nich czas, o jaki zawsze się modliła.

- Albo siostrzyczkę! - uzupełniła.

- Kolejny poważny obowiązek - dodał Nick.

- Jak kucyki, prawda? - spytał Richard, zagładając ojcu głęboko w oczy.

- Właśnie, zapomniałem ci powiedzieć, że kucykom nic się nie stało. Zdążyliśmy wszystkie wyprowadzić.

- Ale bały się, prawda? Bo mnie przy nich nie było?

- Pewnie tak - zgodził się Vail.

- Bałem się, żeby ci się nic nie stało, ale kucyki wymagają odpowiedzialności - powtórzył zapamiętaną maksymę.

- Podobnie jak braciszkanie - potwierdził Nick, bo przecież jego brat Charles też odbył dla niego swoją ostatnią podróż. - Też potrzebują pracy, zanim nauczą się wszystkiego, co muszą wiedzieć.

Długo potrwało, zanim sam zrozumiał, że istnieją absolutnie nierozzerwalne więzi. Wystarczyło, że raz zawiódł tych dwoje, a oni ponieśli konsekwencje jego błędu. Najważniejsze jednak, że wszystko dobrze się skończyło.

- Nick... - odezwała się Mary i książkę od razu, jednym uśmiechem, zmazał wszystkie dawne winy.

Postanowił, że jeśli urodzi się chłopiec, nazwą go Charles, na cześć i pamiątkę tych wszystkich nierozzerwalnych więzi, które podtrzymywał przez tyle lat, a one w końcu doprowadziły go do wielkiego zwycięstwa.

Nie spuszczać oczu z Mary, pochylił się i pierwszy raz w życiu pocałował swojego pierworodnego.